

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/326

1974



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

POLITYCZNA OPOZYCJA W POLSCE

J. MIEROSZEWSKI - A. BROMKE :

TU NIE MA DYSKUSJI

K. W. : **SPOŁECZEŃSTWO A PIRAMIDA WŁADZY**

B. BRODZIŃSKI : **SKRZYŃKA GEN. SIKORSKIEGO**

SPIS RZECZY

—	<i>Polityczna opozycja w Polsce</i>	3
—	<i>W rocznicę 17-go Września...</i>	22

TU NIE MA DYSKUSJI

Adam Bromke:	<i>Polska „Ost-West Politik”</i>	26
Juliusz Mieroszewski:	<i>Księgi ugody i diaspory Adama Bromke</i>	47

ARCHIWUM POLITYCZNE

Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	59
Edward Raczynski:	<i>O dyplomacji</i>	70
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	74

K R A J

K. W.:	<i>Spółczeństwo a piramida władzy</i>	85
--------	--	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	95
E. Żagiell:	<i>Kronika batycka</i>	101

SPRAWY I TROSKI

Bohdan Brodziński:	<i>Skrzynka gen. Sikorskiego</i>	105
A. Z.:	<i>Zamki dla „Polonii”</i>	116
Ks. Wojciech Sojka:	<i>Parafie polskie w USA</i>	121

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	<i>Józef Jarema</i>	130
W. T.:	<i>Pięćdziesięciolecie zgonu Conrada</i>	134

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Nie ta rewolucja</i>	135
Józef Lewandowski:	<i>Russica</i>	137



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	141
---	----------------------------------	-----



W. Korwin, Stow. Polskich Kombatantów, J. Zakrzewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1974

INSTYTUT  LITERACKI

DO PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW « KULTURY »

W związku z nieustannymi podwyżkami cen, jakie mają miejsce od końca ub. roku, a które w wypadku papieru i w ostatnich dniach pocztu wzrosły o prawie 100% zmuszeni jesteśmy podwyższyć prenumeratę *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1975.

Nowe ceny zamieściliśmy w bież. numerze na 3 stronie okładki.

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* F. 95,00 (\$ 20)
a dla prenumeratorów *Kultury* F. 80,00 (\$ 17).

Ponadto — w związku z tak ogromną podwyżką opłat pocztowych prosimy usilnie naszych Czytelników aby przy zamawianiu książek *dość dodawali do należności 10% na koszty przesyłki*, jak również dołączali do listów wymagających odpowiedzi międzynarodowe kupony pocztowe w odpowiedniej wysokości.

Tak samo przy przysyłaniu *nie zamówionych* rękopisów należy nadsyłać pieniądze na ich odesłanie. Nie jest to prawie przez nikogo przestrzegane. Ponieważ ta — ogromna jak na nasze stosunki — korespondencja coraz bardziej ciąży nad naszym budżetem raz jeszcze ponawiamy naszą prośbę.

REDAKCJA

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

P. Ardasiewicz-Machnikowa, Buenos Aires, po raz piąty	F. 315,00
Dr Aleksander J. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 4-ty	F. 47,50
Andrzej Brzeski — zamiast kwiatów na grób Marii Ossowskiej	F. 98,00
Grafik z Warszawy	F. 48,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dwudziesty trzeci	F. 100,00
Janina Majewska, 92 Antony (Francja) dla uczczenia pamięci Mariana Piotrowskiego, zmarłego przed rokiem w Genewie	F. 55,00
Tadeusz Stupka i Aleksander Grzonka z St. Gallen (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób śp. J. Jakimowicza z St. Gallen	F. 97,00

DZIĘKUJEMY!

W ub. miesiącu odnotowaliśmy błędnie dar w kwocie F. 98,00 p. Jana JAWOROWSKIEGO z Bloomington, Ind. (USA) pisząc że wpłatę nadesłał p. Jan Jaworski. Za zniekształcenie nazwiska przepraszamy ofiarodawcę. — *Redakcja.*

Polityczna opozycja w Polsce

Motto:

„Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu
po złote runo nicości Twoją ostatnią nagrodą
idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo (...)
Czuwaj — kiedy światło w górach daje znak — wstań i idź
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę
powtarzaj stare zaklęcie ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa, powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynie i ginęli w piasku (...)
Bądź wierny. Idź”.

(Z. Herbert, z „Przesłania Pana Cogito”).

Od słów tego prawdziwego manifestu do ludzi wolnych chce przejść do deklaracji, być może dla niektórych szokującej.

Są w Polsce ludzie, którzy czynnie, w sposób zamierzony, przeciwstawiają się podstawowym zasadom ustroju narzuconego społeczeństwu przez władzę państwową. Jest ich tak wielu, i tak znaczące miejsce zajmują w społeczeństwie, że można mówić o ruchu opozycji politycznej jako trwałym elemencie życia kraju.

Rozumiem, że zaszokowani czytelnicy oczekują już w tym miejscu uzasadnienia, tj. odpowiedzi na pytanie o formy, mechanizmy i cele działania opozycji. Rozumiem też niepokój tych wszystkich, którzy sądzą, że odpowiedź na te pytania byłaby denuncjacją. Stąd kolejna deklaracja. Fakt występowania w naszym życiu społecznym ruchu politycznej opozycji, jej formy działania, a nawet w pewnym stopniu skład, są doskonale znane władzom PRL. Natomiast obawiam się, że bardzo wielu uczestni-

ków tego ruchu nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia swojej działalności, z jej rozmiarów, wpływów, możliwości ruchu, w którym uczestniczą.

Co więc mówić o ogromnej rzeszy ludzi biernych, choć opozycyjnie nastawionych? Jakże często przekonani są oni, że w kraju nie ma żadnej możliwości politycznego działania opozycyjnego, żadnej niezależnej myśli. Nic dziwnego, że każde masowe polityczne wystąpienie wydaje im się prowokacją. Święcie wierzą w wszechmoc policji politycznej i powszechny oportunizm, czy nawet ześwinienie.

Niezależnie jednak od tego jak wielu jest tych nieświadomych, procentowo nie można ich nawet porównać z ilością Rosjan, którzy nie wiedzą nic o istnieniu rosyjskiej opozycji i jej form działania takich jak wydawnictwa samizdatu i publiczne protesty, ani o represjach jakim podlega. Co więcej, mam pewne podstawy przypuszczać, że w Polsce większa jest wiedza o rosyjskiej opozycji, niż w samej Rosji.

Przy całym szacunku dla heroizmu i zasług rosyjskich dysydentów, nie sądzę by była to właściwa droga dla opozycji polskiej. Wprawdzie uczyć się zawsze warto, to jednak jak dotąd polskie formy działania opozycyjnego okazują się skuteczniejsze, niż wszystkie inne w naszym obozie. Choć oczywiście nie wiadomo dokładnie, czy jest to tylko zasługą tej opozycji.

Warunki społeczne i cele ideowe

Definiując formację określoną tu jako polska opozycja polityczna, odwołał się do jej przeciwnika — do koncepcji ustrojowej realizowanej przez władzę państwową. W ten sam sposób musimy postąpić i teraz formułując cele ideowe tego ruchu.

Jakiej to mianowicie koncepcji ustrojowej przeciwstawia się opozycja? Socjalizmowi? Nie, bo wielu z przeciwstawiających się bardzo to słowo szanuje. Nie o słowa jednak rzecz idzie. Gdyby zebrać wszystkie narzekania politykujących Polaków — a kto nie narzeka i nie politykuje? — to okazałoby się, że znaczącą większość tych narzekań można objąć dwoma pojęciami: brak suwerenności i totalitaryzm. Gdyby zanalizować żądania, rezolucje, ulotki wszystkich — od pięćdziesiątego szóstego poczynając — masowych wystąpień w Polsce, to ich treść można określić jako protest przeciwko zjawiskom życia społecznego, stanowiącym przejawy braku suwerenności i totalitaryzmu. Ten fakt, z przyczyn których dalej, musi wyznaczać charakter ideowy polskiej opozycji — musi być ona antytalitarna i niepodległościowa.

Państwo niesuwerenne, w kategoriach prawa państwowego,

to takie, które nie prowadzi własnej polityki zagranicznej i nie ma swobody wyboru formy ustrojowej. Czy ingerencja rosyjska w wewnętrzne sprawy Polski ogranicza się do tych dwóch kwestii? Tak, jeśli uwzględnić szczególny charakter formy ustrojowej, strzeżonej w tym kraju przez rosyjską politykę i czołgi. Jest to system, w którym niepodporządkowany kontroli społecznej centralny ośrodek dyspozycyjny dąży do kontrolowania całego życia każdego obywatela. Ponieważ zaś dążenie takie nie może być spełnione — mamy do czynienia z formą ustrojową, której istotą i dynamiką jest stała tendencja panujących do zniewolenia wszystkich. Dlatego właśnie totalitaryzm jest ciągłą destrukcją wszelkich więzi społecznych innych, niż formalna struktura organizacji państwowej (wszelkie związki, stowarzyszenia, kluby, nie mówiąc już o zakładach pracy, w tym systemie są, czy raczej powinny być, członkami organizacji państwowej).

Więć społeczna wsi, miasteczka, wspólnoty lokalnej i zawodowej opiera się na swobodnym porozumieniu i współdziałaniu w sprawach swego środowiska. Jest więc możliwa tylko jako inicjatywa nieprogramowana przez centralę, i w związku z tym przez nią niekontrolowana.

Wspólnota narodowa żyje w swojej kulturze — nieustannym tworzeniu tego, co ogół jej członków przeżywa jako własne — bo pospólne i pospólne, bo własne. Warunkiem niezbędnym tego tworzenia i przeżywania są twórcze inicjatywy społeczne, wolność słowa i nieograniczony obieg informacji. Nie można więc tego procesu centralnie programować, ani też kontrolować. Totalitarny system nie może jednak, pod groźbą samounicestwienia, dopuścić do inicjatyw społecznych, do niezaprogramowanego centralnie współdziałania, do swobody obiegu informacji, do swobód twórczych — musi niszczyć więź społeczną, unicestwić naród jako wspólnotę kulturową. Jednocześnie system totalitarny nieustannie rodzi swoje zaprzeczenie. Tendencja do objęcia centralną kontrolą wszystkiego jest tak destruktywna, że każdy obywatel, aby żyć, musi się jej nieustannie przeciwstawiać. Ten opór jednostkowy i zbiorowy występuje na wszelkich szczeblach władzy, we wszelkich instytucjach, organizacjach, w każdej fabryce i w każdej rodzinie¹.

W takiej sytuacji system totalitarny może być zachowany w państwie tylko pod warunkiem nieprzerwanego zwalczania oporu społecznego, inicjatyw społecznych i stale ponawianych prób tworzenia kultury narodowej. Praktycznie, funkcjonujący w życiu

1. Często bardzo ujawnia się jako konflikt między resortami, szczeblami władzy, regionami, i chyba obserwacja tego zjawiska nasunęła niektórym sowietologom zachodnim myśl o występującym w naszym obozie „pluralizmie instytucjonalnym”.

społecznym system jest wynikiem ścierania się tych dwóch przeciwnych tendencji, których nosicielami są zazwyczaj ci sami ludzie i te same instytucje.

Skoro zatem brak suwerenności Polski łączy się z totalitaryzmem, to sama zasada utrzymania narzuconej formy ustrojowej wymaga stałej rosyjskiej ingerencji we wszystkie sfery życia społecznego.

Charakteryzowanego powyżej powszechnego oporu przeciw totalitaryzmowi nie można uznać za opozycję polityczną. Stanowi ona jednak warunki, dzięki którym opozycja taka może się ukształtować i działać. Zaś opozycją polityczną staje się wszędzie tam, gdzie ludzie uświadamiają sobie polityczny charakter swego działania. Warunki do takiego samookreślenia posiada stale inteligencja twórcza i posiadają je studenci, oraz z natury rzeczy okresowo wszelkie środowiska, które zostały zmuszone do wystąpień zbiorowych².

Inteligencja twórcza, w szerokim tego słowa znaczeniu, z jednej strony w swojej zawodowej działalności napotyka destruktywną siłę tendencji totalitarnej, a z drugiej posiada wiedzę i wyrobienie umysłowe pozwalające interpretować własne trudności w kategoriach ogólnospołecznych. Ekonomista, inżynier, socjolog, psycholog, jeśli chcą rzetelnie wykonywać swoje obowiązki, napotykają opór polityki państwowej i bardzo szybko uświadamiają sobie jego systemowe źródła. Pisarz, poeta, humanista, historyk, reżyser żyją ze świadomością drastycznego ograniczenia, jeśli nie w ogóle zablokowania przez system, ich twórczych możliwości.

Inteligencja twórcza musi więc być z natury antytotalitarna, a jako że gwarantem porządku jest wielki sąsiad — wszelki antytotalitaryzm musi łączyć się z pragnieniem suwerenności.

Świadomość, że system panujący w Polsce jest źródłem społecznej destrukcji, a na jego straży stoi „Wielki Brat” — może prowadzić do poczucia bezsilności i apatii, lecz może też wywołać próby przebijania się mimo wszystko. W jednych zawodach takie próby mogą łączyć się z działaniem opozycyjnym, w innych muszą.

Nad tym co mogą i muszą czynić polscy inteligenci, jeśli oczywiście chcą rzetelnie pełnić swoją rolę społeczną, zastanowimy się omawiając formy działania opozycji politycznej. Na razie chcemy stwierdzić, że sytuacja inteligencji twórczej i studentów w sys-

2. Przede wszystkim, oczywiście, strajkujący robotnicy, ale także np. parafie walczące o budowę kościoła, wieś i miasteczka w obronie swoich inicjatyw społecznych itp. Takie i inne wystąpienia są w naszym kraju znacznie częstsze, niż to się może wydawać nawet niezle poinformowanym korespondentom.

temie totalitarnym nieustannie popycha jedną i drugich do politycznego, opozycyjnego działania. Do ludzi z tych grup społecznych ogranicza się ruch, o którym tu mowa. Nie sądzę jednak aby należało uważać ten fakt za słabość. Wręcz przeciwnie, to przecież inteligencja jest twórcą świadomości narodowej, a właśnie w sferze świadomości toczy się walka.

Nie mam zamiaru twierdzić, że mniej lub więcej sprecyzowana postawa antytotalitaryzmu prowadzi zawsze, czy nawet poważnie, do działania opozycyjnego, ani też, że nie ma w Polsce zwolenników totalitaryzmu i to wśród ludzi, których musimy zaliczyć do inteligencji twórczej.

Zwolennikami totalitaryzmu nie mamy powodu tu się zajmować. Musimy jednak odpowiedzieć na pytanie: czy istnieje w Polsce opozycja nie występująca przeciw totalitaryzmowi, walcząca jedynie o suwerenność?

Są niewątpliwie ludzie i ośrodki, którzy mniej lub więcej otwarcie głoszą program suwerennego państwa totalitarnego. Nie mogą jednak, i trudno mieć do nich o to pretensję, ograniczyć rosyjskiej ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski, ani też usamodzielić polskiej polityki zagranicznej. Cóż więc mogą uczynić i czynią? Budzą dumę narodową, odwołując się do świetlanych momentów historii ojczystej, tylko jednak takich które dają poczucie zbiorowej siły a nie łączą się z niczym co totalitaryzmowi niemiłe (z parlamentaryzmem, tolerancją, wolnością słowa itp.). Troszczą się o dyscyplinę społeczną rozumianą jako jednostronne podporządkowanie obywatela władzy państwowej, o surowość represji karnej, o uniformizm w myśli, czynie, fryzurach i ubraniu. Zwalczają wszelkie tendencje do liberalizmu, tolerancji, krytycznego myślenia, tj. zwalczają antytotalitarną opozycję. Ponieważ zaś na posłuszeństwo, poczucie dumy narodowej, uniformizm znakomicie wpływa nienawiść do wszelkich obcoziemców, więc w propagandzie kierunku, o którym mowa, często szczuje się przeciw Niemcom, Ukraińcom, Żydom.

Zważmy teraz, że totalitarna dyktatura w naszym kraju od dawna postawiła na nacjonalizm jako siłę scalającą naród pod swoim panowaniem. Trudno nie spostrzec, że program naszych pozał się Boże narodowców jest w gruncie rzeczy tożsamy z programem dyktatury — w ostatecznej instancji jednak moskiewskiej. Nie dziw tedy, że są oni subsydiowani przez państwo, mają organizacje (przede wszystkim PAX), pisma, wydawnictwa i wiele innych możliwości³.

3. Już samo wyliczenie tytułów gazet i czasopism tego kierunku zadziwia różnorodnością prądów, które tu się spotkały, i możliwościami wydawniczymi: „Kierunki”, „WTK”, „Słowo Powszechne”, „Argumenty”, „Wychowanie”, „Prawo i Życie”, „Walka Młodych”, „Poezja”.

Nie twierdę, że wszyscy ludzie z tym kierunkiem związani są świadomi jego prawdziwego charakteru. Twierdę jedynie, że nie są oni opozycją, ale jej zaciekle przeciwnikiem. Stroją się przy tym w kostium opozycyjny — dają do zrozumienia, mrużąc oko... Jest to znamieny paradoks: okazuje się, że władza państwowa dla ugruntowania w społeczeństwie swego autorytetu, musi powoływać do życia fałszywą opozycję.

Podkreślmy więc jeszcze raz. Polityczna opozycja w Polsce ma charakter anatytotalitarny i niepodległościowy.

Czy jednak jest ona ideowo jednolita? Nie ulega wątpliwości że nie, choć obecnie to co wspólne tak dalece przeważa nad różnicami, że można już mówić o jednolitym ruchu. Obecnie, to znaczy pod wpływem wydarzeń określanych w Polsce za pomocą terminologii kalendarzowej jako marzec, sierpień (wjazd do Czechosłowacji), grudzień. W toku tych wydarzeń zmarły naturalną śmiercią nadzieje na odnowę ruchu komunistycznego, a wraz z nimi rewizjonizm jako ideologia tego nurtu opozycji, w którym akceptowano jakąś część, czy jakiś aspekt komunistycznej tradycji. Trzeba przyznać, że poczynając od pięćdziesiątego szóstego roku ten nurt grupował ludzi szczególnie dynamicznych, odważnych, światłych i dzięki tym zaletom popularnych. Dopóki jednak odrzucali oni parlamentaryzm, nie wykazywali zrozumienia dla problematyki niepodległościowej i byli niechętni wobec tradycji chrześcijaństwa, dopóty odpychali od siebie inne nurty opozycji politycznej. Tracąc złudzenia komunistyczne, zapoczątkowali wciąż trwającą rewizję swoich przesłanek ideowych i programów, ale nie stracili cech, które czyniły ich zasadniczym nurtem opozycji.

Jednocześnie wydarzenia marcowe z całą wyrazistością okazały społeczeństwu, że władza upaństwowiła ideologię obozu narodowego i tradycję niepodległościową. Także więc nurty opozycji z tego ideowego pnia wyrastające zostały zmuszone do przewartościowania swoich postaw ideowych.

Tak oto dwa rewidujące swoje światopoglądy nurty spotkały się ze sobą w obliczu wspólnego wroga: totalitarnej dyktatury, znów splamionej krwią.

Co jednak najważniejsze — między marcem a grudniem dojrzało w Polsce pokolenie, które radykalny protest przeciw systemowi uznało za obowiązek moralny. Z tej zaś perspektywy ludzie walczącej opozycji stanowią jednolitą formację. To, co ich dzieli, ma wyłącznie charakter intelektualny — wzbogaca dyskusje, stanowi przedmiot refleksji, a więc łączy, a nie dzieli. Ci najmłodsi opozycjoniści jeśli jeszcze nie są najważniejsi czy najwybitniejsi, to już nadają ton, czują się spadkobiercami tradycji wszystkich walczących o fundamentalne wartości ideowo-moralne. Nie mają żadnych złudzeń co do charakteru ruchu komunistycznego, a jed-

nocześnie żadnych uprzedzeń wobec byłych komunistów. Nie ulegają magii słów ojczyźnianych, a jednocześnie swoje zadanie w realizacji ogólnoludzkich, uniwersalnych wartości widzą w Polsce w kształtowaniu jej samodzielnego bytu i takich urządzeń życia społecznego, które zapewniają jak najpełniejszą suwerenność osoby ludzkiej. Właśnie ten nacisk na wartość jednostki, na niezbywalne prawa człowieka i w związku z tym podmiotowość społeczeństwa — pluralizm polityczny, ideowy, światopoglądowy, przy jednoczesnej świadomości kolektywnego charakteru wytwarzania we współczesnym świecie — stanowi zasadnicze rysy wspólnoty ideowej polskiej opozycji.

Czy jest to, jak sądzą niektórzy, zespół wartości dawno już zrealizowanych w zachodnich demokracjach? Pozostawmy to różniące nas pytanie bez odpowiedzi.

Program działania

Centralnym problemem, który już na wstępie musi rozwiązać wszelka polityczna opozycja jest wybór między częściową choćby i wymuszoną akceptacją systemu, w którym działa, a jego zasadniczą negacją. W zależności od tej decyzji ruch opozycyjny albo stara się oddziaływać na decyzje władzy państwowej i kontrolować ich realizację, albo przeciwnie — przeciwdziałać polityce władzy. Odpowiednikiem tej alternatywy, w każdym razie w polskiej tradycji politycznej, wydaje się być alternatywa — uczestniczyć w systemie albo konspirować i walczyć zbrojnie. Ponieważ formalna konspiracja wydaje się w kraju niemożliwa, a walka zbrojna niedopuszczalna z oczywistych względów, widzi się często bierność jako przeciwieństwo pewnej, choćby ograniczonej, akceptacji systemu.

Uczestnictwem w systemie, i tym samym jego akceptacją, jest w naszych warunkach wszelkie pełnienie obowiązków zawodowych, i w tym sensie wszyscy, czy prawie wszyscy, obywatele tego kraju, niezależnie od swojej nadziei czy beznadziejności, akceptują system. Jednocześnie zaś również wszyscy jakoś go tam zwalczają, a tym samym negują. Ta sprzeczność odbiera wiarygodność głoszonemu od czasu do czasu wezwaniom do pracy organicznej, które mogą stanowić jedynie wygodne uzasadnienie bierności politycznej.

Jeśli mówimy tu o uczestnictwie, to interesuje nas wyłącznie akceptowany przez władze udział w życiu politycznym jednostek czy grup o nastawieniu w jakiś sposób niezgodnym z oficjalnym. Znamienne jest, że nie ma w Polsce, jak zresztą w żadnym innym kraju tzw. obozu, takiej formacji. PAX jest wszystkim, tylko nie

opozycją. Program tego ugrupowania nie różni się niczym od programu totalitarnej dyktatury. Grupa poselska ZNAK nie uczestniczy w życiu politycznym. Nie ma ona nic do powiedzenia w sejmie, który nie ma nic do powiedzenia w kraju. Zupełnie niedawno jednak jeden z posłów tej grupy — Zabłocki — złożył z trybuny sejmowej zaskakującą ofertę: Katolicy, w zamian za prawo udziału w życiu politycznym, poprą aktywnie w sposób zorganizowany system polityczny panujący w Polsce.

W czym imieniu składał swoją propozycję, co naprawdę proponował?

Udział wierzących Polaków w życiu politycznym może oznaczać prawo każdego z nich do wyrażania swoich poglądów politycznych, i swobodnego wyboru politycznych reprezentantów. Byłaby to więc propozycja likwidacji systemu totalitarnego, który Zabłocki jednocześnie obiecywał poprzeć, a na wstępie swego przemówienia długo i gorąco chwalił. Podstęp? Naiwność? Obawiam się, że ani jedno, ani drugie. Z tekstu wystąpienia wynika niedwuznacznie, że nie o swobodę głoszenia politycznych poglądów chodzi, a po prostu o praktyki religijne. Udział w życiu politycznym to zatem prawo praktykujących katolików do realizacji polityki partii i rządu. Ceną zorganizowanego poparcia dla systemu byłoby stronnictwo katolickie o takich samych uprawnieniach jak stronnictwa już istniejące.

Jestem przeciwnikiem wszelkich form dyskryminacji religijnej. Trudno mi jednak uznać za zdobycz demokracji fakt, że funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, dyrektorzy szkół oraz wyżsi i średni funkcjonariusze państwowi będą mogli chrzczyć swoje dzieci jawnie zamiast, jak dotąd, w ukryciu. Za jaką cenę? Pytanie dla rozważanego problemu zasadnicze. Może stronnictwo katolickie potrafiłoby sobie wywalczyć jakąś, choćby ograniczoną, samodzielność?

System totalitarny, jak się już rzekło, nie może tolerować żadnych ośrodków inicjatywy społecznej. Mogą one istnieć tylko przeciw niemu. Dlatego każde ugrupowanie polityczne powołane przez władze PRL musi stać się w krótkim czasie tylko jednym jeszcze szyldem na strojnej fasadzie antynarodowej dyktatury. Tak też musi się skończyć wszelka próba grupowego uczestnictwa w życiu politycznym za cenę akceptacji. Grupowe uczestnictwo wkrótce ograniczy się do grupowej akceptacji.

A jednostkowe? To już bardziej skomplikowana sprawa, w zależności od tego co możemy czynić, a co musimy akceptować. Zmieńmy porządek tego pytania: Co możemy akceptować i musimy czynić?

Milcząco akceptujemy prawie wszyscy — wszystko. Po prostu żyjąc jako ludzie państwowi. Pytamy więc, czy warto dekla-

rować swoje poparcie dla systemu, głosić chwałę socjalizmu, Polski Ludowej i jej osiągnięć? Mniej eufemistycznie: czy wolno kłamać, głosić pochwałę destrukcji społecznej, czy nawet zbrodni, na czarne mówić białe, na białe — czarne? To co z tego, że nikt w to nie wierzy? Tym gorzej. Czyniąc tak pracujemy nad tym, aby język kłamstwa stał się jedynym, jakim Polacy mówią o sprawach pospólnych — narodowych. I to wszystko po to, aby po cichu przeciwdziałać totalitaryzmowi, co przecież każdy i tak czyni, po prostu dlatego, że musi żyć. A i samo to przeciwdziałanie jest arcydialektyczne, bo ratuje przed zagładą, a jednocześnie samo jest trujące. Niesie ze sobą prywatę, korupcję, egoizm, pijaństwo, nieuczciwość, kłamstwo...

Deklarować swoje poparcie dla systemu, to uczestniczyć w jego destruktywnej działalności. Tylko za cenę takich nieustannie składanych deklaracji można od wewnątrz oddziaływać na decyzje władzy. Szkody wyraźne, a pożytki wątpliwe.

Nie, nie może to być program dla politycznej opozycji. Nie ulega też wątpliwości, że nie możemy w tej chwili zmienić systemu panującego w Polsce. Gdyby jednak destrukcja moralna Polaków i kulturowa narodu nie znajdowała silnego oporu, to nie moglibyśmy zmienić go nigdy.

Zagrożony jest byt narodu jako wspólnoty kulturowej, i ten fakt wyznacza program działania opozycji. Przeciwwstawić się destrukcji moralnej i kulturowej, niesionej przez totalitaryzm. Jest to działanie wychowawcze, skierowane przeciw zasadniczemu celowi polityki państwowej. Pozytywnie — znaczy to pracę nad wyrobieniem w społeczeństwie postawy antytalitarnej, wrażliwości moralnej, pluralizmu politycznego, tolerancji, woli samostanowienia, krytycyzmu, a wraz z nimi wiedzy politycznej — umiejętności politycznego myślenia i działania.

Nie pierwszy to raz w historii Polski wychowanie czyni się programem niepodległościowym, a warto pamiętać, że był to chyba jedyny program zawsze skuteczny. Nie oznacza to też wyłącznie, czy nawet przede wszystkim, programu pracy dla przyszłości. Chodzi przecież o ograniczanie tego, co w powszechnym oporze jest społecznie destruktywne, a wzmacnianie jego politycznego charakteru; o wnoszenie w codzienne życie każdego Polaka etyki społecznej i świadomości narodowej.

Fakt, że Polska jest krajem najmniejszej niewoli w największym „łagrze mira” jest spowodowany przede wszystkim szczególną polityczną aktywnością szerokich rzesz naszego społeczeństwa. Tę aktywność jestem skłonny przypisywać stałemu współwystępowaniu w naszym społeczeństwie powszechnego jednostkowego oporu z ruchem opozycji politycznej.

Formy działania

Wszystkie problemy, którymi zajmuję się w tym szkicu, są stale podejmowane przez publicystykę krajową w czasopiśmie i książkach drukowanych legalnie pod czujnym okiem cenzorów. Ukazywały się i ukazują coraz częściej rozprawy większe i mniejsze analizujące mechanizm systemu totalitarnego, problemy suwerenności i jej warunków, strategię i taktykę opozycyjnego działania.

Prezentowany program wychowawczego działania opozycji ma już w kraju sporą bibliografię i dopiero po burzliwej dyskusji w prasie krajowej sformułował go, niestety nieśmiało, Kołakowski w paryskiej *Kulturze* („Sprawa polska”).

Legalne piśmiennictwo to zatem ważna forma opozycyjnego działania. Dla zilustrowania zjawiska odwołam się tu do dwóch prac, ze zrozumiałych względów już historycznych. W 1961 roku ukazała się książka Włodzimierza Brusa „Ogólne problemy funkcjonowania gospodarki socjalistycznej”, a w 1972 roku „Dzieje agonii” Pawła Jasienicy, ostatni tom cyklu: „Rzeczypospolita Obojga Narodów”. Obydwie książki wydano w Warszawie. Wybieram właśnie te dwa przykłady, ponieważ każda z tych książek stanowi próbę syntezy wybranego problemu i każda prezentuje odmienną, a wciąż aktualną, technikę przekazywania cenzury.

Książka Brusa poświęcona jest analizie funkcjonowania systemu totalitarnego w gospodarce i wykazuje, że jest to system marnotrawiący siły i środki społeczne, nieefektywny, dający się stosować tylko przy niskim poziomie techniki. Co więcej, autor wykazuje, że totalitaryzm w gospodarce wiąże się ściśle z totalitaryzmem politycznym, a wszelka zadowalająca reforma gospodarcza wymaga politycznej demokracji.

Jak to się stało, że książka taka mogła się ukazać w kraju o przewencyjnej cenzurze, w którym za głoszenie programu demokracji politycznej ferowane są wieloletnie wyroki?

Autor posłużył się techniką trudnych słów i rozważań modelowych. (To ostatnie zapewne nie tylko ze względów cenzuralnych). Obydwie metody są szeroko stosowane w krajowej publicystyce i piśmiennictwie naukowym. Pierwsza polega na zastępowaniu słów mogących wzbudzić czujność cenzora mało znanymi terminami naukowymi — np. zamiast rząd pisze się — centralny dyspozytor, zamiast totalitaryzm — system centralnie sterowany itp. Posługując się metodą rozważań modelowych, autor deklaruje brak zainteresowania rzeczywistością, zwraca się ku czystej teorii. Konstruuje model systemu centralnie sterowanego i wszystko co chce powiedzieć o gospodarce socjalistycznej do niego odnosi. Jeszcze chyba w tej chwili można nabyć w prowincjonalnych księ-

garniach książkę, w której zastosowano obydwie metody dla analizy funkcjonowania systemu społecznego w Polsce. Pisze się tam o październiku, marcu, grudniu i przeprowadza zasadniczą krytykę systemu, uzasadniając jego destruktywny charakter.

Pomijając inne walory, jest to dzieło ostrzejsze od trzech czwartych produkcji rosyjskiego samizdatu, wydane w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy i dostępne w bibliotekach i czytelnich. Nic to, emigracyjni szwoleżerowie wciąż się dają, że w kraju nie ma samizdatu.

Czy jednak to, czego nie zrozumiał cenzor będzie rozumiał dla nieuprzedzonego czytelnika?

Wahałbym się z udzieleniem odpowiedzi twierdzącej. Tym bardziej, że przecież nie wszystkie rozważania modelowe, nadużywające trudnych słów, stanowią prace o charakterze opozycyjnym. Może więc trzeba uprzedzać czytelników?

W książce Pawła Jasienicy nie ma trudnych słów, ani rozważań modelowych. Jest ona napisana metodą historyczną, najpopularniejszą chyba w krajowej publicystyce opozycyjnej. Traktuje zaś o warunkach, w jakich państwowość polska straciła swą suwerenność, uzależniając się od Rosji, i tym samym o warunkach odzyskania niepodległości. Zasadniczy wątek tej jednoznacznie współczesnej książki to polemika z twierdzeniem, jakoby słabość Rzeczypospolitej tkwiła w jej parlamentarzmie. Autor wykazuje, że było akurat przeciwnie. Że właśnie degeneracja demokratycznych instytucji życia społecznego, zanegowanie pluralizmu ideologicznego i tolerancji, samowola rządzących i ubezwłasnowolnienie rządzonych stały się źródłem utraty suwerenności i w konsekwencji własnego bytu państwowego. Warto tu także zwrócić uwagę na jeszcze jeden niezwykle doniosły wątek — na sprawy naszych wschodnich i północnych sąsiadów, jednak nie Rosjan, jak przywykliśmy sądzić, ale Ukraińców, Białorusinów, Litwinów. Jasienica dowodzi, i nie sposób się z nim nie zgodzić, że Rosja, która panuje nad tymi narodami, musi grozić suwerennej Polsce. Nasze tragiczne położenie geograficzne nie jest więc darem niebios i może być świadomie przez politykę polską kształtowane. Suwerenność Ukrainy, Białorusi, Litwy to program walki o suwerenność Polski i jednocześnie jej realni, a nie egzotyczni, sojusznicy.

Dla opozycji politycznej w Polsce ta myśl musi stanowić dyrektywę działania. Dla wrogów tej opozycji — już stanowi. Nie przypadkiem Ukraińcy są drugim po Niemcach wrogiem w państwowej i *quasi* narodowej publicystyce, literaturze, filmie.

Nie pierwszy raz w naszych dziejach używa się historii jako formy mówienia legalnego o nielegalnych sprawach współczesnych. Ma to swoje wady, o których trzeba napisać osobno. Tu

chciałbym zwrócić uwagę na pewne niebezpieczeństwo związane ze znamienym faktem, że nie tylko opozycja posługuje się metodą historyczną. Ba, mało — szczególnie często, głośno, narodowo i po polsku (czytaj: z olbrzymią ilością tych przymiotników) piszą o historii Polski fałszywi opozycjoniści. Recepta jest prosta. Przekładają ją na przykładzie Żałuskiego.

Dowodzi on, wciąż od nowa z nieśląbnącym zapałem, że żołnierz polski zawsze dobrze służył ojczyźnie, ilekroć służył bez zastrzeżeń swoich dowódców, niezależnie od tego, czy ci dowódcy wykonywali rozkazy Napoleona czy Stalina.

Nie mam zamiaru twierdzić, że żołnierz powinien nie słuchać swoich dowódców. Choć może, gdy jechaliśmy do Czechosłowacji? Choć może, gdyby nam kazali jechać nad Ussuri? Nie o to jednak chodzi. Pan Żałuski, gromko krzyżąc w obronie honoru polskiego żołnierza zdyscyplinowanego, co w żaden sposób nie może zaszkodzić totalnej dyktaturze, zdobywa zaufanie wrażliwych na wszelką polskość czytelników, zaś w tych samych tekstach, w których to zaufanie zdobywa, zwraca je przeciw tzw. oszczercom — tj. przeciw tym, którzy chcą o polskiej historii myśleć, bo myśleć przecież można tylko krytycznie.

Opozycyjna publicystyka, aby posługiwać się historyczną formą, musi wybierać w dziejach narodu wątki konfliktowe: atakować jednych, a akceptując innych czynić to krytycznie, z dystansem, bez uwielbienia. Z taką opozycją najłatwiej walczyć dmąc w narodowe surmy. Więc dmą, a iluż uczciwych daje się na to nabrać?

Publicystyka opozycyjna to nie tylko książki i nie tylko próby syntezy. To przede wszystkim artykuły, felietony, rozprawki, polemiki związane z różnymi, bardzo nieraz szczegółowymi i pozornie drobnymi sprawami. Nie możemy omawiać szczegółowo całej tej, jednak masowej produkcji, zasygnalizujemy więc tylko ogólnie: Są to rozliczne, ogólne i szczegółowe teksty *w obronie*: godności ludzkiej, prawa do odmiennego stylu życia, głoszenia swoich poglądów, do inicjatyw społecznych, do rozumu, obrony nieszczęśliwych i prześladowanych, uniwersalizmu, praworządności itd. A także *przeciw*: ksenofobii, nacjonalizmowi, samowoli władzy, zastrzaniu represji, naruszaniu wolności osobistej itp. Słowem — w obronie fundamentalnych wartości ludzkich, praw obywatelskich, przeciw totalitaryzmowi. Posłużmy się tu jednym tylko przykładem. Na łamach „Walki Młodych” jakaś pani ordynarnie zaatakowała książkę profesora Kępińskiego „Schizofrenia”. O co szło? Po prostu dzieło stanowiące próbę zrozumienia schizofreników jest wielką obroną godności i suwerenności osoby ludzkiej i nakazuje jej, jako nadrzędnej wartości, podporządkować działanie ludzkie. Partyjni specjaliści od dywersji ideologicznej

dobrze je odczytali — jest to idea głęboko antypartyjna. Pani wydrukowała stek inwektyw i natychmiast odpowiedziano jej w kilku pismach, wskazując jednoznacznie na totalitarną motywację ataku. Wymieńmy te pisma: „Literatura”, „Kultura”, „Polityka”, „Student”, „Odra”, „Tygodnik Powszechny”, „Więź”, „Znak”. Nie zapomnijmy jednak, że to w „Polityce”, piórem naczelnego redaktora, pana Rakowskiego, zaatakowano niedawno Sołżenicyna i innych rosyjskich dysydentów, że w „Kulturze” szczególnie przekonująco uzasadnił pan Wilhelmi interwencję w Czechosłowacji, a nawet wspomniął, że gdy trzeba to pójdziemy nad Ussuri. Oni powiedzą, że to jest cena, którą muszą płacić. A jednak np. w „Tygodniku Powszechnym” nie muszą, a kiedy nie było innego wyjścia — odeszli, woleli zamilknąć całkiem, niż uczestniczyć w kłamstwie. Bo, jak już rzekliśmy, uczestniczyć w kłamstwie — to brać udział w najbardziej destruktywnym, antynarodowym dziele miłościwie nam z woli Kremla panujących.

Tak wiele miejsca poświęciliśmy publicystyce, że na omówienie opozycyjnej literatury, poezji, teatru, kabaretu politycznego, nie możemy sobie pozwolić. A kto wie? Może to właśnie fakt powstawania i ukazywania się drukiem w kraju dzieł artystycznych wstrząsających sumieniem narodu, atakujących zbrodnie, kłamstwo, wzywających do oporu, jest najważniejszy? Może to twórczość Herberta, Słonimskiego, Woroszyńskiego, Nowakowskiego, Barańczaka, Krynickiego i tylu, tylu innych, stanowi najdonioślejszą formę działania opozycji. Na pewno jednak szczególnie doniosłe znaczenie posiada na pół zinstytucjonalizowany ruch amatorski teatru i estrady, w którym dzieła rzeczywistych twórców kultury narodowej stają się okazją do zbiorowych przeżyć i dyskusji. A jest przecież jeszcze nauka, którą tylko zasygnaliliśmy — dzieła, studia, odczyty, wykłady i seminaria, i ściśle z nauką związany autorytet moralny takich ludzi jak Ossowska i Lipiński.

Wydaje się jednak, że omawiane tu formy artykulacji dążeń i myśli społecznych w jakimś stopniu zasyfrowane, najczęściej cząstkowe, a zawsze niedopowiedziane, nie mogłyby wystarczyć dla krystalizowania się wspólnoty ideowej opozycji, bez której ruch jest niemożliwy. Nie byłoby więc ruchu polskiej opozycji, nie byłoby i tych ograniczonych form artykulacji, gdyby nie trzy instytucje: Kościół, w szerokim tego słowa znaczeniu — środowiska, oraz emigracja, a ściśle jej wydawnictwa.

Rolą Kościoła w naszym życiu trzeba się zająć osobno. W sytuacji gdy walka toczy się przeciw moralnej destrukcji Polaków, przeciw zanikowi etyki życia społecznego — nie sposób jego roli przeceniać. Wszystko co tu piszę dotyczy więc także, czy przede wszystkim, Kościoła jako hierarchii, kleru, wspólnoty wiernych.

Sprawa to jednak złożona. Nie można więc jej skwitować kilkoma, czy kilkunastoma zdaniem.

O roli emigracji pisze się w krajowej publicystyce opozycyjnej wiele, wyłącznie w historycznych kostiumach, nie mniej jednoznacznie. Zgadza się wszyscy, że zniewolony naród musi mieć możliwość mówienia pełnym głosem. Niezbędna jest otwarta, dopowiedziana refleksja nad zasadniczymi sprawami społeczeństwa polskiego. W kraju jest to niemożliwe — na emigracji tak. Ogromne zasługi dla walki z kłamstwem w szerokich rzeszach społeczeństwa polskiego posiada Radio Wolna Europa. Ale przyznajmy to uczciwie — wszyscy ludzie polskiej opozycji wychowali się na książkach Instytutu Literackiego w Paryżu. Jedno jest też pismo polskie na emigracji, które jest naszym pismem: paryska *Kultura*. Od niedawna pojawił się jeszcze *Aneks*, też wyraźnie adresowany do kraju, ze zrozumieniem naszych potrzeb. Publikują tam wyłącznie rozprawy naukowe i naukowo-publicystyczne, poświęcone sowietologii i problemom szeroko pojętej lewicy.

Coraz więcej jest tych emigracyjnych wydawnictw w kraju, coraz częściej ukazują się w nich teksty tutaj pisane, coraz częściej też w krajowej publicystyce opozycyjnej udaje się przemycić omówienie książek wydanych na emigracji i nawet teksty emigracyjnych autorów.

Powoli, bardzo powoli, zbliżamy się do stanu pożądanego, tj. do jednolitego, a nie jednakowo myślącego, frontu opozycji z emigracją polityczną.

W tym miejscu smutna refleksja: ilu emigrantów odwiedzających kraj przywozi książki? Obawiam się, że niewielu. Syty głód nie zrozumie.

Środowiska to wprawdzie też forma działania opozycyjnego, ale to jednocześnie po prostu sama opozycja. Mam tu na myśli ludzi, którzy utrzymują ze sobą stosunki towarzyskie, a więc bywają u siebie przy różnych okazjach i bez nich, dyskutują, pożyczają książki. Można nawet powiedzieć, że częścią ruchu opozycji jest każdy krąg towarzyski, w którym treścią rozmów są sprawy publiczne. Już bowiem samo to, że ludzie rozmawiają ze sobą bez cenzury jest działalnością antytotitarną. Tyle, że nie można ze sobą rozmawiać jeśli się nie ma nic do powiedzenia o rzeczach pospólnych. Na co dzień rozmawiają więc tylko ci, którzy również na co dzień starają się dotrzeć do informacji, przeskoczyć barierę kłamstwa, papki pustych słów i przemilczeń, jakimi darzy ich oficjalna propaganda. Słowem — ludzie poszukujący opozycyjnej publicystyki, emigracyjnej, i w ogóle zachodniej, literatury, słuchający zachodnich rozgłośni. Przede wszystkim w takich kręgach skupia się młodzież studencka i młoda

inteligencja twórcza. Nie ma w nich jednak na ogół żadnej bariery wiekowej, jak i zresztą światopoglądowej. Tam, gdzie to możliwe, środowiska takie łączą się, zrastają, krzyżują. Znam takie, które liczą się w setki i takie, które w dziesiątki, choć zdarza się, że jest to tylko kilka osób, w dodatku izolujących się, czy izolowanych.

Często środowisko powstaje wokół ludzi-institucji, wybitnych twórców, czy ludzi cenionych za postawę moralną, odwagę, jasność myśli. Jeszcze częściej wokół pewnego typu inicjatyw społecznych częściowo zinstytucjonalizowanych, np. teatrów amatorskich, grup turystycznych, klubów itp. Szczególnie wielką jest w tym dziele rola Kościoła jako oparcia dla różnych tego typu grup i nawet całych ruchów. Ale dla powstania środowiska nie potrzeba wcale ani szczególnych ludzi, ani instytucji. Wystarczy, że ktoś myślący *pro publico bono* zacznie szukać wokół siebie innych sobie podobnych. Zaraz też okazuje się, że jest ich wielu i bardzo wiele mogą zdziałać. Same rozmowy w niektórych środowiskach przekształcają się w systematyczne samokształcenia czy seminaria, a nawet całe programy badawcze. To właśnie w środowiskach tego typu krąży literatura emigracyjna, tu dyskutuje się pozycje krajowej publicystyki opozycyjnej, tu czytają swoje wiersze poeci i śpiewa się piosenki polskiej i rosyjskiej opozycji. Z takich dyskusji rodzą się nowe artykuły i książki drukowane w kraju, bądź na emigracji. Wreszcie, to dzięki środowiskom możliwe jest publiczne występowanie przeciw samowoli władzy. W różnych lokalnych sprawach na oficjalnych zebraniach, w sprawach krajowych w listach i petycjach. Przecież po to, żeby obronić Kowalczyków przed karą śmierci, wpłynęło do Rady Państwa kilka tysięcy listów, kilkuset ludzi musiało odbyć kilkanaście tysięcy rozmów. Często słyszy się poglądy, że niewielka, jak się wydaje, ilość takich protestów w różnych sprawach naszego życia wynika ze strachu Polaków. Boją się ludzie — to prawda i bądźmy szczerzy: mają się czego bać. Ale nie mam żadnych wątpliwości, że w każdej uczciwej sprawie moglibyśmy zebrać około tysiąca podpisów, a jakże przecież ograniczona jest moja perspektywa.

Dlaczego więc nie w każdej sprawie występujemy? A no właśnie, ze względu na władze. Jeśli czwarty i ostatni list w sprawie uwolnienia z więzienia tzw. grupy kierowniczej nielegalnej organizacji „Ruch” podpisało jedenaście osób (Ossowska, Stonimski, Lipiński, Estreicher, Kielanowski, Bartoszewski, Żółkiewski, Strzelecki, Strykowski, Konwicki, Herbert) i fakt ten został przez nich utrzymany w tajemnicy, to nie dlatego, że nie można było zebrać tysiąca podpisów i krzyknąć na cały świat. Władze wiedziały, że możemy to zrobić i nie chcieli żebyśmy zrobili.

Dlatego właśnie były skłonne do ugody. A szło przecież o wolność pięciu ludzi, i nikt z nas nie chciał tej sprawy poświęcić na ołtarzu polityki.

Może w pewnych sprawach, w których decydujemy się milczeć ze względów taktycznych, należałoby jednak przemówić (np. sprawa Sołżenicyna, czy w ogóle rosyjskich dysydentów). Może warto podyskutować nad tym, ale nie ze strachu płynie nasze milczenie.

Na koniec, choć nie ostatnia, funkcja środowisk w moralnej ocenie zachowań ludzkich wobec antynarodowej dyktatury. Zwróćmy, proszę, uwagę jak bardzo boją się środowisk różni zaprzańcy. Co i raz czytamy w prasie rządowo-narodowej lament nad dyktaturą, a nawet terrorem moralnym pewnych środowisk „kawiarni literackiej” itp. Na jednym z procesów tzw. Komandosów prokurator żalił się, że świadkowie oskarżenia są prześladowani, a nawet nie mogą znaleźć pracy. Przypomnijmy, działo się to na początku 1969 roku, a więc w okresie najostrzejszego terroru policyjno-partyjnego i to wcale nie moralnego. Zresztą, skoro już o Komandosach mowa, warto wspomnieć, że był to klasyczny przykład środowiska. Ilu ich było? Bezpieczeństwo twierdziło, że od tysiąca do czterech. To wśród nich napisano „List otwarty do Partii”, to oni panowali na wszystkich dyskusjach uniwersyteckich w latach 1962-68, zainicjowali petycję w sprawie „Dziadów” Mickiewicza, rozpowszechnili setki emigracyjnych książek i ulotnych, pisanych na maszynie artykułów, rozprawek, apeli. A kiedy władze postanowiły ich sądzić — okazało się, że nie ma za co, bo wszystko czynili zgodnie z kodeksem karnym. Oczywiście skazano kilkanaście osób, ale za przynależność do tajnego związku... „który dla celów konspiracyjnych nie przybrał form organizacyjnych”, i zdążyli jeszcze wygłosić kilka godnych uwagi przemówień sądowych.

O to właśnie idzie w działalności środowisk opozycyjnych, żeby obejść się bez form organizacyjnych — nic, tylko luźne, towarzyskie kontakty. Nie robić list, nie wymyślać nazw, nie spierać się o punktualność, Boże broń, nie ustalać prowadzących dyskusję, nie podejmować żadnych postanowień, nie zbierać składki. A właśnie pieniądze to bardzo trudna sprawa. Bo reżym bierze głodem — wychylisz się i pracy nie dostaniesz. Trzeba więc nieraz utrzymywać tych, którzy za nas cierpią, nie mówiąc już o pomocy rodzinom więzionych, o opłacaniu grzywn i kosztów procesów. Trzeba się więc składać, ale rozmawiać o tym nie wolno. Ot, przyjacielowi daję, bo mam. A znam kogoś dobrze, to poproszę żeby też dał. Nie wolno się rozliczać, pytać na co daję, ani skąd jest to, co biorę. Trudna sytuacja, ale nie ma rady, tak musi być. No, a skoro to wszystko co robimy tylko na

przyjaźni ma się opierać, to i o głupie swary może się rozbijać. Musimy więc przeskoczyć osobiste animozje, zazdrości, obmowy, sympatie i antypatie, a bądźmy szczerzy — nie zawsze umiemy.

Wyznamy granice

Nie mam zamiaru ukrywać, że tekst niniejszy nie został napisany ku pokrzepieniu serc. Jest to program działania polskiej opozycji. Nie socjotechnika jednak podyktowała jego opisową formę. Program ten zrodził się w działaniu i wciąż coraz pełniej i doskonale jest realizowany. Z tych społecznych korzeni jego genialność. Taki ruch opozycji nie może być stłumiony, ani nawet na dłużej ograniczony. Wszystkie represje dodają mu siły, dynamizują, upowszechniają.

Ma on jednak dwie bardzo ważne słabości, które łącznie można określić jako trudności z wyodrębnieniem.

Z jednej strony trudno wyodrębnić nasz ruch od tych, którzy mu szkodzą. Z drugiej, bardzo trudne są do wyodrębnienia formy działania ruchu dla tych, którzy są pozbawieni kontaktów, a chcą walczyć.

Zacznijmy od tej pierwszej trudności. Powiedzieliśmy, że działaczem opozycji jest każdy, kto w prasie krajowej zwalcza totalitaryzm we wszelkich jego przejawach. Ale co zrobić z takim, który zwalcza w różnych drobnych, a czasem i nawet większych sprawach, ale równie często głosi chwałę socjalizmu, uzasadnia dyktaturę partii, pisze że wprawdzie w minionym okresie było trochę źle, ale w obecnym (a zawsze mamy tylko obecny) już jest dobrze. Tak przecież czynią panowie Szczepański, Rakowski, Toeplitz, Urban, Passent i wielu, wielu innych. Uczestniczą w kłamstwie, a twierdzą na pewno, że to tylko po to, żeby w innym miejscu tego samego artykułu służyć prawdzie. Może nawet sami wierzą w to co mówią, a głowę dają, że w niektórych środowiskach uchodzą za opozycjonistów. Co to więc mówić o takich, którzy swoje uczestnictwo w kłamstwie ograniczają do z rzadka wygłaszanych paru pustych sloganów, czy zgoła raz taki slogan publicznie wygłoszą. Co myśleć o Grotowskim z wszystkimi jego zasługami dla naszej kultury, gdy w Ameryce na pytanie dziennikarza czy wybierze wolność odpowiedział: wybieram wracając do Polski. Co sądzić o opublikowanej w prasie wypowiedzi Swinarskiego: dziękuję Partii za to, że daje mi pełną swobodę twórczą.

Takie pytania można by mnożyć, a przecież koniecznie trzeba udzielić na nie jasnej odpowiedzi. Myślę sobie, że jest taka odpowiedź. Udzielił jej Aleksander Sołżenicyn — człowiek największego formatu wśród nas, ludzi walczących — zeków socjalistycz-

nego łagru. „Nie uczestnicz w kłamstwie! Nigdy, pod żadnym pozorem i za żadną cenę! Jedno kłamstwo człowieka prawdziwego ma większą wagę, niż wszystko co plotą łgarze. Nie uczestnicz w kłamstwie!”.

Myślę, że trzeba z tego zdania uczynić podstawowe hasło opozycji i jedyną podstawę potępienia. Każdy, kto publicznie wygłosi myśl w którą nie wierzy, godny jest pogardy. Niech już nikt więcej nie tłumaczy nam, że nie myśli tego, co mówi. Niech raczej broni „swojego” socjalizmu, „swoich” swobód, „naszych” sukcesów. Każdy ma prawo do głoszenia swoich poglądów.

Nie komplikowałbym już bardziej tej i tak skomplikowanej sprawy. Nie wyróżniał pism, w których można pisać, pochodów i zebrań, w których można uczestniczyć, organizacji, do których można należeć, z wyjątkiem oczywiście służby bezpieczeństwa, ale w tej sprawie nigdy w Polsce nie było żadnych wątpliwości. Jak na razie są to sprawy do ustalania między przyjaciółmi.

A teraz druga z zasygnalizowanych powyżej trudności wyodrębnienia. Są w naszej ojczyźnie ludzie młodzi, czy nawet bardzo młodzi, którzy nie chcą, jak to się śpiewa w pewnej piosence, „dłużej godzić się ze złem”. Ilu ich jest nikt nie wie, ale istnieją pewne dane, że bardzo, bardzo wielu. O opozycji w Polsce nigdy nie słyszeli, bo i skąd? Nie wierzą prasie, radiu, książkom i nie mają się kogo poradzić. To nawet nie o to chodzi, że szkoda — tak strasznie potrzebni, tak bardzo chcą i nic. Największe zło polega na tym, że wielu z nich, czepiąc wiedzę z dziejów ojczyńskich, zakłada tajne związki. Mam wrażenie, że poszła nowa fala konspiracji przez kraj.

Konspiratorzy, jak to konspiratorzy, wymyślą ładnie brzmiącą nazwę, sporządzą listę członków, wybiorą kierownictwo i dawaj się zastanawiać co robić dalej. Daj Boże, książki zaczną czytać, dyskutować, wolne słowo szerzyć.

Bo przecież ktoś parę tygodni temu podłożył bombę pod gmach KW w Szczecinie. Bo przecież dopiero teraz wyszli z więzienia chłopcy z organizacji „Ruch”, którzy chcieli muzeum Lenina podpalić i na cele organizacji dokonywali aktów ekspriopriacji. Bo bracia Kowalczykowie wysadzili aulę WSP w Opolu.

Prawda, że gdyby nawet bracia Kowalczykowie wysadzili tę aulę z Gierkiem, to cała wina byłaby po stronie wysadzanego, a nie wysadzających. To „oni”, a tak się mówi w Polsce o panujących, deprawują od dziesięcioleci ten naród, ogłupiają, szerzą znieczulicę moralną, uczą pochylać zbrodnię i opluwać heroizm, szerzą nienawiść i gnoją miłość.

Prawda, że ci młodzi ludzie, którzy decydują się podłożyć bombę, czy podpalić, to najlepsi z najlepszych. Zamiast pchać się po trupach do kariery i topić w wódce chandrę, kraść, czy

choćby tylko uprawiać swój ogródek — stają do walki o najwyższe wartości ludzkie. Niestety, jeśli tylko konspirują, to niewiele mogą zdziałać, a muszą w końcu trafić w błoto śledztwa i do więzienia na wiele lat. Jeśli zaś ponadto wysadzają, czy tylko planują wysadzenie, czeka ich to samo śledztwo, więzienie, a w dodatku szkodzą naszej sprawie. Bo wprawdzie Polacy nienawidzą systemu, ale mimo wszystko wciąż jeszcze, na szczęście, ten kraj i wszystko co w nim zbudowali uważają za swoją ojczyznę. Konspiracja, przynajmniej to, nabiera politycznego znaczenia i moralnego sensu w chwili, gdy zostaje wykryta, a wiadomość o niej przedostanie się jakąś drogą do publicznej wiadomości. Ma sens jako nieartykułowany krzyk protestu. Ale i on może nam szkodzić, bo przecież zachęca innych do konspirowania. Potem jest jeszcze sąd, jedyna w Polsce naprawdę wolna trybuna. Tylko trzeba, żeby na wolności pozostali przyjaciele, którzy podniosą krzyk, dostaną się na salę sądową, zapiszą słowa oskarżonych, a później rozpowszechnią. Konspiratorzy do więzienia idą wszyscy. Jeśli więc nie dowiedzą się o procesie ludzie opozycji, słowa oskarżonych dotrą tylko do milicyjnego konwoju.

Przypomnijmy jeszcze, że przed procesem jest śledztwo, a tam łamią charaktery, i później sala sądowa jest miejscem hańby. No i wreszcie, jeśli się pokonspirowało, a jeszcze coś podpaliło, czy chciało podpalić, nie mówiąc o ekspriopriacjach, to sąd okazuje w majestacie prawa i nawet trudno go potępić.

Dwa razy już w ostatnim dziesięcioleciu sądzony i skazany Jacek Kuroń często powtarza młodym: jak już coś robisz władzy niemiłego, to od razu przymierzaj się do ławy oskarżonych. Znaczący to, przyswycyzajaj się do myśli o więzieniu, ale także myśl jak się będziesz czuł, gdy czyny twoje staną się publicznie wiadome.

Każdy ma prawo tyle razy dostać w dupę, ile razy sobie życzy, ale jeśli już, to z sensem.

A więc niech sądzą bezprawnie, niech czyny, za które sądzą, służą wielkiej sprawie walki o duszę narodu polskiego.

Chcesz walczyć — to czytaj, dużo czytaj! Rozmawiaj, dużo rozmawiaj, pisz i występuj na zebraniach i szukaj, szukaj podobnych sobie. Żądaj od krewnych i znajomych książek z zagranicy i pożyczaj je. A przede wszystkim kup sobie kodeks karny i nigdy go nie przekraczaj.

To my — opozycja — walczymy o fundamentalne wartości ludzkie, a więc także o jednakowe dla wszystkich, sprawiedliwe prawo.

To „oni” są bezprawiem — niech więc tylko oni prawo depczą!

W rocznicę 17-go Września...

Ksiądz Jan Zieja

Kazanie na mszy świętej
za dusze poległych, pomordowanych w obozach
i zaginionych
żołnierzy kampanii 1939 roku
którzy oddali swe życie za wolną i niepodległą
POLSKĘ

w 35 rocznicę śmierci na polu chwały ich dowódców
śp. generałów brygady

Józefa Kustronia († 16. IX pod Oleszycami)

Stanisława Grzmota-Skotnickiego († 18. IX nad Bzurą)

Franciszka Włada († 18. IX nad Bzurą)

Mikołaja Bołtucia († 22. IX w Puszczy Kampinoskiej)

Józefa Olszyny-Wilczyńskiego († 22. IX pod Sopoćkiniami)

wygłoszone

17 września 1974 roku w Katedrze św. Jana w Warszawie.

Zebraliśmy się tutaj w świątyni Boga Jedynego, Boga wszystkich ludzi, Boga wszystkich narodów, aby uczcić pamięć żołnierzy września i modlić się za nich. Są między nimi dowódcy, generałowie wymienieni z nazwiska i wielka ilość nieznanych żołnierzy, poległych na polu chwały lub zaginionych.

Ale szczególnie droga jest nam pamięć tych żołnierzy i oficerów, których pomordowano, którzy ponieśli śmierć męczeńską, zamiast śmierci żołnierskiej na polu chwały. A przecież jako żołnierze — mieli prawo do śmierci na polu bitwy. Tego im odmówiono. Ci wszyscy, których dzisiaj wspominamy, prości żołnierzy i generałowie, gdy maszerowali w szeregach, śpiewali

nieraz pieśń, wywodzącą się z tradycji Związku Strzeleckiego. Zapewne i nam wszystkim ta pieśń jest znana i bliska.

Dziś, gdy na początku tego nabożeństwa odczytano nam słowa z listu św. Jana Apostoła i z ewangelii Jezusa Chrystusa, jakby zapalono nad nami dwa światła najwyższe, z którymi ma się zgadzać wszystko, co tu będzie mówione — ośmielam się tu, w świątyni Bożej, przypomnieć jedną zwrotkę tej marszowej pieśni żołnierskiej:

*„Czy umrzeć nam przyjdzie na polu,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnić,
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć”.*

Powstała i żyje!

Powstała z żołnierskiej krwi, przelanej w pierwszej i drugiej wojnie światowej.

Powstała i żyje z trudu naszego.

Chociaż w jej życiu bywały chwile bardzo trudne, dziś, nawet w tym nabożeństwie żałobnym, zwracamy się do Boga z modlitwą dziękczynną.

Polska żyje na oczach całego świata.

Żyje w nas — w naszej codziennej pracy tu, i wszędzie, gdzie żyją Polacy, nawet za oceanem.

Cieszymy się z każdego nowego domu mieszkalnego, z każdej nowej fabryki, z każdej nowej ulicy w mieście, z każdego nowego portu nad Bałtykiem.

Polska żyje i rośnie.

Dziś zebraliśmy się w świątyni Boga wszystkich narodów, żeby się modlić za poległych naszych żołnierzy.

Data 17 września tu coś znaczy. Jest to 35-ta rocznica dnia, w którym na walczącą Polskę uderzono od wschodu. Z gorzką pamięcią o tym fakcie, stoimy tu dziś w obliczu Boga.

Jak mamy przeżyć tę rocznicę, zebrani tu w świątyni Bożej? Światła niech nam udzielił słowa jednego żołnierza polskiego, ciężko ранego w tamtych bojach: „Zali tę, zionącą na wszystkich świat, przepaść zdziczenia i nienawiści zdołamy zasypać, jak faszyną, jedynie gruzem polskich ciał, pozbawionych ducha wyższego, niż zły duch, w przepaści się miotający? Czy mś z a s a d n i c z o i n n y m s t a ć s i ę m u s i m y. Bo kto by chciał nienawiść i zło — złem zwalczać a nienawiścią — niech pamięta, że wielką nienawiść zwalczy tylko od niej większa, zaś zło wielkie może być pozarte jeno przez zło, od wielkiego większe.

Czy jednak, wbrew swej naturze polskiej... zdołamy wytworzyć w sobie nienawiść i zło większe od tego, z którym tak krwawo walczymy?

A jaki jest kres nienawiści i zła: czyliż, pożarliśy co pożreć mogą, same siebie w końcu nie pożerają?”.

Więc, jakże mamy dziś przeżyć pamięć tego ciosu, niespodzianie zadanego nam ze wschodu? Jak stanąć z tą pamięcią w obliczu Boga, Ojca wszystkich narodów?

Przecież my, chrześcijanie, gdy przystępujemy nie tylko do Komunii świętej, ale nawet do codziennego pacierza, mamy obowiązek przede wszystkim przebaczyć wszystkim tym, do których żywiłmy gniew, przebaczyć wszystkie krzywdy osobiście nam wyrządzone. Ale czy można mówić o tym, by jeden naród wybaczył drugiemu narodowi? Tak, to możliwe, ale my tu zebrani na nabożeństwie żałobnym, nie jesteśmy upoważnieni do podejmowania takich aktów.

Więc posłuchajmy jeszcze głosu tego samego żołnierza:

„Jeśli dotychczas zwyciężaliśmy zło, działo się to dlatego, iż walczące z nami hordy przerastałyśmy zawsze o jakąś jedyną piędź miłującego ducha, odmierzoną królewskim szponem Orła Białego. Lecz jeśli chcemy zwyciężyć zło wszystko, musimy wprawdzie przeróść je duchem miłości o całe niebotyczne Tatry!”.

„Przeróść duchem miłości o całe niebotyczne Tatry!”

Tak pisał żołnierz, nie kapłan, nie jakiś kapelan. To żołnierz, ciężko ranny w bitwach, wzywa nas do Miłości najwyższej.

A więc i do przebaczenia w duchu miłości. Do tego mamy dorastać jako pojedynczy ludzie i jako naród.

Dziś tu zebrani możemy chyba tylko to powiedzieć, że jesteśmy głęboko spragnieni pojednania się naszego narodu z tamtym narodem.

Ale stać się to może tylko w prawdzie. Mamy nadzieję, że kiedyś spotkają się uprawnieni przedstawiciele narodu polskiego z takimiż uprawnionymi przedstawicielami narodu rosyjskiego — i oba narody, stanawszy w prawdzie wobec swych dziejów i wobec swej przyszłości — pojedną się. Do tej pory niczego takiego nigdy nie było. Nie było stanięcia w prawdzie.

Dziś w bolesną 35-tą rocznicę ciosu otrzymanego ze wschodu módlmy się o rychłe nadejście takiego dnia pojednania się w prawdzie w duchu najwyższej Miłości.

Zanim do tego dojdzie — już teraz pamiętać musimy, że tam na wschodzie za Bugiem, nieco na północ żyje i pracuje naród Litewski, który pragnie żyć w wolności i niepodległości i ma do tego prawo. A wprost na wschód żyje i pracuje naród Białoruski, który ma prawo do życia w wolności i niepodległości. A bardziej na południe żyje i pracuje naród, który dawniej nazywaliśmy narodem Ruskim — a dziś nazywa się on narodem Ukraińskim i ma on prawo do życia w wolności i niepodległości.

Trzeba to uznawać i trzeba o tym pamiętać.

Cieszymy się przecież, gdy się dowiadujemy, że jakieś plemię afrykańskie czy południowo-amerykańskie — nawet nie tak bardzo liczne — uzyskuje prawo do pełnej wolności i niepodległości państwowej.

Jakże moglibyśmy zapomnieć o tych najbliższych nam narodach, z którymi niegdyś żyliśmy w jednej Rzeczypospolitej, która pod koniec swych dziejów nazywała się Rzeczypospolitą obojga narodów, a w dążeniach swych najlepszych synów naprawdę taką chciała być! Dziś nazwalibyśmy ją Rzeczypospolitą czworga narodów. Nie chodzi tu nam o przywracanie minionych struktur politycznych, ale o uszanowanie rzeczywistości, wynikającej stąd, że Bóg nasz jest Bogiem wszystkich narodów i każdemu narodowi daje prawo do wolności i rozwoju. To prawo uznać i w myśleniu naszym oraz w działaniu na codzień do niego się stosować — jest naszym obowiązkiem.

Modląc się dziś za dusze naszych poległych i pomordowanych żołnierzy, modlimy się też o dzień prawdy, wolności i pojednania nie tylko dla nas ale i dla naszych braci Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, o wolność dla wszystkich narodów świata, dla wszystkich ludzi, jak to jest w intencjach ogłoszonego przez Rzym jubileuszu.

Za chwilę będzie na ołtarzu ofiarowanie chleba i wina — a potem misterium ofiary Chrystusowej za zbawienie całego świata.

Prośmy Boga, by do Ofiary Krzyżowej Jezusa Chrystusa raczył włączyć wszystkie cierpienia ludzkie i przyjął je za zbawienie wieczne całego świata i za upragnione na ziemi królestwo prawdy, pokoju, sprawiedliwości i miłości.

Tu nie ma dyskusji

Polska «Ost-West Politik»

Juliusz Mieroszewski jest jednym z najwybitniejszych współczesnych polskich pisarzy politycznych. Żywy umysł, szeroka erudycja i odwaga traktowania trudnych tematów w sposób nieortodoksyjny, zyskała mu szerokie grono admiratorów zarówno na Zachodzie, jak i w Polsce. Poczytność *Kultury* jest w dużej mierze wynikiem popularności jego publicystyki. Jedną z zalet Mieroszewskiego jest doskonałe wycucie aktualności spraw. W ostatnim ćwierćwieczu wielokrotnie stawiał on na łamach *Kultury* problemy polityczne wymagające bieżącej dyskusji — wywołując ostre, ale twórcze polemiki.

Obecnie Mieroszewski poddał pod publiczną dyskusję nowe, ważne zagadnienia. Przekonany o gruntownych przemianach zachodzących we współczesnym świecie, spróbował określić cele polityki polskiej w nowej rzeczywistości. W artykule z lipca 1973 roku przedstawił zarys polskiej „Ostpolitik” — stosunków ze wschodnimi sąsiadami; w artykule z września zajął się „Westpolitik” — sytuacją sprawy polskiej na zachodzie. Oba artykuły Mieroszewskiego, jak to jest w jego stylu, były świadomie polemiczne. Z jednej strony rozprawił się z publicystami tzw. „obozu zamkowego” — reprezentującymi tradycje piłsudczykowski; z drugiej zganiał pisarzy związanych z ruchem narodowym — kontynuującymi tradycje Dmowskiego. Poświęcił też sporo miejsca — nie szczędząc uwag krytycznych — i moim poglądom.

Podzielałam całkowicie przekonanie Mieroszewskiego o aktualności dyskusji nad miejscem Polski we współczesnym świecie. Więcej, uważam, że w podjęciu tego tematu jesteśmy grubo spóźnieni. W ostatnich latach poddana została rewizji polityka zagraniczna szeregu państw — zarówno wielkich mocarstw, jak i mniejszych krajów. W nowej sytuacji potrzeba przemyślenia podstawowych założeń polityki polskiej jest oczywista. Henry Kissinger — jeszcze w swojej profesorskiej, a nie ministerialnej fazie

— zauważył kiedyś, że „ostateczną próbą zmysłu politycznego jest umiejętność trafnej oceny zdarzeń *zanim* one nastąpią”.

Warto więc, aby i Polacy się zastanowili co się w współczesnym świecie zmieniło i jakie z tego wynikają dla nich konsekwencje.

W kraju tego rodzaju publiczna dyskusja jest niemożliwa. Zbyt wiele jej aspektów jest ciągle tabu. Sowietologia jest białą plamą nauk społecznych, a w prasie o Rosji pisze się stylem laurkowym. Ocena przemian na Zachodzie jest nieco swobodniejsza, ale też skrępowana kanonami obowiązującej ideologii. Jeśli nawet niektórym z publicystów uda się precyzyjnie co ciekawsze myśli przez sito cenzury, są to tylko pełne niedomówień fragmenty, a nie pełny obraz sytuacji.

Łukę tę mogłyby i powinny wypełnić polskie ośrodki intelektualne na Zachodzie — mające szeroki dostęp do wszelkiego rodzaju informacji i pełną swobodę wyrażania swoich poglądów. Aby zadaniu temu sprostać publicystyka polska na Zachodzie musi jednak spełniać dwa warunki. Po pierwsze, musi odpowiadać na pytanie co w konkretnie istniejących warunkach jest *możliwe*; a dopiero potem, po drugie, co z tego jest *pożądane*? Tymczasem jest odwrotnie. Zamiast zacząć od rzetelnej analizy otaczającej nas rzeczywistości zdecydowana większość publicystów emigracyjnych z upodobaniem oddaje się *wishful thinking*.

Rezultaty tego są żałosne. Publicyści emigracyjni wpadają z jednej przesady w drugą. W stosunku do Związku Sowieckiego nie mogą się zdecydować czy jest tak silny, że zagraża zalewem Zachodowi, czy też tak słaby, że lada dzień sam runie. W kołach polskich na Zachodzie nie istnieje żaden konkretny program „Ostpolitik”. Wobec Rosji są tylko urazy (nie pozbawione zresztą słuszności, ale na które nie ma miejsca w polityce) i nurtowana przez trzydzieści lat nadzieja, że może wreszcie coś się z nią złego stanie.

W stosunku do Zachodu nie jest wiele lepiej. Właśnie dlatego, że nie istnieje polska „Ostpolitik”, emigranci nie mają żadnych realnych propozycji do przedłożenia Zachodowi. Ci sami ludzie, którzy solennie przestrzegają Zachód przed groźbą komunizmu, zaraz potem domagają się od niego dyktowania Rosji warunków. Żądają kategorycznie usunięcia wpływów sowieckich w Europie Środkowo-Wschodniej, ale nie mają wiele do powiedzenia jak to zrobić. Przedstawiciele środowisk polskich są kurtuazyjnie podejmowani w zachodnich ministerstwach spraw zagranicznych, ale w rzeczywistej polityce głos ich się nie liczy.

Artykuły Mieroszewskiego pod wieloma względami odbiegają od tego szablonu. Autor nie liczy na interwencję Zachodu w Europie Środkowo-Wschodniej. „Dalekimi sojusznymi na Zachodzie”, pisze on, „nie można zastąpić porozumienia z naszymi sąsiadami ze Wschodu”. Podkreśla on konieczność wypracowania polskiej „Ostpolitik”. Mieroszewski również odważnie stwierdza,

że domaganie się zwrotu ziem wschodnich jest nierealne i rozważa przyszłość Polski w jej obecnych granicach. Jego analiza nie jest jednak konsekwentna.



Zacznijmy od „Ostpolitik”, która istotnie jest kluczowym zagadnieniem dla Polski. Mieroszewski wypowiada się jako zwolennik przyjaźni z Rosją. Postuluje jednak porozumienie nie z rządem a ze społeczeństwem rosyjskim, jak i innymi narodowościami Związku Sowieckiego. Przewiduje daleko idące zmiany w ZSSR: demokratyzację a może nawet przejście władzy przez opozycję. Zakłada również rozkład tego państwa prowadzący do uniezależnienia się od Rosji wschodnich sąsiadów Polski: Ukrainy, Białorusi i Litwy. Swoją tezę Mieroszewski popiera przykładem Dmowskiego, który przed Pierwszą Wojną Światową szukał porozumienia z rządem carskim i którego zaskoczyła rewolucja w 1917 roku.

Można by dyskutować gdzie w istocie leżał błąd koncepcji Dmowskiego. Sam Dmowski nad tym się namyślał. W wydanej w 1925 roku książce „Polityka polska i odbudowanie państwa” zauważa ironicznie, że nie brał pod uwagę „jednego czynnika rewolucyjnego — rządu rosyjskiego²”. Należałoby się również zastanowić jakie korzyści z przewrotu 1917 roku odnieśli polscy socjaliści, którzy do wojny lojalnie współpracowali z rewolucjonistami rosyjskimi. Nie w tym jednak sedno sprawy.

Stawiając przykład Dmowskiego Mieroszewski zakłada, że istnieje podobieństwo pomiędzy obecną sytuacją w Związku Sowieckim, a tą jaką miała miejsce w Cesarstwie Rosyjskim sprzed 1917 roku. Oznacza to trzy rzeczy: po pierwsze, istnienie zorganizowanej i silnej opozycji; po drugie, błędy graniczące z głupotą rządu; i wreszcie, po trzecie, wstrząs zewnętrzny typu Pierwszej Wojny Światowej. Zastanówmy się czy tak jest w rzeczywistości?

Istotnie od czasu śmierci Stalina w Związku Sowieckim zaszły poważne zmiany. Przed wszystkim ograniczony został masowy terror. Jeden z najlepszych znawców tego przedmiotu na Zachodzie, prof. Peter Reddaway, ocenia obecnie liczbę więźniów politycznych w ZSSR na dziesięć tysięcy osób. Jest to liczba wystarczająco duża, aby dalej traktować Rosję jako państwo policyjne; jednocześnie jednak jest niewspółmiernie mała w porównaniu z liczbą sześciu milionów więźniów w okresie stalinowskim jaką przyjmuje w „Gułagu” Sołżenicyn. Konsekwencji tego faktu nie należy lekceważyć. Bez ograniczenia terroru jakkolwiek opozycja w ZSSR nie byłaby możliwa. W latach stalinowskich za swój memoriał o wolności intelektualnej Andriej Sacharow niechybnie zapłaciłby głową, a talentu Aleksandra Soł-

2. Roman Dmowski, *Polityka polska i odbudowanie państwa*. Wyd. trzecie, Hanower 1947, Tom I, str. 194.

żenicyna nie mielibyśmy sposobności w ogóle podziwiać ponieważ prawdopodobnie skończyłby w łagrach. Dopiero w nowym klimacie epoki postalinowskiej otworzyły się możliwości dla akcji dysydentów.

Istnienie opozycji politycznej — zarówno otwartej w rodzaju Komitetu Obrony Praw Człowieka, jak i podziemnej typu „Kroniki bieżących wydarzeń” — jest w Związku Sowieckim ewenementem. Waga ruchu dysydentów jest znacznie zwiększona ciężarem gatunkowym ludzi, którzy w nim uczestniczą: świetnych literatów, wybitnych uczonych i zdolnych historyków. Nic też dziwnego, że materiały które wyszły spod ich piór są często rewelacyjne. Dysydenci wykazali również duże zdolności organizacyjne i niepoślednią zręczność w wyborze środków, którymi się posługują. W warunkach sowieckich już samo istnienie samizdatu i przemycanie manuskryptów na Zachód są nie byle jakim osiągnięciem. Dysydenci wykorzystują umiejętnie klimat międzynarodowego odprężenia. Taktyka ich — ochrona przed prześladowaniem za pomocą rozgłosu na Zachodzie — jest zarówno oryginalna, jak i często skuteczna. Wreszcie dysydenci odznaczają się ogromną odwagą i gotowością do poświęceń. Wielu z nich nie ugięło się przed brutalnym prześladowaniem; niektórzy — jak Juri Gałanskow — za swoje przekonania zapłacili życiem.

Pojawienie się ruchu dysydentów w samej Rosji zbiegło się z nasileniem fermentu narodowościowego w ZSSR. Najsilniej wystąpiło to na Ukrainie. Znany ukrainista, prof. Bohdan Bociurkiw ocenia, że w latach 1972-73 aresztowano tam około 250 osób. Przyjmuje również, że Petro Szelest został usunięty z kierownictwa Partii za sympatyzowanie z ukraińskimi aspiracjami narodowymi³. Podobne zarzuty zostały postawione zdjętemu w 1972 r. ze stanowiska Sekretarza Partii w Gruzji, V. P. Mzhavanadze. Na Litwie ferment narodowościowy wystąpił w formie dążeń do większej swobody religii. Tatarzy Krymscy dalej uparcie domagają się prawa powrotu do swojej ojczyzny. Wreszcie znaczną rolę w ruchu dysydentów odgrywają Żydzi żądający otwarcia szerokiej emigracji do Izraela.

Należy schylić głowę przed talentem, a przede wszystkim wartościami moralnymi, dysydentów; ale nie należy tracić z oczu ich rzeczywistej roli politycznej. A ta — pomimo szerokiego rozgłosu jaki mają na Zachodzie — jest niewielka. Są oni lepiej znani za granicą, niż w ich własnym kraju. Prof. Frederick Barghoorn⁴ (który sam w 1963 roku przesiedział się na Łubiance) ocenia sytuację w następujący sposób: „nie istnieją dowody, że dysydenci dysponują poparciem, czy nawet zrozumieniem w 'masach' sowieckich”. Potwierdzają to sami dysydenci. Andriej Amal-

3. Bohdan Bociurkiw, „Soviet nationalities policy and dissent in the Ukraine”, *The World Today*, maj 1974, str. 223, 219.

4. Frederick C. Barghoorn, „The General Pattern of Soviet Dissent” w Peter J. Pottichnyj, (red.), *Dissent in the Soviet Union*, Hamilton, Ont., 1972, str. 26.

rik w swoim eseju o przyszłości ZSSR otwarcie stwierdza, że: „idee samorządu, równości przed prawem i wolności osobistej są prawie zupełnie niezrozumiałe dla Rosjan⁵”. Paweł Litwinow charakteryzuje działalność dysydentów przede wszystkim jako moralistyczną, a nie polityczną⁶. Aleksander Sołżenicyn idzie jeszcze dalej. Nawiązuje on do dziewiętnastowiecznej mesjanistycznej tradycji rewolucjonistów rosyjskich okupujących swoim cierpieniem zbrodnie rządu i określa misję dysydentów jako „żywot świadomej ofiary w służbie innych”⁷.

Dysydenci nie dysponują ani jednolitą organizacją, ani wspólnym programem. Podzieleni są na szereg grup wysuwających różne, a często nawet przeciwstawne, propozycje reform. Sacharow chciałby widzieć w Rosji demokrację typu zachodniego; Sołżenicyn wypowiada się za rządami paternalistycznymi. Bracia Roj i Żores Miedwiediewowie deklarują się za marksizmem; Sołżenicyn nawołuje do powrotu do religii i mistycyzmu rosyjskiego sprzed 1917 roku. Niektórzy z dysydentów rosyjskich wypowiadają się za wolnością dla wszystkich narodowości Związku Sowieckiego; inni, jak grupa „Wecze”, odznaczają się silnymi akcentami nacjonalistycznymi. Podobny podział istnieje wśród dysydentów nie-rosyjskich. Jedni dysydenci ukraińscy dążą tylko do większej autonomii; inni do pełnej niepodległości Ukrainy. Wewnętrzne rozbieżności utrudniają działalność dysydentów i zmniejsza ich wpływy w społeczeństwie.

Przed wszystkim dysydenci nie mają zaplecza w wielomilionowej masie sowieckiej „nowej klasy”: aparatczyków, menażerów, funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i wyższych wojskowych. Sołżenicyn z goryczą mówi, że „w szeregach naszych wspaniałych udekorowanych generałów znajduje się jedyny Grigorenko, który ma odwagę wypowiedzieć swoją nie szablonową opinię... o współczesnym społeczeństwie sowieckim⁸”. Nowa klasa składa się z ludzi wychowanych w ideologii komunistycznej i poddanych stałemu naciskowi propagandy partyjnej. Traktują oni system sowiecki za naturalny i nie widzą potrzeby wprowadzania zmian. Mają zresztą wszelkie powody do zadowolenia z istniejącego *status quo*. Nigdy w przeszłości nie działało im się tak dobrze. Po latach stalinowskich ludzie ci cenią sobie bezpieczeństwo osobiste i stałą poprawę stopy życiowej. Mają władzę i przywileje. W tej sytuacji wielu z dawnych towarzyszy broni generała Grigorenko na pewno uważa rezygnację z przysługujących mu przywilejów — w imię niezrozumiałych dla nich ideałów sprawiedliwości i wolności — rzeczywiście za szałństwo.

5. A. Amalrik, *Will the Soviet Union Survive Until 1984?*, New York, 1970, str. 36.

6. Jan Pawlak, „Wywiad z Pawłem Litwinowem”, *Kultura*, maj 1974, str. 84-5.

7. Allain Jacob, „Wywiad z Aleksandrem Sołżenicynem”. Przełożyła Zofia Hertz, *Kultura*, październik 1973, str. 35.

8. *Ibidem*, str. 50.

Nowa klasa, jak zresztą i szerokie masy społeczeństwa sowieckiego, mają jeszcze jeden powód do satysfakcji. Od Druhej Wojny Światowej Rosja zrobiła zadziwiająco karierę w sferze międzynarodowej. Wyszła na drugie — a w dziedzinie strategicznej równorzędne Ameryce — mocarstwo światowe. Wpływy ZSSR sięgają daleko poza blok komunistyczny do Północno-wschodniej Azji, na Bliski Wschód i na Morze Karaibskie. Związek Sowiecki, obok Stanów Zjednoczonych, jest dziś podstawowym filarem porządku międzynarodowego. Rosjanie dumni są z pozycji swego kraju. Kompensuje im to ich trudne dalej, w porównaniu z Zachodem, codzienne życie. Swoje osiągnięcia przypisują komunizmowi i polityce Partii — nie tylko Breżniewowi, ale i jego poprzednikom, w tym i Stalinowi. Z rezerwą przyjmują krytykę błędów Stalina w czasie wojny.

Współczesny nacjonalizm rosyjski posiada szereg cech typowych dla „nowobogackich”. Jest niepewny swoich osiągnięć i wymaga ich ciągłej afirmacji. Breżniew z nieukrywaną przyjemnością wysłuchuje zapewnień Nixona o równorzędnej z USA pozycji ZSSR. Od swoich wasali Moskwa domaga się stałego podkreślenia jej zwierzchnictwa. Rosjanie są do przesady wyculeni na jakąkolwiek zewnętrzną krytykę. Wykorzystuje to — na pewno nie bez powodzenia — propaganda przeciwko dysydentom, przedstawiając ich jako inspirowanych z Zachodu odszczepieńców. Przypuszczać można, że szereg listów w prasie potępiających Sołżenicyną pochodziło spod pióra ludzi istotnie szczerze na niego oburzonych.

Tendencje zachowawcze — dążenie do utrzymania *status quo*, jak i silny patriotyzm sowiecki — nie są bynajmniej ograniczone do samej Rosji. W dużej mierze podziela ją nowa klasa w różnych republikach sowieckich. Proces ich rusyfikacji jest już zresztą poważnie zaawansowany⁹. Sprzyja temu świadoma polityka migracyjna. Ukraińców przetrzuca się na Syberię, Rosjan na Ukrainę. W miastach ukraińskich, szczególnie we wschodniej części kraju, przeważa już język rosyjski. Litwa została oddzielona od Polski enklawą rosyjską dookoła Kaliningradu. W Wilnie według spisu z 1970 roku było 42,8% Litwinów a 24,5% Rosjan¹⁰.

W państwie tak złożonym jak ZSSR współżycie różnych narodowości jest i na pewno dalej będzie poważnym problemem. Możliwe jest, że z czasem sowiecka nowa klasa ulegnie rozbięciu na różne narodowości i, jak to przepowiada prof. Robert A. Lewis: „...z postępem gospodarki i oświaty presja ze strony różnych republik do większej autonomii wzrośnie¹¹”. Może to spotęgować obecny trend demograficzny, który w latach 1959-

9. Ivan Dżuba, *Internationalism or Russification? A Study in the Soviet Nationalities Policies*, Drugie wyd., Londyn, 1970, str. 14.

10. *Sowieckaja Litwa*, 6 maj 1971.

11. Robert A. Lewis w Edward Allworth (red.), *Soviet Nationalities Problem*, New York, 1971, str. 165.

1970 wykazał spadek ludności rosyjskiej w ZSSR z 54,6% na 53,4%. Bardziej prawdopodobna wydaje się jednak umiarkowana opinia prof. Teresy Rakowskiej-Harmstone, która sądzi, że: „W przyszłości oczekiwać można kontynuacji niełatwych, a nawet drażliwych, stosunków pomiędzy Rosjanami i mniejszościami narodowymi z szansą na ich intensyfikację, ale — wykluczając jakiś generalny przełom bez zasadniczych zmian¹²”. W sumie więc nic nie wskazuje, że działalność dysydentów — zarówno w Rosji jak i poza nią — stanowi obecnie poważne zagrożenie dla ustroju sowieckiego.



Nie można naturalnie wykluczać że, tak jak rządy carskie, władcy komunistyczni popełnią kardynalne błędy polityczne; które wywołają kryzys w Rosji. To co wiemy jednak o sowieckiej rządzącej elicie nie wskazuje wcale, aby przejawiała ona podobne tendencje. Przeciwnie, obecna moskiewska wierchuszka składa się z ludzi wychowanych w twardej szkole stalinizmu, kiedy za każde potknięcie płaciło się głową, zaprawionych w intrygach politycznych i przebiegłych aż do perfidii. Charakteryzuje ich też duża zdolność adaptacji do zmieniającej się sytuacji — inaczej nie doszliby do swoich obecnych stanowisk. Ideologia komunistyczna jest dla nich coraz więcej środkiem, a nie celem samym w sobie: interesuje ich przede wszystkim utrzymanie się przy władzy. Jeśli zajdzie tego potrzeba gotowi są, tak jak zrobili to już zresztą wielokrotnie w przeszłości, zmodyfikować różne aspekty systemu sowieckiego.

Ostrożność wierchuszki moskiewskiej została ostatnio zwiększona przez zespołowe podejmowanie przez nią decyzji. Breżniewowi daleko jest oczywiście do autorytetu Stalina; jego towarzysze z Biura Politycznego pilnują go również, aby nie podejmował ryzykownych decyzji za które skrytykowany został Chruszczow. W rokowaniach poprzedzających inwazję Czechosłowacji uczestniczyło całe Biuro; ostatnie negocjacje z Nixonem w Moskwie w sprawie ograniczenia zbrojeń nuklearnych były dwukrotnie przerywane posiedzeniami tego ciała i pomimo, że Breżniewowi zdaje się zależeło na ich pomyślnym wyniku, nie przyniosły rezultatu. Kolektywne sprawowanie władzy ułatwia również jej przekazywanie bez wstrząsów politycznych. W ZSSR nie morduje się już dziś rywali ubiegających się o najwyższe stanowiska polityczne. Dojście do władzy Chruszczowa było poprzedzone likwidacją Berii, a i o Malenkowie od lat jest głucho. Chruszczow zmarł już śmiercią naturalną. Zdażył jeszcze przedtem podyktować wcale ciekawe pamiętniki, choć te ukazały się tylko na Zachodzie.

12. T. Rakowska Harmstone, „The Dilema of Nationalism in the Soviet Union” w John W. Strong (red.), *The Soviet Union under Brezhnev and Kosygin*, New York, 1971, str. 132.

Powrót do systemu stalinowskiego w ZSSR nie jest oczywiście niemożliwy. Aparat represji, choć znacznie ograniczony i podporządkowany Partii, nadal istnieje i w razie potrzeby może zostać rozbudowany. Nie wydaje się jednak, aby obecni przywódcy sowieccy tego pragnęli. Pamiętają oni zbyt dobrze cenę jaką zapłaciła góra Partii za rozpętanie terroru policyjnego w latach stalinowskich. Nie jest na pewno w ich interesie nawrót do tego rodzaju sytuacji. Co więcej, nie widzą potrzeby wznawiania masowego terroru, ponieważ nie uważają obecnej opozycji za poważne zagrożenie. Sądzą, że mogą się z nią rozprawić środkami administracyjnymi, a co najwyżej selektywną represją.

W rozgrywce z dysydentami władze sowieckie wykazały sporą zręczność. Zastosowały szeroką gamę różnorodnych środków zmierzających do bezwzględnego zdławienia opozycji, ale starając się unikać niepotrzebnego rozgłosu hamującego postępy *détente* z Zachodem. Represje z reguły spadały dopiero po wyczerpaniu środków nacisku administracyjnego i prób zastraszenia. Terror stosowano selektywnie i w różnych formach — od procesów pokazowych, aż po najbardziej perfidne, zamykanie dysydentów po cichu w zakładach psychiatrycznych. Szereg bardziej znanych postaci wypuszczono, czy jak w wypadku Sołżenicyna, wygnano, na Zachód. Otworzono pokątną emigrację do Izraela, a od wyjeżdżających nie egzekwowano drakońskich opłat za otrzymane w ZSSR wykształcenie.

Giętkie metody władz sowieckich okazały się wcale skuteczne. Z jednej strony pierwsze pokolenie dysydentów zostało poważnie przerzedzone przez aresztowania i wyjazdy za granicę, jego solidarność została złamana w procesie Jakira i Krasina i „Kronika” przez rok przestała się ukazywać. Z drugiej strony przesładowania opozycji nie wstrzymały postępów odprężenia Wschód-Zachód. Względnie łagodne represje wobec dysydentów są nawet korzystnie dyskutowane przez Sowiety na Zachodzie. Dla poprawy klimatu w przededniu wizyty w Moskwie Prezydenta Nixona, Grigorenko został zwolniony z zakładu dla obłąkanych; zwiększenie zaś emigracji żydowskiej jest przedmiotem swoistego przetargu ze strony ZSSR za cenę amerykańskich koncesji handlowych.

Jaka będzie przyszłość opozycji w Związku Sowieckim? Czy przemózna „inercja strachu” została przełamana przez pierwsze pokolenie dysydentów, czy znajdują się gotowi do równych ofiar ich następcy, czy stać ich będzie na uzgodnienie i skonkretyzowanie programu politycznego, czy wreszcie „Archipelag Gułag” spełni rolę wyznaczoną mu przez Sołżenicyna — obudzenia aspiracji wolnościowych wśród mas sowieckich? Czy też działalność dysydentów skończy się na jeszcze jednej, chociaż na pewno nieprzeciętnej, fali emigracji rosyjskiej na Zachód?

Nadzieje na wewnętrzny przewrót w Związku Sowieckim nie wydają się uzasadnione. ZSSR, który przetrwał wojnę domową, przymusową kolektywizację rolnictwa i intensywne uprzemysłowienie, masowe czystki lat trzydziestych, traumę Drugiej Wojny

Światowej i znów powrót do stalinowskiego terroru, jest dziś krajem względnie ustabilizowanym. Opozycja o charakterze rewolucyjnym nie ma więc tam poważnych szans. Rozbija się o przebiegłość władz, ich mocne zaplecze w nowej klasie i apatii mas. „Ogólnie biorąc”, pisze prof. Barghoorn, „nie jest prawdopodobne aby system sowiecki, który posiada tak duży prestiż zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz kraju, mógł zostać poważnie zagrożony przez wewnętrzną opozycję czy rewolucję¹³”.

Nie znaczy to jednak, aby w Związku Sowieckim nie miała miejsca wewnętrzna ewolucja. Od śmierci Stalina zaszły w tym kraju poważne zmiany. Świadczy już o tym samo istnienie ruchu dysydentów. Idee wolnościowe zatoczyły też, przynajmniej wśród intelektualistów, zbyt szerokie kręgi, aby można było bez poważnego zwiększenia represji całkowicie je wytępić. Przywódcy sowieccy jednak, jak i całe społeczeństwo, nie chcą powrotu do masowego terroru. Można więc przypuszczać, że giętkość postępowania kierownictwa politycznego wobec dysydentów nie wynika wyłącznie z ich przebiegłości, ale świadczy, że znajdują się tam ludzie skłonni do szukania sposobów rozładowania napięć na drodze nie tylko represji, ale i koncepcji.

Tendencje do szukania kompromisu ze zbuntowanymi intelektualistami mogą się wzmocnić po odejściu od władzy ekipy Breżniewa. Nastąpi to zresztą wkrótce. Breżniew i jego kluczowi współpracownicy mają dziś około siedemdziesiątki, w najbliższych więc latach zostaną zastąpieni przez młodszych ludzi. Nowa ekipa może wrócić do bardziej tolerancyjnej postawy wobec intelektualistów, jaka charakteryzowała rządy Chruszczowa. Chruszczow, jak to wykazały jego szkany wobec Pasternaka, daleki był od liberalizmu; a jednak on właśnie dał pierwszy asumpt do kariery Sołżenicyna zezwalając na publikację „Jednego dnia Iwana Denisowicza”. Ferment wśród intelektualistów może więc przyczynić się do wewnętrznej ewolucji w Związku Sowieckim w kierunku dalszej, chociaż ciągle nie idącej zbyt daleko, demokratyzacji. Tego rodzaju rozwój sytuacji zdaje się być bardziej prawdopodobny, niż nawrót do stalinowskiego terroru.



Wreszcie zastanowić się trzeba czy grozi obecnie Rosji wstrząs zewnętrzny, podobny do tego jaki miał miejsce podczas Pierwszej Wojny Światowej. Pozycja Związku Sowieckiego jest dziś zgoła inna niż Cesarstwa Rosyjskiego w przededniu jego upadku. Wchodząc do wojny Rosja była jedną z kilku ówczesnych wielkich potęg w świecie i, jak to się wkrótce okazało, najstarszą z nich. Już w pierwszej fazie wojny — jak to nam przypomina Sołżenicyn w „Sierpniu 1914” — poniosła druzgoczące klęski; jeszcze przed wybuchem rewolucji lutowej była kompletnie przegrana. Obecna pozycja ZSSR jako drugiego — a militarnie

13. Barghoorn, w Strong, *op. cit.*, str. 276.

równorzędnego Stanom Zjednoczonym — mocarstwa w świecie, sprawia, że prawdopodobieństwo tego rodzaju obrotu wydarzeń jest znikome.

Jedynym państwem, które rzeczywiście zagraża Związkowi Sowieckiemu, są Stany Zjednoczone. Jeśli Amerykanie jednak nie zaatakowali ZSSR kiedy posiadali monopol atomowy, nie zrobią tego i dzisiaj, kiedy w dobie równowagi nuklearnej oznaczałoby to i kataklizm dla nich samych. Z tych samych względów zresztą nie zrobią tego i Rosjanie. Pozostaje więc niebezpieczeństwo eskalacji jednego z wielu punktów zapalnych w świecie, gdzie interesy dwóch super-mocarstw się krzyżują, a która krok po kroku może ich doprowadzić do wojny. Właśnie jednak, aby temu zapobiec, w ostatnich latach Waszyngton i Moskwa rozwinęły szeroki system stałych, wzajemnych konsultacji. Wbrew wszelkim pozorom „gra pokerowa” Kissingera z Moskwą w czasie ostatniego kryzysu na Bliskim Wschodzie, daleka była od ryzyka jakie podjął Kennedy w czasie kryzysu kubańskiego. Wiedza *conflict management* jest już dzisiaj zbyt daleko zaawansowana.

Można więc przyjąć, że od czasu śmierci Stalina odprężenie pomiędzy Rosją a Ameryką jest w polityce międzynarodowej czynnikiem stałym. Nie postępuje ono naturalnie równomiernie — są w nim zatrzymania, a nawet odwroty. Parafrazując powiedzenie Lenina jest to: „krok wstecz, dwa kroki w przód”. Jeśli jednak porównać atmosferę jaka istniała podczas genewskiego spotkania na „najwyższym szczycie” w 1955 roku, z tą jaką panowała podczas wizyty Nixona w Moskwie w 1974 roku, postęp jest oczywisty. *Détente* pomiędzy dwoma super-mocarstwami będzie też trwała dalej. Zbliżenie z ZSSR jest powszechnie uznane w Ameryce jako poważne osiągnięcie — jedno zresztą z bardzo niewielu — obecnej administracji. Edward Kennedy podczas swojej moskiewskiej wizyty w 1974 roku mocno podkreślił, że jeśli Partia Demokratyczna obejmie władzę w 1976 roku, będzie ona kontynuować tę politykę. Nawet najbardziej krytycznie nastawiony do linii Kissingera, orędownik prawa emigracji Żydów z ZSSR do Izraela, senator Henry Jackson, zastrzega się starannie, że nie jest bynajmniej przeciwnikiem odprężenia. Nixon nie był więc pierwszym, i nie będzie zapewne ostatnim, prezydentem Stanów Zjednoczonych, który miał sposobność podziwiać uroki Jałty.

Inne państwa zachodnie, w pojedynkę, czy nawet wszystkie razem, nie stanowią niebezpieczeństwa dla Rosji. Dysproporcja sił pomiędzy nimi a ZSSR jest zbyt duża. To one czują się zagrożone i szukają schronienia pod amerykańskim „parasolem nuklearnym”. Wszystkie zresztą podzielają poglądy Amerykanów o konieczności szukania porozumienia ze Związkiem Sowieckim. Nawet do niedawna najbardziej bojowo anty-komunistycznie nastawione Niemcy Zachodnie dokonały zasadniczego zwrotu w swej polityce i godząc się — przynajmniej czasowo — na podział swego kraju, poszły po linii międzynarodowej *détente*.

Pozostają więc Chiny. Czy sprawdzi się wizja Amalrika i Związek Sowiecki wplące się w wojnę w Azji, która doprowadzi do jego upadku? Zerwanie sojuszu z ZSSR przez Chiny i jego przerodzenie się w otwarty konflikt było na pewno największą porażką dyplomatyczną Moskwy w okresie powojennym. Osłabiło to znacznie blok sowiecki i wprowadziło zamęt w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Konflikt sowiecko-chiński jest bardzo poważny i w najbliższej przynajmniej przyszłości zdaje się nieodwracalny. Nie ogranicza się on do rywalizacji ideologicznej i dyplomatycznej. Chiny wysuwają pod adresem ZSSR roszczenia terytorialne. Na granicy sowiecko-chińskiej obie strony utrzymują poważne siły i miało już tam miejsce szereg starć. Napięcie więc w stosunkach pomiędzy dwoma komunistycznymi olbrzymami jest duże. Nie znaczy to jednak wcale, że musi ono doprowadzić do wojny. Wydaje się, że obecnie żadna strona tego nie chce.

Chiny są daleko w tyle za Rosją w rozwoju broni nuklearnych. Po starciach nad rzeką Ussuri w 1969 roku mówiło się dużo o niebezpieczeństwie sowieckiego ataku nuklearnego na Chiny. ZSSR jednak zdecydował się czekać na rozwój wydarzeń w Pekinie, a przede wszystkim na zmianę rządzącej tam ekipy, która jest jeszcze nawet starsza niż w Moskwie. „Obecna polityka sowiecka wobec Chin”, pisze znany sinolog amerykański, prof. Robert A. Scalapino, „zdaje się być nastawiona nie na wojnę, ale na politykę w erze po-Maoistowskiej¹⁴”.

Jeśli po śmierci Mao Chiny ulegną politycznemu, czy nawet terytorialnemu rozbięciu — co zahamuje też i ich postęp rozwoju broni nuklearnych — zagrożenie z tej strony dla ZSSR zniknie. Moskwa może zresztą starać się wykorzystać tę sytuację dla odzyskania swoich wpływów w Chinach, a przynajmniej utrzymania ich w stanie wewnętrznego osłabienia. Jeśli po odejściu obecnego kierownictwa Chiny unikną politycznego chaosu i będą dalej rozwijać swój arsenał nuklearny, przez szereg jeszcze lat przewaga Rosji pozostanie druzgocząca. Oczywiście nie można wykluczać, że jedna czy druga strona popełni jakiś błąd, który wywoła wojnę. Przywódcy sowieccy jednak odznaczają się dużą ostrożnością; Chińczycy zaś, choć ideologicznie nastawieni bardziej wojowniczo niż Rosjanie, również nie wykazują tendencji samobójczych. Przyjmując zaś, jak to ujął wybitny znawca świata komunistycznego prof. Richard Löwenthal: „...podstawowy racjonalizm kierownictwa politycznego po obu stronach, fakt sprzeczności ich interesów nie świadczy wcale, że wojna nuklearna pomiędzy nimi jest bardziej nieuchronna niż wojna pomiędzy którymkolwiek z tych krajów a Stanami Zjednoczonymi¹⁵”.

W obecnej sytuacji w świecie nie widać więc groźby wstrząsu

14. Robert A. Scalapino, „China and the Balance of Power”, *Foreign Affairs*, styczeń 1974, str. 361-2.

15. Richard Löwenthal, „Russia nad China”, *Foreign Affairs*, kwiecień 1971, str. 518.

zewnętrznego, podobnego do Pierwszej Wojny Światowej, który mógłby spowodować apokaliptyczny upadek Związku Sowieckiego. Przeciwnie, przypuszczać raczej należy, że ZSSR utrzyma swoją pozycję światowego mocarstwa, co wzmocniac będzie prestiż rządu i wewnątrz kraju. Nie ma więc podstaw spodziewać się, że wkrótce Polacy znajdą w Rosji innych partnerów do rozmów niż obecny sowiecki *establishment* i jego spadkobiercy.



Jaka w tych warunkach powinna być polska „Ostpolitik”? Czy w sytuacji kiedy Polska znajduje się w orbicie sowieckiej można w ogóle mówić o polityce wschodniej? Czy szukanie porozumienia z obecnym sowieckim *establishment* jest realne? Czy możliwy jest w tym udział Polaków, którzy nie są komunistami? — Jako punkt wyjścia tych rozważań przyjęliśmy koncepcję Dmowskiego. Idźmy więc dalej po tej drodze.

Polska współczesna pod wieloma względami odpowiada aspiracjom Narodowej Demokracji z początków tego stulecia. Przede wszystkim Polacy zamieszkują dziś zjednoczone i zwarte terytorium. Polska jest etnograficznie prawie całkowicie jednolita. Nigdy też nie było tylu Polaków co dzisiaj. Świadomość narodu we współczesnej Polsce jest zjawiskiem powszechnym — obejmuje ona szerokie warstwy robotników i chłopów. Wreszcie istnieje państwo polskie w sojuszu z Rosją.

Dmowski był zwolennikiem sojuszu Polski z Rosją, ale Polski niepodległej. Autonomia wewnątrz Cesarstwa Rosyjskiego była dla niego tylko krokiem wiodącym do tego celu. Obecne państwo polskie posiada szeroką autonomię, ale nie jest w pełni niezależne. Istnieją granice — nawet w ramach utrzymania sojuszu ze Związkiem Sowieckim — poza które Polacy nie mogą wyjść. W Polsce panuje ustrój komunistyczny, który został narzucony z zewnątrz wbrew ówczesnej woli społeczeństwa. W Warszawie sprawuje władzę partia komunistyczna podzielająca otwarcie ideologię partii sowieckiej i generalnie zmierzająca do przemian społeczno-gospodarczych w kraju na wzór ZSSR. Ustrój komunistyczny nie może zostać zmieniony ponieważ wywołałoby to niewątpliwie zbrojną interwencję sowiecką i doprowadziło — tak jak to miało miejsce ostatnio w Czechosłowacji — do jego restauracji prawdopodobnie w formie jeszcze większej zależności od Rosji.

Co więcej, obecny system może prowadzić do moralnej sowietyzacji — rezygnacji z aspiracji do wolności na wzór rosyjski — społeczeństwa polskiego. Trudna sytuacja geopolityczna i sprzężenie polityki zewnętrznej z wewnętrzną wymaga kompromisów preradzających się często w tendencje do usprawiedliwiania zwykłego oportunistu racją stanu. Jeśli proces ten zatoczy szerokie kręgi będzie on miał daleko idące negatywne konsekwencje — może nawet prowadzić do wcielenia Polski do ZSSR. Adam

Ciołkosz obawia się, że nastąpi to już „... w okresie jednego pokolenia, pod koniec XX stulecia¹⁶”.

Chyba nie jest jednak tak źle. Związek pomiędzy polityką zewnętrzną a wewnętrzną jest sprężeniem zwrotnym. Niewielu współczesnych Polaków czytało pisma Dmowskiego, ale zachowują się tak jak gdyby je znali. W 1904 roku Dmowski pisał: „... nasza myśl polityczna skazana jest na przerzucanie się z jednego stanowiska na drugie. Albo rewolucja i konspiracja, dążenie do zdobycia niepodległości za pomocą zbrojnego powstania ... albo wyrzeczenie się wszelkich aspiracji do niezależnego bytu, zupełna zgoda z losem, bezwzględny lojalizm... A tymczasem życie narodu [biegnie] po przekątnej między tymi skrajnymi punktami¹⁷”. W 1908 roku przywódca Narodowej Demokracji wrócił do tego tematu. „Naród polski”, pisał on „znalazł drogę nową, obie poprzednie wyłączając... Zrozumiał on istotę walki politycznej, codziennej, prowadzonej na wszystkich stanowiskach, walki kształcącej siły narodu, podnoszącej jego wartość moralną, walki jeżeli nie zapewniającej stopniowych zdobyczy, to przynajmniej chroniącej naród od strat ciągłych¹⁸”.

Tego rodzaju postawa występuje dziś w Polsce — świadomie czy nieświadomie — od szczytów Partii, aż po szerokie masy społeczeństwa. Słusznie zauważył w świetnym artykule w *Kulturze* z czerwca 1973 roku, autor z kraju, X.Y.Z.: „że u podstaw wszelkich poczynań Władysława Gomułki leżały koncepcje geopolityczne, będące w swych najogólniejszych ramifikacjach dziedzictwem po dawnej wizji obozu narodowego. Kierując się swoście rozumianym realizmem politycznym stawiał sobie Gomułka za zadanie zdobycie dla Polski jak najszerszej autonomii w ramach imperium sowieckiego¹⁹”. Nie brak też zapewne ludzi o podobnych poglądach i w obecnym polskim kierownictwie politycznym. Są oni szczerymi zwolennikami przyjaźni polsko-sowieckiej, ale właśnie aby była ona autentyczna, uważają że, tak jak dobra herbata, musi być „mocna, gorąca, ale nie za słodka”.

Istnieją trzy powody dla których „bakcył polskości” — jak to określa X.Y.Z. stale się odradza, i będzie się odradzał, na szczytach Partii. Po pierwsze, niezależnie od ich głębokich przekonań komunistycznych ludzie ci są Polakami i w większym czy mniejszym stopniu myślą po polsku. Z odejściem starszych działaczy związanych z tradycją Kominternu i ich zastąpieniem przez młodszych ludzi wychowanych już w P.R.L., tendencje te zapewne wzrosną. Po drugie, funkcje które oni sprawują — już nawet tylko w kategoriach czysto administracyjnych — wymagają od

16. Adam Ciołkosz, *Sprawa najważniejsza*, Londyn, 1974, str. 9.

17. Roman Dmowski, „Doktryna i realizm w polityce”, *Przegląd Wszepolski*, sierpień 1904; cytowane według T. Bielecki, „Wyprawa do Japonii”, *Myśl Polska*, 1 sierpień 1964.

18. Roman Dmowski, *Niemcy, Rosja i kwestia polska*, Wyd. drugie. Częstochowa, 1938, str. 227.

19. X.Y.Z., „Nocne rodaków rozmowy”, *Kultura*, czerwiec 1973, str. 33.

nich zabiegania o interesy polskie. To właśnie oni na co dzień uzgadniają współpracę Polski z ZSSR. Tego rodzaju konfrontacje — nigdy nie łatwe w stosunkach międzypaństwowych, a na pewno nieraz zadrażniane przez wyczuwanie przez Rosjan na wszelką krytykę — potęgują w nich tylko poczucie polskości. Wreszcie kierownictwo Partii poddane jest stałej, silnej presji ze strony społeczeństwa.

Oczywiście po trzydziestu latach istnienia PRL proces legitymizacji ustroju komunistycznego w Polsce poczynił znaczne postępy. Wyłoniły się poważne siły społeczne stanowiące jego zaplecze. W Polsce powstała również wpływowa „nowa klasa” złożona z dzieci robotników i chłopów, którzy zdobyli wykształcenie i stanowiska w nowym systemie i czują się z nim mocno związani. Robotnicy traktują poważnie (aż czasem może za poważnie dla przywódców Partii) swoją „kierowniczą rolę” w kraju. Najmłodsze pokolenie urodzone i wychowane już w nowej rzeczywistości w dużej mierze uważa ją za naturalną. Generalnie więc socjalizm nie jest dziś w Polsce kwestionowany. Upaństwowienie przemysłu i gospodarka planowana, reformy społeczne i szerokie udostępnienie oświaty — są ogólnie akceptowane. Więcej, po trzydziestu latach systemu *de facto* monopartyjnego i przy nie zawsze najlepszych tradycjach parlamentarnych, niewielu Polaków myśli poważnie o wprowadzeniu demokracji typu zachodniego. Chcieliby oni widzieć zmiany w kierunku demokracji i pluralizmu politycznego, ale nie na drodze obalenia rządów Partii Komunistycznej.

Polacy popierają sojusz ze Związkiem Sowieckim; i to nie tylko dlatego, że nie mają innej alternatywy. Doceniają oni pomoc Rosji w uzyskaniu i skonsolidowaniu granicy Polski na Odrze i Nysie i dalej traktują przymierze z nią za konieczne dla zachowania równowagi wobec Niemiec. Mieroszewski słusznie nawołuje do pogodzenia się z utratą Lwowa i Wilna — Polacy w kraju już to zrobili; ale nie docenia wagi w świadomości współczesnych Polaków problemu niemieckiego. A jest on ciągle bardzo żywy. Tentatywne i ratyfikowane z oporami uznanie obecnie granicy polskiej przez NRF nie załatwiło ostatecznie stosunków polsko-niemieckich. Trzeba dalszych zmian w Niemczech Zachodnich, aby Polacy przestali się czuć zagrożeni z zachodu. Fakt, że Polacy popierają sojusz z ZSSR nie oznacza jednak wcale, że akceptują go bezwarunkowo. Domagają się oni zachowania odrębności od Rosji. Dążeniem współczesnych Polaków — jak to trafnie ujął Tadeusz Bielecki — jest „przekształcenie wasalskiego typu sojuszu na porozumienie i współpracę suwerennych państw nie tylko z nazwy, ale faktycznie²⁰”.

Każdy kto zna współczesną Polskę i Związek Sowiecki świadom jest ogromnych różnic dzielących te dwa kraje. Przelot z Moskwy do Warszawy jest nie mniejszym szokiem kulturowym

20. Tadeusz Bielecki, „Między Rosją a Niemcami”, *Myśl Polska*, 1 stycznia 1974.

jak przelot tam z Paryża. Szeroki zakres życia religijnego i prywatna własność rolnictwa rzucają się w oczy w Polsce. W Rosji nie do pomyślenia byłyby masowe procesje Bożego Ciała, które grzecznie eskortują milicjanci; na zachód od Brześcia — jak to zauważył kiedyś znany amerykański politolog, William Griffith — przed domami rosną kwiaty. Cały styl życia jest odmienny. Moda w Polsce naśladuje, i to z powodzeniem, Zachód. W Związku Sowieckim o przywódcach politycznych mówi się jeśli już nie z obawą, to z szacunkiem; w Polsce najlepsze dowcipy polityczne krążą na górze Partii. W Polsce nie potrzeba samizdatu ponieważ każdy ciekawszy artykuł w paryskiej *Kulturze* jakoś jest znany w warszawskich kołach intelektualnych. Wreszcie w ZSSR tylko w wyjątkowych wypadkach podejmuje się przybyszów z zagranicy w domach prywatnych; w Polsce jest to regułą, a często i okazją do podzielenia się wrażeniami gospodarzy z ich ostatniej wyprawy na Zachód.

Sytuacja w Polsce nie jest oczywiście tylko wynikiem względnego liberalizmu sfer rządzących. W kierownictwie Partii, a może jeszcze nawet więcej w średnim aparacie, nie brak jest ludzi, którzy chętnie „dokręciliby śruby”. W bardzo poważnym stopniu są oni jednak bezradni wobec oporu społeczeństwa. Okresowo podejmowane „ofensywy ideologiczne” Partii przyjmowane są ze wzruszeniem ramion. Robotnicy należący do PZPR chrzczą dzieci tłumacząc się, że im tak każe teściowa. Nikomu z bonzów partyjnych nie jest w smak stać się przedmiotem drwin Słonimskiego czy Kisiela. Podwyżki płac w Polsce rozdzielane są nie tylko według kryteriów gospodarczych, ale często (aż może zbyt często z punktu widzenia racjonalnego planowania) na skutek presji robotników. Lekcje Gdańska i Poznania nie zostały zapomniane na szczytach Partii. PRL jest jedynym krajem w bloku sowieckim, gdzie na skutek wybuchu społeczeństwa dwukrotnie została wymieniona rządząca ekipa komunistyczna. Jeśli śruba zostanie przykręcona za daleko, może mieć miejsce następny wstrząs. Uzasadniona więc zdaje się być opinia X.Y.Z., że: „Polska jest nadal obcym ciałem w organizmie imperium sowieckiego. Obcość ta nie tylko się nie zmniejszyła z upływem czasu, lecz wręcz przeciwnie wzmogła się i dalej wznaga, w miarę jak zasklepiają się rany zadane przez wojnę, okupację i wojnę domową²¹”.



Potrzeba sojuszu polsko-sowieckiego nie jest jednostronna. Niezbędny jest on i dla ZSSR. Z terytorium Polski trzykrotnie w najnowszej historii wyszły na Rosję miazdzące ataki. Dostęp przez Polskę do Niemiec jest również nieodzowny dla ZSSR do utrzymania podziału tego kraju, a zatem zachowania wpływu na cały system europejski. Polska jest więc dla Związku Sowieckiego niejako kluczem do jego wielkomocarstwowej pozycji w

21. X.Y.Z., *op. cit.*, str. 31.

świecie. Po wyjściu Chin, Polska jest również drugim największym krajem w bloku komunistycznym.

Dysproporcja sił pomiędzy Polską a Związkiem Sowieckim jest oczywiście rażąca. Rosjanie jeśli zechcą, mogą zająć Polskę i przemienić ją w republikę sowiecką. Zdaje się jednak — czego uczył ich Lenin — że doceniają oni siłę odporną polskiego nacjonalizmu. Nawet Stalin cofnął się przed włączeniem Polski do ZSSR, chociaż gdyby żył dłużej nie wiadomo czy by tego nie zrobił i nie rozprawił się z Polakami, tak jak to uczynił z Ukraincami. Obecnie niebezpieczeństwo tego rodzaju obrotu sytuacji jest o wiele mniejsze. W ostatnim dwudziestolecu, po zasklepieniu się ran wojny i wewnętrznej konsolidacji społeczeństwa na nowym terytorium, wzrosła znacznie siła narodu polskiego. Próby otwartej sowietyzacji kraju natrafiłyby na zdecydowany, a w razie konieczności i zbrojny, opór. Wynik takiego konfliktu byłby przesądzony, ale aby ostatecznie złamać Polaków, Rosjanie musieliby sięgnąć do brutalnych metod terroru stalinowskiego: masowych przesiedleń czy nawet likwidacji całych warstw społecznych.

Konsekwencje włączenia w swoje granice Polski byłyby również bardzo poważne i dla ZSSR. Nie tylko wymagałoby to powrotu do terroru stalinowskiego, którego obecne kierownictwo chciałoby uniknąć. Zachwiałoby to także — i to w sposób zupełnie zasadniczy — równowagę pomiędzy Rosjanami a innymi narodowościami Związku Sowieckiego. Przykład oporu Polaków mógłby wpłynąć na postawę Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Oznaczałoby to dla ZSSR nowy, poważny wstrząs wewnętrzny, który na pewno nie byłby w jego interesie. Słusznie więc zauważył X.Y.Z., że: „pewniejszym gwarantem bezpieczeństwa Związku Sowieckiego byłaby Polska suwerenna, dbająca w dobre zrozumiałym interesie własnym o jak najlepsze stosunki ze swym wschodnim sąsiadem²²”.

Przywódcy sowieccy wykazali w przeszłości sporo umiaru — przynajmniej w porównaniu z ich postępowaniem wobec innych krajów Europy Wschodniej — w stosunku do Polski. Nie tylko dwukrotnie w czasie kryzysów politycznych wstrzymali się od interwencji zbrojnej, ale przymknęli oczy na szereg rażących różnic pomiędzy PRL a resztą bloku komunistycznego. Proces wywalczenia sobie przez Polskę względnie szerokiej autonomii nie postępował oczywiście równomiernie — były w nim zahamowania i odwroty (ostatnio znów wiele się słyszy o mieszanu się Ambasady Sowieckiej w wewnętrzne sprawy polskie). Przyjmując jednak jako stałą napór Polaków w kierunku niezależności i zakładając dalszy umiar ze strony kierownictwa sowieckiego, można oczekiwać, że proces ten będzie trwał dalej. Sprzyjać temu powinna ewolucja, taka właśnie jaka wydaje się najbardziej prawdopodobna: stopniowej demokratyzacji, wewnątrz ZSSR.

22. *Ibidem.*

Poszerzenie autonomii Polski i przekształcanie jej w rzeczywistość suwerenność winno właśnie być celem polskiej „Ostpolitik”.

W tej sytuacji propozycje włączenia się Polaków w wewnętrzną opozycję w ZSSR są nie tylko nierealne, ale mogą okazać się i niebezpieczne. Wychodzą one z założenia, że położenie Polski jest podobne do republik sowieckich, podczas gdy rzeczywistość jest inna. Narodowości sowieckie domagają się autonomii, podczas gdy Polacy ją posiadają i dążą do pełnej suwerenności. Ukraińcy i Litwini chcieliby, aby sytuacja w ich krajach była taka jak w Polsce. Sprowadzanie wszystkiego do wspólnego mianownika może wywołać reakcję odwrotną. Wtrącanie się Polaków w spory narodowościowe w ZSSR, może wznowić atawistyczne nastroje antypolskie wśród Rosjan. Więcej, Sowiety mogą dojść do wniosku, że najlepszym sposobem zwalczania polskiej irydenty jest jej stłumienie w samym zarodku przez drastyczne ograniczenie swobody w Polsce. We współczesnej polskiej polityce wschodniej nie ma więc miejsca na odgrzewane koncepcje jagiellońskie czy idee prometejskie. Jeśli Polacy domagają się od Sowieców nie mieszania się w ich wewnętrzne sprawy, nie mogą również wtrącać się w wewnętrzne problemy Związku Sowieckiego.



Zasadniczym elementem koncepcji Dmowskiego było istotnie szukanie porozumienia z Rosją. Od tego programu nie odstąpił on nigdy, nawet po rewolucji 1917 roku. Sprzeciwiał się konsekwentnie wszelkim planom rozbijania ZSSR. Nie znaczy to jednak, że Dmowski stawiał wszystko na kartę rosyjską i nie doceniał wagi współpracy z Zachodem. Przeciwnie, od początku swojej kariery politycznej nawiązywał kontakty w różnych krajach zachodnich, a szczególnie we Francji. Sowiecie się to Polsce opłacało. Po rewolucji w Rosji Dmowski przeniósł się na Zachód gdzie rozwinął szeroką akcję dyplomatyczną i w oparciu o Polonię Amerykańską stworzył armię polską walczącą po stronie Koalicji. W rezultacie jego działalności Polska uznana została za członka zwycięskiego sojuszu. Dmowski osobiście podpisał Traktat Wersalski zwracający Polsce Wielkopolskę, Pomorze i część Śląska — a więc torujący jej drogę nad Odrę i Nysę.

We współczesnym świecie, w którym kluczową rolę odkrywają Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone, nie jest możliwe prowadzenie samodzielnej polityki bez uwzględnienia stanowiska obu tych mocarstw. Konieczność janusowego spojrzenia na otaczającą nas rzeczywistość sprecyzował jasno b. francuski Minister Spraw Zagranicznych, Michel Jobert: „Nie jest proste żyć w świecie dominowanym przez dwa potężne mocarstwa: trzeba wiedzieć czego się chce, rozumieć grę innych, dostosowywać środki do celów, które chce się osiągnąć i wreszcie działać z precyzją we właściwym momencie²³”. Francja leży na Zachodzie, priory-

23. *The New York Times*, 21 styczeń 1974.

tet więc w jej polityce zagranicznej ma „Westpolitik”, w ostatnim dziesięcioleciu rozwinęła ona jednak wcale aktywną politykę wschodnią. Polska znajduje się w orbicie sowieckiej, pierwszeństwo więc ma „Ostpolitik”, ale nie znaczy to wcale, aby nie było miejsca na polską politykę zachodnią.

W położeniu Polski „Westpolitik” ma naturalnie sens tylko wtedy jeśli jest przedłużeniem, a nie przeciwstawieniem „Ostpolitik”. Poczynania Polaków na Zachodzie powinny więc zmierzać nie do osłabienia, a do wzmocnienia państwowości polskiej. Inaczej mówiąc, jeśli wyjść z dychotomii pomiędzy Ciołkoszem a Bieleckim, polska „Westpolitik” powinna także przeciwstawiać się próbom włączenia Polski do ZSSR i dążyć do przekształcenia sojuszu polsko-sowieckiego w równorzędne partnerstwo — z tą różnicą, że cele te wspiera pośrednio, poprzez Zachód. Polityka zachodnia powinna być uzupełnieniem, a w razie potrzeby alternatywą, polityki wschodniej.

Sprawa polska sama w sobie — jak to kiedyś oświadczył mi jeden z wpływowych Amerykanów — jest dla Stanów Zjednoczonych zagadnieniem nawet nie drugiej, ale trzeciej rangi. Amerykanie nie potrzebują Polski jako sojusznika, nie przeszkadza im więc, że Polska znajduje się w orbicie sowieckiej. Jest oczywiście naiwnością wierzyć, że Stany Zjednoczone będą „wyzwalać” Polskę czy w wypadku inwazji sowieckiej pospieszą jej na pomoc. Nie podejmą też na pewno żadnej akcji dyplomatycznej na rzecz Polski, jeśli nie będzie im to pasowało do globalnej gry jaką prowadzą.

Nie znaczy to jednak, aby Stany Zjednoczone zupełnie nie interesowały się Polską. Ich zainteresowanie jest jednak pośrednie, a nie bezpośrednie. W wypadku kiedy wydarzenia w Polsce ząbiają się z szerszymi problemami międzynarodowymi (np. przemianami w całym bloku komunistycznym czy układem sił w Europie Środkowej) zainteresowanie ich proporcjonalnie wzrasta. W takiej sytuacji jest też możliwa zbieżność ich interesów z polskimi. Otwiera to, skromnie wprowadzając, ale zupełnie realne możliwości działania dla polskiej „Westpolitik”. Nie odpisywałbym więc Zachodu, tak jak to czyni Mieroszewski, całkowicie na straty.

W okresie powojennym Zachód wielokrotnie — bynajmniej nie z sympatii do Polaków, ale po prostu już przez sam fakt swojego istnienia — był Polsce pomocny. Stalin cofnął się przed włączeniem Polski do ZSSR nie tylko dlatego, że obawiał się wewnętrznych następstw tego kroku, ale ponieważ brał również pod uwagę reakcję jaką to wywołałoby na Zachodzie. W obecnym klimacie międzynarodowej *détente* tego rodzaju posunięcie jest jeszcze mniej prawdopodobne, niż w okresie zimnej wojny. Anektowanie PRL, kiedy Sowiety wybijają suwerenność nawet NRD, nie miałyby wiele sensu.

Klimat odprężenia na pewno nie wyklucza, ale zmniejsza, prawdopodobieństwo sowieckiej inwazji w Europie Wschodniej, szczególnie jeśli przemiany tam zbiegną się z nasileniem roko-

wań na linii Wschód-Zachód. Robotnicy gdańscy, chociaż na pewno nie byli świadomi rady Joberta „działania we właściwym momencie”, tak właśnie postąpili. Wyszli na ulicę kiedy w zachodnio-niemieckim Bundestagu na wokandzie była sprawa ratyfikacji traktatów moskiewskiego i warszawskiego. Opozycja chrześcijańsko-demokratyczna czekała tylko na sposobność ich ubicia. Gdyby rozruchy na Wybrzeżu przerzuciły się do Warszawy, a szczególnie gdyby wywołało to interwencję sowiecką, nie ma wątpliwości, że traktaty te by przepadły. Z załamaniem się zachodnio-niemieckiej „Ostopolitik”, nie doszłoby do Konferencji Europejskiej, na której zwołaniu wówczas Moskwie bardzo zależało. Wstrzymałoby to a przynajmniej opóźniło i amerykańsko-sowieckie zbliżenie. Stocznioowcy gdańscy więc o mały włos nie zapobiegli i wizycie Nixona w Jaćcie!

Atmosfera *détente* stwarza też dogodną sposobność dla krajów wschodnio-europejskich do rozwoju — za zgodą Związku Sowieckiego — stosunków gospodarczych, a nawet i politycznych z Zachodem. Stanowi to najlepszą przeciwwagę integracji wewnątrz bloku sowieckiego. Od 1970 roku Polska skutecznie wykorzystwała tę sytuację do nawiązania szerokich stosunków ekonomicznych z Zachodem. Nie tylko uzyskała wcale pokaźne kredyty, ale również rozwinęła znacznie handel. Niektórzy ekonomiści zachodni sądzą, że zmieniło to zasadniczo strukturę polskiego handlu zagranicznego. Pomimo, że od 1970 roku bezwzględne obroty handlowe z krajami komunistycznymi dalej wzrastały, udział handlu Polski z Zachodem zmienił się z 40 % na 50 %²⁴.

Podobnie przedstawia się w warunkach międzynarodowego odprężenia i sprawa stosunków politycznych z Zachodem. Rozwinięciem przez Warszawę relacji z Paryżem, Waszyngtonem czy Bonn, nie naruszających w niczym ścisłego sojuszu z Moskwą, wzmacnia pozycję Polski wobec Sowietów. Poprzez zdobywanie własnych wpływów na Zachodzie, Polacy stają się bardziej autentycznymi partnerami Rosjan, z głosem których trzeba się więcej liczyć przy ustalaniu wspólnej linii bloku komunistycznego. Sytuacja tu jest podobna do tej jaka istnieje w handlu zagranicznym. Bez zmniejszania, a nawet może zacieśniając współpracę z ZSSR, ale równocześnie nakładając nowe więzi międzynarodowe na już istniejące, maleje jednostronna zależność Polski od Rosji²⁵.

Nie ulega więc wątpliwości, że klimat międzynarodowego odprężenia sprzyja poprawie położenia Polski. Nie tylko zmalało niebezpieczeństwo anektowania Polski przez ZSSR, ale otworzyły się przed nią możliwości, które nie istniały w okresie zimnowojennego ścisłego podziału na dwa bloki, wykorzystania stosunków z Zachodem do wzmocnienia pozycji Polski wobec Rosji.

24. Nie potwierdzają tego jednak (czyżby celowo?) oficjalne dane polskie, które dalej przyjmują obroty z krajami komunistycznymi na 60 %.

25. Temat ten rozwinąłem szerzej w moim artykule: „Beyond the Gomułka Era”, *Foreign Affairs*, kwiecień 1971.

Właściwie pierwszy raz od Drugiej Wojny Światowej zaistniała konstruktywna, a nie tylko negatywna szansa dla polskiej „West-politik”.



W tych warunkach specjalnego znaczenia nabiera działalność środowisk polskich na Zachodzie. Polska diaspora dysponuje nie tyle jaką siłą. Po wojnie znalazła się na Zachodzie nie tylko duża część przedwojennej polskiej elity politycznej i intelektualnej, ale również poważna grupa najbardziej aktywnego elementu młodego wówczas pokolenia: żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, więźniów obozów koncentracyjnych, AK-owców. Ludzie ci, obecnie w sile wieku, wrosli mocno w swoje nowe środowiska i często zajęli w nich wpływowe stanowiska. Równocześnie nie stracili poczucia polskości, ani żywych zainteresowań losem narodu polskiego. Stanowią oni dziś trzon polskiej diaspory — z jednej strony przejmują ośrodki emigracyjne od starszego pokolenia, z drugiej zaś w dużej mierze nadają ton dawniejszym, ale niewynarodowionym jeszcze, środowiskom polonijnym. Wzmacniają ich przeciekający stale przybysze z Polski, często o dużych walorach intelektualnych. Grupa ta będzie jeszcze czynna przez jakieś dwadzieścia lat. Może więc, jeśli ją na to będzie stać, odegrać konstruktywną rolę polityczną.

Niestety, jak dotąd potencjał polskiej diaspory nie jest wykorzystany. Przyczyną tego nie jest brak możliwości działania, ale brak orientacji co należy robić? Program polityczny środowisk polskich na Zachodzie jest przede wszystkim negatywny. Starsze pokolenie zostało na Zachodzie jako protest przeciwko temu co się stało z Polską pod koniec Drugiej Wojny Światowej; młodsze pokolenie w poważnej części przyjęło tę samą postawę. Emigracja polityczna za swoje główne zadanie uważa walkę z moralną sowietyzacją Polski. Dąży ona do podtrzymania oporu narodu polskiego przez kultywowanie jego tradycji wolnościowych, denuncjowanie systemu komunistycznego i napiętnowanie cynicznej polityki Zachodu. Emigracja twardo okopała się w takich właśnie pozycjach. W przeróżnych organizacjach kombatanckich utrzymuje się ducha militarnego, tak jakby groziła wojna a pięćdziesięcioletni panowie jeszcze się na nią nadawali. Obchodzi się uroczysto rocznice dawnych bitew, święci sztandary i rozdaje ordery. Uchwala się sążniste rezolucje potępiające imperializm sowiecki i płodzą memoriały pouczające Zachód o niebezpieczeństwie komunizmu. Wszystkie to pochłania mnóstwo czasu i energii, ale nie przynosi wiele korzyści dla Polski.

Rola polskiej diaspory powinna być polityczna a nie moralistyczna. Walka z niebezpieczeństwem moralnej sowietyzacji jest rzeczą narodu w Polsce i nic nie wskazuje, że została ona zaniechana. Polakom z kraju nie na wiele się przydadzą, a często ich wprost irytują, deklaracje ideowe różnych ośrodków emigracyjnych. Od rodaków z Zachodu oczekują nie pouczania ich o wadach komunizmu, bo te znają na własnej skórze, ale konkretnej

pomocy, aby je usunąć. Jeśli Polacy za granicą chcą rzeczywiście podtrzymać swoich braci w kraju to mogą najbardziej skutecznie to zrobić otwierając im szeroko okno na Zachód. Powinni oni utrzymywać ścisły kontakt z narodem — odwiedzając Polskę i ułatwiając Polakom z kraju wyjazdy na Zachód. W erze międzynarodowego odprężenia jest to możliwe. Od ludzi odwiedzających Polskę nie wymaga się dziś rezygnacji z ich własnych poglądów. Otwiera to możliwości (nie typu rewolucyjnego naturalnie) oddziaływania na sytuację w kraju. Jak trafnie to ujął Janusz Stefanowicz w warszawskich *Kierunkach*, międzynarodowa Polonia w zamian za swoją rolę „światowej transmisji polskiej kultury i cywilizacji materialnej... ma prawo do sprzężenia zwrotnego, do podmiotowego udziału w rozwoju polskich wartości duchowych i materialnych²⁶”.

Wiem doskonale jaka będzie reakcja różnych starszych panów czytających te słowa w Londynie. „Ależ”, wykrzykną zgorzeleni, „oznacza to uznanie 'reżymu warszawskiego!'”. — Po pierwsze, bez względu na to czy się nam to podoba, rząd komunistyczny w Warszawie jest uznany jako *de facto* sprawujący władzę w Polsce przez cały świat, i co ważniejsze, przez Polaków w kraju. Przemiany w Polsce są niemożliwe bez jego walnego udziału. Po drugie, nie znaczy to wcale, aby diaspora miała popierać *wszystkie* poczynania władz w Polsce. Nasze stanowisko wobec nich powinno być selektywne²⁷. Powinniśmy popierać — tak zresztą jak zawsze to robiliśmy, np. w sprawie uznania granicy na Odrze i Nysie — te poczynania PRL, które są zgodne z aspiracjami narodu polskiego, a przeciwstawiać się tym, które warunku tego nie spełniają. Co dokładnie powinniśmy robić powiedzą nam najlepsi nasi rodacy w Polsce.

Spółeczeństwo w kraju oczekuje od środowisk polskich na Zachodzie realnego wkładu w polską „Westpolitik”. Polska diaspora może być, jeśli stanie na wysokości zadania, wspornikiem międzynarodowej pozycji Polski. Poczynania jej nie mogą naturalnie stać w sprzeczności z polityką krajów w których ona przebywa. Wysiłki Polaków zmierzające do zasadniczej zmiany stanowiska Zachodu skazane są na niepowodzenie. Środowiska diasporowe powinny więc — stosując się do rady Jobert — włączyć się w bieżący nurt polityki państw zachodnich i wykorzystywać w nich punkty zbieżne z interesami Polski. Nie znaczy to, aby gdzie konieczne nie stosować i metod nacisku — międzynarodową Polonię stać byłoby i na to — ale żądania muszą być zawsze utrzymane w granicach rzeczywistości a nie obracać się w sferze *wishful thinking*. W tej sytuacji z zazdrością się czyta jak podczas ostatniego konfliktu na Bliskim Wschodzie. Ambasador

26. Janusz Stefanowicz, „Polonia amerykańska — czas przemian”, *Kierunki*, 14 lipiec 1974.

27. Temat ten naświetliłem obszerniej w broszurze: *Polska diaspora*, Toronto, 1972; jak i w artykule „Przeobrażenia w Polonii — na diasporowym półmroku”, *Związkowiec*, 13 listopad 1973.

Izraela dyktował Kissingerowi warunki pomocy ze Stanów Zjednoczonych grożąc mu, że odwoła się do amerykańskich środowisk żydowskich. Natomiast wkrótce po wydarzeniach grudniowych na odczyt o sytuacji w Polsce przybyło w Chicago... trzydzieści osób.

Ma więc rację Mieroszewski pisząc, że potrzebny jest aktualny program polityczny. Oczekuje tego kraj; niezbędny jest dla nas samych. W przeszłości emigracja już raz taką twórczą rolę spełniła. W 1887 roku w Hilfkon w Szwajcarii powstała Liga Polska, z której wykludy się wszystkie najważniejsze, nowoczesne polskie ruchy polityczne. W działalności Ligi uczestniczyli nie tylko Narodowi Demokraci, ale także i socjaliści.

Adam BROMKE

Księgi ugody i diaspor Adama Bromke

Polak średniego pokolenia z najnowszej fali emigracyjnej, który niedawno mnie odwiedził — wypowiedział następujący pogląd: „wszystko co pan pisze o demokratycznym socjalizmie i demokracji w ogóle jest rzucaniem grochu o ścianę. Gdyby Polska odzyskała niepodległość dyktaturę komunistyczną bardzo szybko zastąpiłaby dyktatura nacjonalistyczna. Komunistów zastąpiliby neo-endecy w sojuszu z Kościołem. W sumie, Polska niepodległa byłaby równie odległa od demokracji jak i dzisiejsza Polska Ludowa”.

Choć nie podzielał beznadziejnego pesymizmu mojego rozmówcy — w pełni doceniał niebezpieczeństwo, o którym mówił. Lecz właśnie dlatego, że droga do demokracji w Polsce jest żmudna, trudna i niemal beznadziejna — demokraci polscy muszą przekonywać, pisać, walczyć i nie mogą nigdy zrezygnować.

To samo dotyczy niepodległości. Polska utraciłaby niepodległość definitywnie tylko wówczas, gdyby większość Polaków zrezygnowała z niepodległości.

Ugodowcy i kolaboranci wszystkich czasów i epok — głosili zawsze, że to co jest pożądane, lecz w danej sytuacji niemożliwe jest tym samym nierealne. Jak wiadomo tylko rzecz realna może stanowić przedmiot politycznej analizy a w dalszej konsekwencji treść politycznego programu i działania.

Ja również uważam, że polityk, który bierze rozbrat z realizmem przestaje być politykiem.

Oceniając realizm danego programu politycznego trzeba różnić pomiędzy postulatami, które formułują rzeczy pożądane a postulatami, które dotyczą rzeczy koniecznych i niezbędnych. Weźmy przykład. Przed wojną istniała w Polsce „Liga Morska i Kolonialna”. Pewni politycy uważali, że byłoby rzeczą pożądaną, gdyby Polska posiadała jakieś kolonie. Lecz nikt w Polsce nie był gotów walczyć i ryzykować życia dla kolonii, jakkolwiek byłyby pożądane. Natomiast dostęp Polski do morza uważaliśmy wszyscy za konieczność i naród gotów był bronić skrawka polskiego wybrzeża do upadłego.

Kategoria realizmu jest kategorią zmienną. Niepodległość Polski w roku 1910 była propozycją nierealną a zaledwie w 8 lat później stała się propozycją realną. Natomiast postulaty polityczne, których osiągnięcie naród uważa za konieczne i niezbędne — w treści swej nie podlegają fluktuacjom koniunkturalnym i dlatego w gruncie rzeczy są bardziej trwałe a tym samym bardziej realne niż polityka ugodowa czy kolaboracyjna, która jest formacją zrodzoną przez koniunkturę.

Prof. Bromke jako historyk powinien wiedzieć, że na dalszą metę realistami są zawsze ci, którzy walczą o postulaty niezbędne i oczywiste w swej słuszności — a nie ci, którzy zdradzają to co nieodzowne i konieczne dla polityki akomodacji z tym, co w danym momencie jest realne choć krzywdzące i niesłuszne.

Trzeba natomiast być pewnym w ocenie czy dany postulat jest tylko pożądany czy konieczny i oczywisty w swej słuszności. Ponieważ pierwsi działacze związków zawodowych byli absolutnie pewni konieczności i słuszności swych postulatów — Historia potwierdziła nie tych, którzy pionierów związków zawodowych wysyłali do karnych kolonii — ale potwierdziła ideę ruchu związkowego.

Postulat niepodległości Polski przestałby być realny tylko wówczas, gdyby większość Polaków myślała podobnie jak prof. Bromke — to znaczy, że nie należy obecnej „szerokiej autonomii” narażać na niebezpieczeństwo obstawianiem przy postulatach niezbędnych i oczywistych w swej słuszności — choć w obecnym momencie nierealnych.

Na marginesie należy zaznaczyć, że autonomia dotyczy tylko komunistycznych menadżerów. Lecz nawet gdyby autonomia przyznana polskim komunistom była istotnie szeroka — to autonomia ta nie dotyczy znakomitej większości narodu polskiego. Dziesiątki milionów Polaków, którzy komunistami nie są i nie należą do partii — żyją w totalistycznym, narzuconym siłą ustro-

ju i mówienie o „szerokiej autonomii” w stosunku do nich zakrawa na kpiny.

Bromke jest ewolucjonistą i uważa, że w klimacie pokoju i odprężenia nastąpią w Sowietach ewolucyjne zmiany, wiodące do stopniowej demokratyzacji ustroju. Ja również jestem ewolucjonistą a nie kontrrewolucjonistą. Kontrrewolucja implikuje nie tylko obalenie tego co jest, lecz również przywrócenie tego co było. Z tych przyczyn nie mógłbym być kontrrewolucjonistą ponieważ jestem przekonany, że ani w Rosji ani w Polsce nie należy przywracać tego co było.

W mojej książce pt. „Ewolucjonizm” wydanej przez *Kulturę* w roku 1964 — sformułowałem teorię ewolucjonizmu, którą można streścić w jednym zdaniu: w krajach Europy Wschodniej należy popierać tych, którzy dążą do demokratyzacji ustroju i należy zwalczać tych, którzy owym prądom się przeciwstawiają. *Kultura* w tej dziedzinie działała z wielką konsekwencją. Popieraliśmy powstańców węgierskich, udzieliliśmy kredytu nawet Gomułce dopóki ukazywało się *Po Prostu* i działał „Klub Krzywego Koła”. Popieraliśmy Dubczeka i „Wiosnę Praską” a obecnie nawiązaliśmy przyjazne stosunki z dysydentami rosyjskimi. Pewien wybitny pisarz polski wyraził pogląd, że Polacy nie potrzebują „Samizdatu”, ponieważ mają paryską *Kulturę*.

Program i polityka wydawnicza Instytutu Literackiego zmierzają do podtrzymywania w Polsce i w innych krajach satelickich — intelektualnego oporu i cokolwiek powie o nas kiedyś Historia — zespołowi *Kultury* nikt nie postawi zarzutu „zdrady klerków”.

Kto jeżeli nie intelektualiści winni dziś bronić racjonalizmu i prawdy? Wydawałoby się, że zakończyła się definitywnie epoka „Boga, który zawiódł” a zbiorowa książka pod tym tytułem była dowodem odnowionej lojalności intelektualistów w stosunku do racjonalizmu i prawdy.

Ewolucjonizm, który reprezentuje prof. Bromke stanowi odwrotność polityki *Kultury*. W jego opinii — mówiąc obrazowo — należy współpracować nie z buntującymi się więźniami lecz z klucznikiem więzienia — w nadziei, że klucznik gdy przekona się, że wszystkie iskry buntu wygasły, może złagodzi reżym więzienny. Gdy więźniowie zaakceptują fakt, że myśl o ucieczce jest absurdem, że wolność nie mieści się w ramach „Realpolitik”, że więzienie jest strukturą, która nie tylko trwa ale przetrwa — wówczas dojrzeją do „liberalizacji”. Klucznik nikogo nie będzie musiał bić pałką po głowie ani nikogo zamykać, bo więźniowie sami, z własnej woli, zamykać się będą w własnych celach.

Galicja przed pierwszą wojną światową posiadała daleko większą autonomię niż PRL. Kwitła literatura, malarstwo, działalność

naukowa na uniwersytetach. W dzisiejszym Krakowie nie mógłby się ukazywać *Czas* ani liczne pisma literackie z okresu Młodej Polski. W owym okresie krakowska szkoła historyczna na Uniwersytecie Jagiellońskim dokonała krytycznej analizy złożonych przyczyn upadku pierwszej Rzeczypospolitej.

Obecnie w „autonomicznej” Polsce Ludowej kontrolowana i cenzurowana jest nie tylko prasa lecz również działalność naukowa. Dotyczy to przede wszystkim humanistyki a więc filozofii, historii, historii literatury i socjologii.

Jest oczywistym obowiązkiem intelektualistów polskich żyjących za granicą — bronić prawdy. Ci intelektualiści — zwłaszcza uprawiający tzw. literaturę piękną — którzy zaślaniają się sloganem, że literatura, krytyka literacka i historia literatury nie mają nic wspólnego z polityką — nie tylko zdradzają swych kolegów w Kraju i własne powołanie — lecz oddają się złudzeniom, że można dokonać czegoś wartościowego milcząc w podstawowych sprawach.

Nikt nie wymaga od pisarzy i intelektualistów emigracyjnych by zarzucili sobie na ramiona płaszcz wieszczów i pisarzy polskich z XIX wieku. Owe płaszcz okazałyby się na nich mocno za duże. Nikt nie wymaga, by obejmowali „rząd dusz” lub by stali się „sumieniem narodu”. Chodzi nie o rozszczepianie włosa na troje, lecz o konkretne i bezsporne fakty. Chodzi o to by emigracyjni intelektualiści nie fraternizowali się na zjazdach i konferencjach z tymi, którzy fałszują historię — lecz przeciwnie, by piętnowali fałszerzy i prostowali fałszerstwa — nie tylko w Historii lecz we wszystkich dziedzinach zsovietyzowanej polskiej rzeczywistości.

Kolaborant w Kraju może się zawsze powołać na odwieczną kwestię: jednostka versus totalne policyjne państwo. Lecz intelektualista polski osiadły na Zachodzie, kupujący za swoje milczenie zaproszenie na konferencję naukową, zjazdy, pochlebne wzmianki w prasie krajowej — nie ma niczego na swoje usprawiedliwienie.

Nie możemy oburzać się, że brytyjczyści czy amerykańscy intelektualiści często tchórzliwie milczą gdy w Sowietach zamyka się pisarzy w szpitalach dla obłąkanych czy wysyła do łagrów — jeżeli my milcząc akceptujemy sowietyzm w naszym własnym kraju. Owym milczeniem umacniamy narody Zachodu w pogardliwym przekonaniu, że sowiecki totalizm nie byłby dobry dla Francuzów czy Brytyjczyków ale dla Polaków wystarczy.

Uważam za możliwe na daleką metę — ewolucyjne demokratyzowanie ustroju w państwach satelickich, jeżeli spełnione będą pewne podstawowe warunki. Opór przeciwko totalizmowi musi wzrastać a nie maleć — ci którzy w Kraju protestują muszą

widzieć, że nie są izolowani, muszą wiedzieć, że popierają ich Polacy w wolnym świecie.

Nikt w dziejach nie obalił dyktatury popierając tych, którzy z dyktaturą współpracują. Jest jasne i oczywiste ponad wszelką wątpliwość że pragnąc przekształcić i zdemokratyzować ustrój totalny — trzeba popierać tych, którzy dyktaturę zwalczą.

Natomiast prof. Bromke chciałby emigrację polityczną przekształcić w zagraniczną ekspozyturę PAX'u. Zachowalibyśmy układowy katolicyzm i układowy patriotyzm wyzbywając się równocześnie wszelkiej myśli o proteście. To jest droga do Polski „urlopowej”, do Polski zjazdów i kongresów ale nie jest to droga ani do Polski wolnej ani demokratycznej.

W okresie tzw. „wiosny w październiku” odwiedziło mnie wielu członków partii. „Wiosna” upadła, niemniej jest wielu członków partii, którzy pragnęliby zmian. Pracuję od 26 lat dla *Kultury*. W okresie tego ćwierć wieku odwiedziło mnie setki osób z Kraju w tym, powtarzam, również i partyjni komuniści. Przez owe 26 lat nie spotkałem nigdy — podkreślam — nigdy — Polaka, komunisty czy nie komunisty, paxowca czy nie paxowca — który by usiłował przekonać mnie, że *Kultura* powinna wstąpić na drogę, którą sugeruje prof. Bromke.

Prof. Bromke na pewno się oburzy — stwierdzam jednak z całym przekonaniem, że w Polsce nikt z nim nie mówił szczerze. Pomijając notoryczny fakt, że w Kraju wszystkie ściany mają uszy — nikt, nawet komunista nie może mówić szczerze z ugodowcem z Sowietami za wszelką cenę. Większość szeregowych członków partii i znaczny procent komunistów w administracji potajemnie nienawidzi Sowietów. Znakomita większość intelektualistów krajowych w cichości ducha nienawidzi „Wielkiego Brata”. Ci ludzie nie będą mówili szczerze z prof. Bromke.

Jest jasne, że miliony Polaków zagranicznych nie mogą być co do jednego ludźmi politycznie i ideologicznie zaangażowanymi. Dziesięć lat temu wysunęliśmy tezę, że Kraju nie powinni odwiedzać intelektualiści, pisarze, politycy — którzy stanowią mniej niż jeden procent wielomilionowej masy Polaków zamieszkałych za granicą. Lecz reżymowi zależy przede wszystkim na tym jednym czy nawet pół procencie Polaków zagranicznych, którzy oddziaływują na opinię emigracyjną. O ileż większym sukcesem dla reżymu warszawskiego byłoby zjednać sobie przychylność czterech czy pięciu ludzi, którzy produkują paryską *Kulturę* niż sprowadzić kilkuset sportowców polonijnych na igrzyska w Krakowie.

Wielokrotnie studenci z Kraju na wakacjach w Anglii zdumiewali mnie intensywnością pasji i pogardy z jaką wyrażali się o Polakach zagranicznych, idących na lep propagandy reżymowej.

Owi studenci nie mogą pojąć, że ci, którzy korzystają z wolności i mogą protestować — nie protestują i biorą udział w zjazdach i galówkach w Kraju, organizowanych przez reżym, który więzi przywódców „Ruchu”. Benedykt Czuma nie jest Solżenicynem lecz w ostatnim słowie oskarżonego wypowiedział odważnie prawdę, którą znakomita większość Polaków czuje i uważa za prawdę, choć tylko najdzielniejsi i nieliczni zdobywają się na odwagę by głośno ją wypowiedzieć. Czuma nie stanowi wyjątku.

Ilu jest w Kraju uczciwie myślących ludzi, którzy mają na utrzymaniu rodziny — wiedząc, że jedynym pracodawcą w PRL jest państwo. Tacy ludzie nie mogą imiennie protestować na łamach *Kultury*. Z jaką pogardą muszą jednak odnosić się do tych Polaków zagranicznych, którzy — choć jawny protest niczym by im nie zagrażał — wolą milczeć, by nie utracić zaproszenia na taki czy inny zjazd w Warszawie i mieć zapewnioną wizę na urlop w Polsce w przyszłym roku.

Ubiegłego lata odbyły się w Krakowie polonijne igrzyska sportowe. Ryzykuję pogląd, że żaden z polonijnych sportowców nigdy w życiu nie słyszał o Czumie czy o procesie „Ruchu”. Ci polonijni młodzieńcy, dzięki swej politycznej naiwności — rzucając na boisku w Krakowie dyskiem czy oszczepem nie zawierali żadnego hańbiącego kompromisu. Lecz inną miarą musimy oceniać postępowanie takich Polaków jak prof. Bromke. Ci ludzie, znakomicie wykształceni, nie mogą zaśnaniać się ignorancją czy naiwnością. Ci panowie swoją prywatną normalizację z reżymem PRL — kupują za cenę kompromisu, którego treścią jest akceptacja faktu jawnego gwałcenia w PRL podstawowych praw człowieka i obywatela. Milczą — choć protest nie oznaczałby dla nich więzienia jak dla Czumy. Musieliby tylko zrezygnować z wyjazdu do Polski i z wątpliwego zaszczytu uściśnięcia ręki p. Rakowskiego.



Prof. Bromke w swoich artykułach reprezentuje nie tylko swój osobisty punkt widzenia, lecz również obóz neo-dmowszczyków, którzy polityczne nauki Romana Dmowskiego starają się zastosować do całkowicie nowej sytuacji. Wątpię czy Dmowski zażywałby artykuły Bromkego, lecz nieżyjących przywódców i pisarzy politycznych można zawsze interpretować dowolnie — bo wiadomo, że niczemu nie zaprzeczą.

Bromke wychodzi z założenia, że *status quo* w Europie Wschodniej jest konstrukcją trwałą — to znaczy, że w wymiarze

ludzkiej polityki trwać będzie bez większych zmian przez następne stulecia. Ukraińcy, Litwini i Białorusini — są według Bromkego już dziś w znacznym procencie zrusyfikowani a za 50 czy 100 lat rozplyną się bez reszty w morzu rosyjskim.

Polska w takiej sytuacji liczyć może tylko na pewną autonomię, która będzie tym szersza im Rosjanie będą nas pewniejsi. Jeżeli przestaniemy mówić o wolności słowa, o demokracji, o niezależnych związkach zawodowych — jeżeli przestaniemy popierać dysydentów rosyjskich — to zaufanie Rosjan do nas powoli zacznie wznastać, co z czasem znajdzie swój wyraz w poszerzeniu autonomii PRL w obrębie bloku sowieckiego.

Tę samą filozofię według Bromkego należy stosować w odniesieniu do sytuacji wewnętrznej Polski. Jeżeli władze PRL nie będą się czuły zagrożone przez ruchy dysydenckie, przez akcje antykomunistyczne wspierane przez polskie wolnościowe ośrodki na Zachodzie — jeżeli antykomunizm zlikwidujemy i zastąpimy go polityką lojalnej opozycji — wówczas powstanie klimat sprzyjający ogólnej liberalizacji ustroju.

Mówiąc obrazowo krokodyla nie należy bić drągiem po głowie, bo takie postępowanie musi go rozdrażniać i tym samym czyni go bardziej niebezpiecznym. Z krokodylem należy obchodzić się łagodnie a przede wszystkim należy go obficie karmić. Wówczas krokodyl utyje, utraci ruchliwość a tym samym stanie się mniej agresywny.

W stosunku do krokodyla byłaby to mądra polityka, ponieważ zwierzęta drapieżne atakują tylko wówczas kiedy są głodne. Lecz powyższy przykład nie może stanowić analogii w odniesieniu do stosunków międzyludzkich. Totalizmu — co tak subtelnie zanalizował Orwell — nie można nasycić. Uległość wobec totalizmu jest równią pochyłą, która dosłownie nie ma końca.

Prof. Bromke jako historyk musi przyznać, że demokratyzacja i liberalizacja w dziedzinie ustroju społecznego — były zawsze wywalczone przez opozycjonistów — nigdy przez konserwatystów czy lojalistów.

W ustrojach demokratycznych — jak w Anglii czy we Francji — możliwa jest koncepcja lojalnej opozycji, ponieważ opozycja posiada realną szansę w następnych wyborach zdobycia większości w parlamencie.

W ustrojach totalnych jak w PRL — nie ma miejsca na lojalną opozycję, ponieważ opozycja tolerowana jest tylko wówczas gdy kolaboruje z reżymem i akceptuje ustrój, który przekreśla jej wszelkie aspiracje i nadzieje. Polska jest narodowa i w 80-ciu procentach katolicka, lecz żadna partia narodowo-katolicka nie miałaby możliwości zdobycia większości w sejmie PRL.

Problem jest w gruncie rzeczy jasny i prosty — trzeba mieć tylko uczciwą odwagę wyciągnięcia z niego logicznych konsekwencji.

W Anglii wystarczy nie być konserwatystą — nie ma potrzeby być antykonserwatystą czy antysocjalistą. W odniesieniu do totalizmu nie wystarczy nie być totalistą. Trzeba być antytotałistą. Podobnie nie wystarczy nie być komunistą. Trzeba być antykomunistą, ponieważ komunizm jest totalizmem, który demokraci winni bezkompromisowo zwalczać. Zwalczamy komunizm nie dlatego, że jest komunizmem. Zwalczamy komunizm tylko dlatego, że jest totalizmem. Gdyby komunizm przestał być ustrojem totalnym autor tych słów przestałby być antykomunistą.

Każdy ma prawo do takiej czy innej filozofii społecznej i komuniści mają identyczne prawo w tej dziedzinie, jak wszystkie inne ugrupowania polityczne. Nikt jednak nie ma prawa do totalizmu, ponieważ totalizm jest gwałtem zadaniem społeczeństwu. Nikt nie ma i nie może mieć licencji do obrabowywania społeczeństwa z podstawowego prawa, do parlamentarnej reprezentacji, wyłonionej w prawdziwych i wolnych wyborach. Totalizm nie jest ustrojem społecznym tylko bezprawiem. Źródłem wszelkiego prawa i praworządności jest wola społeczeństwa wyrażona w swobodnych wyborach i z tej przyczyny sowietyzm czyli wschodni totalizm stanowi dokładną odwrotność praworządności i demokracji.

To wszystko prawda — powie prof. Bromke i jego zwolennicy — ale trzeba jakoś żyć i zaadaptować się do sytuacji, która w Polsce istnieje i trwać będzie 100 a może 200 lat. W tym punkcie dochodzimy do sedna tych rozważań. Prof. Bromke prowadzi społeczeństwo w Kraju i emigrację do wspólnego mianownika. Choć Polacy mieszkający nad Wisłą i Polacy zagranicznicy należą do tego samego narodu, cele nasze są różne i nasze możliwości są różne. Prof. Bromke stwierdza, że komunizm Polsce został narzucony z zewnątrz i większość Polaków w Kraju nie pragnęła tego ustroju. Niemniej choć nikt nie musi w Polsce należeć do partii — nikt nie może być aktywnym antykomunistą. Tak w tej jak i w wielu innych dziedzinach sytuacja jest absurdalna. 80 % a może więcej nie chce komunizmu, lecz równocześnie nie antykomunizm jest uznawany za zbrodnię przeciwko państwu.

Rola Polaków krajowych wynikająca z ich sytuacji jest całkowicie różna od roli jaka przypada Polakom zagranicznym. Musimy być w bezkompromisowej opozycji do narzuconego Polsce ustroju jeżeli nie chcemy zdradzić milionów Polaków w Polsce, którzy byłiby w aktywnej opozycji do komunizmu gdyby mieli po temu możliwości. Zwłaszcza na intelektualistach emigracyjnych ciąży oczywisty podwójny obowiązek.

Po pierwsze, żadnemu intelektualistcie nie wolno braku swego zaangażowania usprawiedliwiać apolitycznością swego zawodu. Komunizm jest totalną wiarą i albo się jest za nią albo przeciwko niej. Ci, którzy usprawiedliwiają brak swego zaangażowania faktem, że interesuje ich tylko Szekspir albo dziewiętnastowieczne malarstwo — nie występując czynnie przeciwko komunizmowi *de facto* biernie go wspomagają.

Intelektualistów odstrasza od antykomunizmu jego płaska propagandowość. Ale jest w znacznej mierze winą intelektualistów, że walkę z komunizmem pozostawiają grafomanom i zawodowym propagandystom.

Drugim naczelnym obowiązkiem intelektualistów emigracyjnych jest walka o przywrócenie sensu słowom. Zwracał na to uwagę Kołakowski i ja na ten problem wielokrotnie zwracałem uwagę jako tłumacz Orwella. Podkreślałem, że komuniści realizują jako tłumacz Orwella. Podkreślałem, że komuniści realizują orwellowską ideę *newspeak*'u — nadając słowom odwrotne znaczenie od ich pierwotnej treści. Bierut w czasie najczarniejszego stalinizmu mawiał: „powiedz mi jaki jest twój stosunek do Związku Sowieckiego a powiem ci czy jesteś dobrym patriotą”. Czyż to nie była pełna realizacja hasła z „Roku 1984”? „Wolność jest Niewolnictwem”?

Wiemy, że „księża patrioci” stanowią odwrotność księży patriotów, wiemy, że „demokracja ludowa” stanowi odwrotność demokracji itd., itp.

Język określa świadomość. Semantyczną inżynierią można zdziałać bardzo wiele. Można wychować pokolenia, które będą przypisywały inną niż my znaczeniową treść takim słowom jak „socjalizm”, „demokracja”, „patriotyzm” czy „wolność”.

Wszystkie słowniki i encyklopedie wydawane w PRL roją się od wynaturzeń treści znaczeniowej słów i terminów i stanowią pomnik dla geniuszu Orwella. W dziedzinie językowej komuniści dosłownie skopowali ponurą wizję „Roku 1984”. „Totalitarna gramatyka”, wynaturzająca sens słów, czyni parodię z prasy i wszystkich środków masowego przekazu, uniemożliwia poważne i rzetelne uprawianie nauk humanistycznych i zmierza do wykorzenienia prawdy i zastąpienia jej polityczną „wartością użytkową”.

Jest rzeczą charakterystyczną, że z tych problemów daleko lepiej zdają sobie sprawę Polacy z nowej fali emigracyjnej niż emigranci, którzy opuścili kraj po roku 1939.

Nie wszyscy mogą i nie wszyscy muszą być zaangażowani. Nie ma powodu by polski dentysta, rolnik czy chemik nie wysłał swoich dzieci na wakacje do Kraju — tak jak nie ma powodu by emigracyjny architekt czy aptekarz rozdzierał szaty na wszystkich patriotycznych akademiach.

Jest natomiast rzeczą istotną, by ludzie, którzy z racji swego zawodu i powołania winni być zaangażowani — byli zaangażowani. Do tej kategorii emigrantów należy zaliczyć humanistów a więc pisarzy, historyków, socjologów itp. Ci ludzie bowiem znajdują się w pierwszej linii frontu w walce z sowietyzmem. Jeżeli szukają kompromisów z grabarzami własnych dyscyplin — zdradzają rzetelną historię, rzetelną literaturę, rzetelną socjologię — inaczej mówiąc, zdradzają swoje własne powołanie. Nie ludźmy się — sowietyzmu nie robi Breżniew i Gierek czy KGB i Bezpieka. Sowietyzm rozbudowują i podtrzymują intelektualistów w służbie tych panów. Więzienie intelektualistów zbudowane jest w znacznej mierze rękami intelektualistów, którzy totalistom i biurokratom dostarczają ideologicznych i filozoficznych uzasadnień.

W moich artykułach ogłaszanych w *Kulturze* starałem się przedstawić argumenty przeciwko koncepcji neo-dmowszczyzny. W tym miejscu chciałbym podkreślić jeszcze jeden szczegół. Założenie, że od komunistycznej Rosji można wytargować dla Polski niepodległość jest nonsensem. Prof. Bromke zdaje sobie z tego sprawę i dlatego akceptuje „autonomię”. Neo-dmowszczyznicy mają oczywiście prawo do tego typu poglądów. Naród w niewoli musi mieć garnitur polityków-ugodowców gdyż lepiej jest by Polską rządził Gierek niż sowiecki gubernator. Lepiej jest by Polską rządzili Polacy zależni od Moskwy niż Rosjanie przysłani z Moskwy.

Narody w niewoli grają zawsze na dwóch fortepianach — mają zarówno ugodowców jak niepodległościowców. Ugodowcy spełniają swoje zadanie w perspektywie narodowej, jeżeli współpracy z zaborcą nie traktują za drabinę do osobistej kariery lecz starają się uratować to, co jest do uratowania i rozbudować to, co jest do rozbudowania.

Politykę ugodową można realizować tylko w Kraju i jeżeli ktoś uważa, że w okresie najbliższych dziesięcioleci wyłącznie na tej drodze można służyć Polsce — powinien wrócić do Kraju.

Ugodowcy mają prawo do swoich poglądów i nie wszyscy ugodowcy będą potępiani przez Historię. Natomiast ugodowcy nie mają prawa przedstawiania swojej polityki jako jednego z programów polityki niepodległościowej. Fakt, że wszyscy ugodowcy powołują się na suwerenność i niepodległość — dowodzi, że każdy polski polityk czuje w swoich kościach, że znakomita większość narodu polskiego pragnie niepodległości a nie „autonomii”. W Kraju wszyscy widzą, że Gierek nie prowadzi polityki niepodległościowej. Trzeba również obiektywnie stwierdzić, że Gierek i jego ekipa rządząca nie są ewolucjonistami i nie głoszą, że ich celem jest odzyskanie w sposób pokojowy niepodległości i wskrze-

szenie ustroju parlamentarnej demokracji. Gierek i jego aparat prowadzą klasyczną politykę ugody z zaborcą i nie starają się tego faktu ukrywać.

Natomiast prof. Bromke politykę ugody stara się zaprezentować w niepodległościowym opakowaniu. Dmowski był niepodległościowcem i żaden rzecznik ugody i zwolennik „autonomii” nie ma prawa powoływać się na Dmowskiego.

Z doktryny „gry na dwóch fortepianach” wynika jasno, że emigracja winna głosić i reprezentować postulaty, których w Kraju ani reprezentować ani głosić nie wolno. Polityka „gry na dwóch fortepianach” nie ma nic wspólnego z siedzeniem na dwóch krzesłach. Niepodległościowcy na emigracji nie mogą mieć nic wspólnego z reżymową polityką ugody — winni natomiast mówić głośno i dobitnie w imieniu dziesiątków milionów Polaków w Kraju, którzy pragną przywrócenia Polsce pełnego prawa do samostanowienia.

Prof. Bromke pociesza się, że do dwudziestu lat wszystko na emigracji zmieni się po jego myśli. Nie będzie politycznej emigracji tylko polska „diaspora” współpracująca grzecznie z reżymem komunistycznym w Polsce.

Casus prof. Bromkego stanowi jaskrawe zaprzeczenie powyższej teorii. Polityka ugody i „diaspory” nie wyszła z nowej fali emigracyjnej tylko od profesora Bromke, który należy do pierwszej fali emigracyjnej. Ugodowców i zwolenników „diaspory” można znaleźć daleko więcej wśród Polaków pierwszej fali emigracyjnej niż wśród Polaków należących do najnowszej emigracji. I to jest zrozumiałe. Starzy emigranci znają Polskę Ludową tylko z książek i z prasy, albo z krótkich urlopów. Natomiast nowi emigranci znają Polskę komunistyczną z wieloletniego osobistego doświadczenia. Postawa ich w znakomitej większości jest nieprzejednana — ponieważ ci ludzie poznali dokładnie i na własnej skórze jak wygląda ustrój współczesnej Polski.

Sytuacja kształtuje się odwrotnie niż przedstawia to prof. Bromke. Z każdym miesiącem rośnie nowa emigracja, która — choć w wielu sprawach różni się od nas — jest bezkompromisowo wolnościowa i demokratyczna. Ci ludzie w przytaczającym procencie — w przeciwieństwie do prof. Bromke — spalili za sobą wszystkie mosty i nawet „Polska urlopową” jest dla nich niedostępna. W rzeczywistości, emigracja polityczna nie tyle się kończy, ile się zaczyna.

Każdy ustrój totalistyczny — prawicowy czy lewicowy — produkuje emigrację polityczną i to jest prawo socjologiczne, od którego nie ma wyjątku. Polacy mojego pokolenia są emigracją żołnierską i niepodległościową. Klasycznymi emigrantami politycz-

nymi są natomiast ci, którzy będąc obywatelami PRL wybrali wolność, dlatego jest czystym nonsensem mówienie o wymieraniu emigracji politycznej. Emigracja polityczna stale rośnie — wymiera natomiast stara emigracja żołnierska związana nie z PRL tylko z Drugą Rzeczpospolitą.

Emigracja polityczna dobiegnie kresu gdy wygaśnie na nią „zamówienie społeczne”. Gdy Polska odzyska prawo do samostanowienia — gdy w Kraju będziemy mieli ustrój oparty o zasady demokratyczne — wówczas nikt nie będzie wybierał wolności, ponieważ wolności będzie pod dostatkiem nad Wisłą. Oczywiście Polacy i wtedy będą emigrowali — na studia lub w nadziei wyższego zarobku. Lecz to nie będzie emigracja polityczna — tak jak nie są politycznymi emigrantami Brytyjczycy emigrujący do Kanady czy Stanów Zjednoczonych.

Prof. Bromke jest historykiem lecz nie ma wyrobienia politycznego i dlatego naiwnie wierzy, że kilkoma artykułami można anulować autentyczne zamówienie społeczne.

Kultura bez przerwy ukazuje się 27 lat — dlatego, że spełnia zamówienie społeczne na pismo opozycyjne, które w Kraju nie może się ukazywać. Periodyk polityczno-społeczny może czasem błędzić — może czasem być kontrowersyjny — lecz jeżeli pragnie utrzymać się na powierzchni przez przeszło ćwierć wieku — musi odpowiadać realnej potrzebie.

Przez ubiegłe ćwierć stulecia redakcja *Kultury* otrzymała tysiące listów i rozmawiała z tysiącami osób. Przez specjalnych wysłanników, przez ankiety i szeroko rozbudowaną sieć kontaktów — badaliśmy i badamy opinię społeczną tak w Kraju jak i na emigracji. Mamy doświadczenie i organizację, które umożliwiają nam trafniej i prawdziwiej niż prof. Bromke — odpowiedzieć na pytanie czego większość Polaków pragnie, a czego nie pragnie.

Na zakończenie należy stwierdzić co następuje. Niniejszy artykuł nie jest otwarciem dyskusji lecz jej zakończeniem. Prof. Bromke swoją działalnością i publikacjami wyłączył się z wolnościowego i niepodległościowego nurtu emigracji i tym samym opuścił krąg ludzi, którym udzielamy gościny na łamach *Kultury*.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

Światowy kryzys żywnościowy

Po kryzysie naftowym przychodzi kolej na kryzys żywnościowy.

ONZ ogłosiła w tym roku „globalny stan wyjątkowy” i zwołała do Rzymu (gdzie mieści się *Food Agriculture Organisation*, agencja rolniczo-żywnościowa Narodów Zjednoczonych) światową konferencję w sprawie wyżywienia. Konferencja zaczyna się 5 listopada i będzie trwać do 16 listopada. Kissinger wygłosi przemówienie inauguracyjne, w którym ma przedstawić amerykański plan zmierzający do „lepszego wykorzystania zasobów naturalnych trzeciego świata”. Plan amerykański, oparty na wygraniu współzależności pomiędzy zapotrzebowaniem krajów uprzemysłowionych na naftę i krajów niedorozwiniętych na produkty spożywcze, wywołał zastrzeżenia ekspertów i głosy sprzeciwu także w USA. Szermując bowiem szumnymi hasłami pomocy humanitarnej administracja amerykańska dąży do uruchomienia kartelu konsumentów (surowców), wyposażonych w nowoczesną technologię i dysponujących nadwyżkami żywności. Kartel ten miałby w rzeczywistości podporządkować interesom kapitalistycznych kompanii ponadnarodowych (czytaj: amerykańskich) zasoby surowcowe krajów znajdujących się na drodze rozwoju gospodarczego i wymagających masowych inwestycji. W ostatniej dekadzie lat pomoc żywnościowa USA na rzecz trzeciego świata spadła o 80 %. W roku bieżącym wynosi wprawdzie ok. 800 milionów dolarów, ale „zwiększenie pomocy”, zapowiedziane przez prezydenta Forda, nie odnosi się do tonażu dostaw, lecz do ich wartości w dolarach „zakazonych inflacją”. Ogólna podaż środków spożywczych krajów o nadwyżkach eksportowych wynosi dziś półtora miliarda dolarów, podczas kiedy według szacunków FAO, pomoc ta powinna wynieść 5 miliardów dol. rocznie, niewystarczających co prawda dla przezwyciężenia panującego kry-

zysu, ale niezbędnych dla uniemożliwienia katastrofy głodu i epidemii chorób w krajach takich jak Indie i Bangladesz oraz krajach Afryki środkowo-wschodniej.

W wywiadzie udzielonym dziennikowi włoskiemu *Corriere della Sera*, Francuz Claude Cheysson, odpowiedzialny za stosunki z krajami trzeciego świata w komisji wykonawczej Wspólnoty Europejskiej, odrzuca strategię amerykańską:

„Prezydent Ford zajął stanowisko budzące w Europie wielki niepokój. Nie mamy prawa oburzać się na kraje produkujące naftę za podniesienie cen, wywołane przez światowy proces inflacyjny. Wprawdzie kraje te powinny były uczynić to stopniowo w ciągu minionych pięciu lat, a nie za jednym zamachem. Był to jednak błąd tylko taktyczny, nie podstawowy. Należy mieć na uwadze że ci emiry jeszcze dwa, trzy lata temu nie znali świata, nie mają doświadczenia w sprawach gospodarki światowej. To nie usprawiedliwia zastraszenia jakie starają się wzniesić, ale je tłumaczyć”.

Zdaniem francuskiego eksperta, który będzie reprezentował na konferencji rzymskiej dziewięć państw Wspólnego Rynku, Europa powinna w tej materii zająć odrębne stanowisko, różniące się od amerykańskiego:

„Jesteśmy sojusznikami USA, ale nasze warunki są odmienne; jesteśmy uzależnieni, podobnie jak Japonia, od trzeciego świata w zakresie surowców. Dlatego musimy dążyć do integracji z krajami-producentami ropy, podczas kiedy USA mogą się bez tego obyć. Dla nas jest to sprawa żywotna aby kolosalne zyski krajów naftowych (ponad 60 miliardów dolarów pod koniec tego roku) możliwie jak najszybciej weszły do obiegu monetarnego ekonomiki światowej. Zyski te mogą przekształcić się w pożyczki dla ekspansji przemysłowej oraz w inwestycje, zakup zboża i nawozów sztucznych dla krajów niedorozwiniętych. Jeśli to nastąpi, zyski krajów naftowych mogą stać się źródłem fantastycznej ekspansji i wzrostu produkcji światowej. Rozumiemy zły humor Amerykanów, nie podzielaając przesadnych zarzutów, ale nasza polityka nie może być taka sama jak ich. Powinniśmy naśladować raczej Japończyków (inwestujących masowo w krajach naftowych) ponieważ możemy zintegrować naszą gospodarkę np. z Egiptem i Algierią, podczas kiedy Amerykanie nie mają tej możliwości”.

W zakończeniu tego nader interesującego wywiadu Cheysson podkreśla, że USA torpedują dialog euro-arabski ponieważ optyka Kissingera uregulowania konfliktu blisko-wschodniego wyklucza Europę i „stosunki integracji i współzależności pomiędzy krajami basenu śródziemnomorskiego”. USA są super-mocarstwem samowystarczalnym — stwierdza — my nie; „my, Europejczycy przyjmujemy współzależność jako fakt historyczny, Amerykanie nie”.

Istnieją cztery zasadnicze przyczyny obecnego kryzysu żywnościowego:

1) 40 % światowego importu pszenicy przypada na kraje rozwijające się czyli na tzw. trzeci świat. Wysiłki FAO, zmierzające do redukcji tego kolosalnego importu, nie dały dotąd rezultatów.

2) Wzrost cen nawozów sztucznych, spowodowany zarówno podrożeniem cen ropy naftowej jak i rosnącym stale zapotrzebowaniem krajów rozwijających się. Ogólnosiwiatowa produkcja nawozów nie była nastawiona do tej pory na masowy wzrost popytu.

3) Tegoroczny wzrost cen zboża, zwłaszcza pszenicy, na rynkach światowych, stanowi rezultat operacji przechytrzenia Amerykanów przez Rosjan, poprzez zakup na wielką skalę amerykańskich nadwyżek zbożowych w latach 1972/73. Jak się okazało Rosja nabywała te nadwyżki po cenach niższych od przeciętnych cen rynkowych nie tylko dla pokrycia sezonowych niedoborów własnych, ale też dla zwiększenia zapasów w celach spekulacyjnych. Dzięki „rekordowym urodzajom” tegorocznym, Rosja jest dziś w stanie eksportować „wygospodarowane” nadwyżki po wyższych cenach (które sama w dużej mierze sprowokowała).

4) Wady dystrybucji: w niektórych rejonach występują sezonowe nadwyżki np. masła i mięsa, które zamiast przyczyniać się do utrzymania równowagi rynkowej służą celom spekulacyjnym. Dotyczy to m.in. europejskiego Wspólnego Rynku (w skali światowej jest to problem marginesowy), gdzie ceny produktów rolnych są dziś relatywnie niskie ponieważ były stosunkowo wysokie przed zwykłą cen światowych z uwagi na subwencjonowanie rolników w krajach Wspólnoty. W ub. roku wybuchł skandal z wyprzedają masła po cenach niższych do ZSSR. Ta sama historia powtórzyła się latem bież. roku z mięsem wołowym: dwie firmy francuskie zawarły umowę z Rosjanami na sprzedaż 75 tys. ton wołowiny (połowa nadwyżek Wspólnego Rynku). Cena tej wyprzedazy (bo nie o normalną transakcję sprzedaży tu chodzi): 830 dol. za tonę, podczas kiedy cena na rynkach światowych wynosi — 985 dol. (różnica stanowi równowartość subwencji udzielanej przez Fundusz Rolny EWG).

W najbliższych miesiącach w Indiach, drugim (po Chinach) najbardziej zaludnionym kraju na świecie, zabraknie żywności dla 50 milionów mieszkańców. Pewien ekspert wyliczył, że jeśli chcielibyśmy uniknąć katastrofy głodu w Indiach — należałoby już dzisiaj załadować zbożem setki statków, co oczywiście jest nie-realne. Według nieoficjalnych szacunków 400 milionów ludzi umrze z wycieńczenia w najbliższych dziesięciu latach; 20 milionów zginie z głodu w ciągu 1975/76 (połowa w Afryce); kilkaset milionów ludzi wyda na świat potomstwo fizyczne upośledzone (z powodu braku protein i witamin). Według szacunków FAO miliard ludzi (czyli 1/4 ludności naszego globu) cierpi na chroniczne niedożywienie. Według danych zawartych w raporcie FAO, przygotowanych na listopadową konferencję, coraz więcej ludzi ginie z głodu nie tylko dlatego że rośnie liczba ludności, ale głównie z tego powodu że kurczą się zasoby naturalne: gleba ulega wyjałowieniu, zmiany klimatyczne powodują że poszerza się jałowy pas wzdłuż równika, obszary pustynne zwiększają się w rytmie ok. 100 km w skali rocznej; jeziora, jak np. Czad, pod-

legają stopniowemu procesowi wysuszenia. Nie tylko Indie, Indonezja i Bangladesz, zagrożone są wzmagającymi się klęskami nieurodzaju. W ciągu 9 miesięcy tego roku ponad 200 tys. ludzi zginęło z głodu w Afryce (Czad, Mali, Mauretania, Nigeria, Etiopia). W najbliższych latach zagrożone są również: Zaire (b. Kongo belgijskie), Uganda, Kenia i Tanzania.

W raporcie FAO pt. „Ocena światowej sytuacji żywnościowej” czytamy m.in.:

„Obecny kryzys zarysował się w roku 1972, kiedy po raz pierwszy od 20 lat nastąpił niepokojący spadek produkcji rolnej. W szczególności produkcja pszenicy spadła o 33 mln. ton (dla zaspokojenia rosnącego zapotrzebowania konieczny jest wzrost wynoszący 25 mln. rocznie)... Zapasy pszenicy w krajach dysponujących nadwyżkami eksportowymi, wynoszące 49 mln. ton w roku 1972 spadły do 29 mln. ton w roku 1973 (w bieżącym roku przewiduje się dalszy poważny spadek)... Niezależnie od klęski urodzajów (w roku 1972) do kryzysu doszło głównie na skutek zbieżności kilku czynników: wzrostu konsumpcji, inflacji, manewrów spekulacyjnych w krajach uprzemysłowionych. W rezultacie pomimo dobrych urodzajów w roku 1973 ceny zboża i innych produktów rolnych wzrosły w roku 1974, a główny ciężar tego wzrostu dotknął kraje niedorozwinięte, wydające przeważającą część swego dochodu narodowego na import żywności. Wraz z uszczupleniem światowych rezerw nastąpiło drastyczne obcięcie programów pomocy żywnościowej... Ponieważ w bieżącym roku zbiory były dobre w północnej Ameryce, Europie i ZSSR, rezerwy mogą być częściowo uzupełnione — nie wystarczy jednak jeden dobry sezon dla doprowadzenia ich do granicy bezpieczeństwa (*safe levels*). Istnieje nadal wiele innych czynników negatywnych (np. deficyt nawozów sztucznych), co sprawia że światowa sytuacja wyżywieniowa podlega stałej i rosnącej niepewności”.

Osobny rozdział raportu poświęcony jest sprawie niedożywienia w krajach niedorozwiniętych (na 97 krajów trzeciego świata, 61 posiada chroniczny deficyt wyżywieniowy). Według szacunków FAO, na Dalekim Wschodzie i Afryce 25-30 % ludności cierpi na niedożywienie (*under nutrition*).

„Według ostrożnych kalkulacji — *podaje raport* — w krajach niedorozwiniętych (wyłączając azjatycką scentralizowaną gospodarkę planową z powodu niedostatecznych danych — chodzi o Chiny, przyp. mój) złe odżywienie (*malnutrition*) dotyczy ogólnej liczby 460 milionów ludzi... Problem ten nie ogranicza się do statystyki; obejmuje on nie zawsze uchwytne dane dotyczące złych warunków zdrowotnych i rozwoju fizycznego, spadku wydajności pracy, wysokiej stopy śmiertelności dzieci... Braki niektórych substancji w spożyciu są szczególnie jaskrawe: np. brak witaminy A — główne źródło ślepoty w Indiach, Indonezji i Bangladeszu; brak żelaza — powodujący anemię; brak jodu — endemiczne formy kretynizmu i brak witaminy D — rachityzm... W wielu krajach niedorozwiniętych rządy realizują programy zmierzające do polepszenia stanu wyżywienia poprzez dożywianie dzieci w szkołach, bezpłatne mleko dla brzemiennych i karmiących matek, kontrolę cen i subsydia, masowe szczepienia uodparniające na choroby zakaźne itp. Wysiłki te, podejmowane w niektórych przypadkach na szeroką skalę przy pomocy zewnętrznej, nie dają podstawy do optymizmu. Z wyjątkiem szcze-

pień, nie można mówić o sukcesie tych programów — zapobiegły one jedynie temu aby zła sytuacja nie stała się gorszą”.

W części poświęconej prognozie raport FAO kładzie nacisk na konieczność dopomożenia krajom trzeciego świata w pomnożeniu ich własnych zasobów produkcyjnych. W roku 1985 ich deficyt zbożowy wyniesie co najmniej 85 milionów ton (w porównaniu z 16 milionami importu rocznego w latach 1969/72). Biorąc pod uwagę ewentualność klęsk żywiołowych, tak częstych na obszarach Azji i Afryki, oraz brak natychmiastowych środków zaradczych, deficyt ten może wzrosnąć nawet do 170-180 milionów ton (!). Tej przerażającej perspektywy można uniknąć — zdaniem ekspertów FAO — nie tyle przez zwiększenie stanu zapasów w krajach eksportujących produkty spożywcze (mówi się o konieczności stworzenia światowego „banku rezerw spożywczych”), ile przez „przyspieszenie ekspansji produkcji rolnej w krajach niedorozwiniętych”. Oto sedno rzeczy. Istnieje ogromny rezerwuwar potencjalnych możliwości produkcyjnych (fizycznych, biologicznych i ludzkich). W drugim tomie raportu przygotowanego na listopadową konferencję rzymską pt. „Propozycje dla akcji narodowej i międzynarodowej” jest mowa o milionach hektarów ziemi leżącej odłogiem a nadającej się do uprawy (głównie w Afryce i Ameryce Łacińskiej).

„Należy — *stwierdza raport* — usunąć najpierw szereg przeszkód, co wymaga dużych nakładów finansowych (budowa dróg, wyrąb lasów w strefach tropikalnych, walka z plagą owadów). To samo dotyczy zasobów wodnych: jedynie drobna część rezerw wodnych wykorzystana jest dla potrzeb rolnictwa; według szacunków, roczny nakład 8 miliardów dolarów jest potrzebny dla aktywizacji istniejącego potencjału ziemnego i wodnego”.

Raport podkreśla ponadto kwestię potencjalnych możliwości wzrostu i polepszenia warunków zdrowotnych hodowli bydła, niewykorzystanych rezerw produkcyjnych w zakresie irygacji, jakości nasion, technologii nawozów sztucznych. Wreszcie zagadnienie potencjału ludzkiego, tzn.:

„...setki milionów producentów rolnych oczekujących na pomoc organizacyjną, zaopatrzenie w narzędzia produkcji, usługi doradcze, wykształcenie agrarne — wszystko to poparte przez racjonalną politykę cen”.

Istniejące szanse ekspansji produkcji w krajach trzeciego świata wymagają pomocy technicznej i masowych inwestycji, które dostarczyć są w stanie jedynie kraje wysoko uprzemysłowione, zarówno bezpośrednio jak i poprzez międzynarodowe instytucje finansowe.

„Zadania związane z tą ekspansją — *konkluduje raport* — jakkolwiek energicznie byłyby realizowane, dadzą wyniki dopiero po długim okresie czasu. Tymczasem aspekt finansowy dotyczący importu żywności większości krajów niedorozwiniętych, jest kwestią niezwykle palącą. Luka (*gap*) po-

między zapotrzebowaniem i podażą żywności wzrasta. Pogarsza się problem płatniczy... Jest oczywiste, że jedynie poprzez skuteczną kombinację różnych środków pomocy żywnościowej i finansowej, można ocalić położenie wyżywieniowe krajów niedorozwiniętych od szybkiego i być może nieodwracalnego, fatalnego pogorszenia i to zanim wystąpią na jaw korzystne następstwa długofalowych inwestycji”.

Obraz kryzysu żywnościowego przedstawiony w dwóch tomach raportu, pełnego liczb, wykresów i danych analitycznych, jest wstrząsający. Kryzys naftowy wydaje się błahostką w zestawieniu z apokaliptyczną niemal wizją świata zagłodzonego. Raport FAO nie mówi tego wprost, ale wniosek wypływający z analizy ekspertów narzuca się sam: postawa bloku państw uprzemysłowionych, zasklepionych w obronie egoistycznych interesów, prowadzi nieuchronnie do dalszego zachwiania równowagi gospodarczej w świecie, do rosnących sprzeczności, do rewolucyjnych wstrząsów, do wojny, do katastrofy. Tylko ścisła współzależność świata cywilizacji przemysłowej (który musi zrezygnować ze zgubnej polityki obrony za wszelką cenę dobrobytu i dotychczasowego stanu posiadania) i świata niedorozwiniętego i niedożywnionego, może nas uratować od kataklizmu w skali trudnej do przewidzenia. Potrzeba polityki planetarnej stawiającej nowoczesną technologię i środki materialne bogatej części naszego globu w służbę interesów upośledzonych mas ludzkości. Dylematu tego *Realpolitik* Kissingera nie jest w stanie rozwiązać — sprowadza się ona bowiem do doraźnego łatania dziur, wyrachowania obliczonego na presję silnych wobec słabszych, nie mówiąc już o cynicznym nieliczeniu się z prawami człowieka, lekceważeniu opinii publicznej i pogardzie dla postulatów moralnych. Wobec międzynarodowej problematyki gospodarczej, Kissinger, obracający się jak akrobata w negocjacjach politycznych (zwłaszcza z przeciwnikami, bo z sojusznikami mniej mu się udaje), staje bezradny.

Nie jest jednak wykluczone, że na konferencji rzymskiej nie dojdzie do ostrego przeciwstawienia stanowiska amerykańskiego i pozycji państw europejskich — nieprzychylnie reakcje po wystąpieniach Forda i Kissingera spowodują prawdopodobnie rewizję pierwotnej strategii amerykańskiej*. Jedno jest pewne: Administracja USA winna zrezygnować z operowania zasadą *business as usual* mimo że ten *business* owija we frazeologię pokojową i górnołotny słownik odprężenia międzynarodowego.

„Ewangelizacja w świecie współczesnym”

27 września Paweł VI otworzył uroczyste obrady zgromadzenia Synodu biskupów, zwoływanego co trzy lata i poświęconego

* Wskazuje na to m.in. decyzja prez. Forda, ogłoszona 5 października, o blokadzie dalszych dostaw eksportowych zboża do ZSSR.

w tym roku „ewangelizacji w świecie współczesnym”. Prace zgromadzenia synodalnego potrwać 4 tygodnie, tj. do 26 października. W obradach bierze udział 207 reprezentantów światowej hierarchii kościelnej: 145 przedstawicieli konferencji episkopalnych (34 z Afryki, 44 z Ameryki Północnej i Łacińskiej, 22 z Azji, 5 z Australii i Oceanii, 40 z Europy), 14 patriarchów i metropolitów Kościołów wschodnich, 10 zwierzchników zakonów, 17 kardynałów kierujących dykasteriami Kurii Rzymskiej oraz 22 kardynałów i biskupów z nominacji papieskiej (wśród nich: bp Władysław Rubin, sekretarz generalny Synodu, bp Andrzej Deskur, przewodniczący papieskiej komisji dla środków masowego przekazu oraz bp Laszlo Lékai, adm. apost. Ezerstergom, siedziby zdezonizowanego kard. Mindszentego). Episkopat polski reprezentują: kardynałowie Wyszyński i Wojtyła oraz bp Ablewicz, ordynariusz diecezji tarnowskiej.

W dokumencie zwanym „Lineamenta” (wytyczne), przesłanym krajowym konferencjom biskupów w ub. roku, przedstawiono szereg zagadnień dotyczących ewangelizacji oraz sformułowano liczne pytania. Przeprowadzona konsultacja dała — zdaniem bp. Rubina — interesujące i pozytywne rezultaty, ujawniając całą gamę opinii, odzwierciedlających „pluralizm kulturalny oraz różnorodność sytuacji i postaw umysłowych istniejących w łonie Kościoła”. Jeżeli np. niektóre Kościoły lokalne poddają w wątpliwość znaczenie zjawiska uprzemysłowienia i nowoczesnej urbanizacji, to inne, oczywiście w odmiennym kontekście społeczno-gospodarczym, widzą w tych elementach wartości pozytywne, które wpływają dodatnio na dzieło ewangelizacji. Z odpowiedzi poszczególnych episkopatów wynika również że niektóre Kościoły lokalne uważają za czynniki sprzyjające ewangelizacji takie zjawiska jak kryzys kultury współczesnej, postęp mający na celu wyzwolenie człowieka oraz pluralizm kulturalny. Wszystkie kościoły lokalne odczuwają trudności powodowane przez zachodzące na świecie przeobrażenia społeczno-gospodarcze, wszystkie szukają jednak nowych dróg ewangelizacji we własnych warunkach kulturowych. Odpowiedzi, które nadeszły do Sekretariatu Generalnego Synodu z krajów uprzemysłowionych, zwracają dużą uwagę na zjawisko sekularyzacji „powodujące często dwuznaczność w jej rozumieniu i mogące mieć znaczenie zarówno dodatnie jak i ujemne w życiu Kościoła”. Ważnym zagadnieniem, które często powraca w tych odpowiedziach, jest problem jedności bez „uniformizmu”, innymi słowy zagadnienie pluralizmu bez wprowadzania podziałów w Kościele (problem ten był już poruszony na Soborze Vaticano II). W wyniku przeprowadzonej konsultacji, Rada Sekretariatu Synodu, przy cennym wkładzie ekspertów, opracowała nowy dokument, który posłużył jako „narzędzie pracy” uczestników obecnego zgromadzenia synodalnego. Ten „dokument roboczy” dzieli się na dwie części: „pierwsza wysuwa propozycje *wzajemnej wymiany doświadczeń* w zakresie aktualnych wysiłków w dziele ewangelizacji, część druga natomiast, zmierza do sprowokowania głębokiej refleksji dotyczącej

zagadnień teologicznych wpływających z doświadczeń duszpasterskich". Dokument ten wskazuje na pewien ruch, coraz bardziej rozszerzający się w Kościele: pragnienie głębszego życia wewnętrznego i rosnące zainteresowanie dla życia kontemplacyjnego. Dokument podkreśla następnie zjawisko rozpowszechniania się „małych wspólnot”, szczególnie wśród młodzieży oraz zwraca uwagę na kwestię miejsca i roli laikatu w dziele ewangelizacji. Dokument proponuje również specjalne studium nad problematyką duszpasterstwa w odniesieniu do wiernych „pozostających w łączności z Kościołem, ale których uczestnictwo w życiu Kościoła jest bardzo słabe”. „Dokument roboczy” sygnalizuje ponadto dwa zagadnienia o szczególnej aktualności w okresie posoborowym: ekumenizm oraz dialog z wyznaniem niechrześcijańskimi i z ideologiami ateistycznymi.

Właściwe obrady w auli synodalnej poprzedziło sprawozdanie bp. Rubina, generalnego sekretarza Synodu. Następnie pięciu biskupów pochodzących z różnych kontynentów wygłosiło sprawozdania, przedstawiając stan i perspektywy ewangelizacji w Afryce, Azji, Ameryce Północnej, Ameryce Łacińskiej i Europie. W drugiej części obrad po zakończeniu dyskusji, w której zabiorą głos delegaci poszczególnych episkopatów, odbędzie się debata nad niektórymi zagadnieniami teologicznymi (głównym referentem będzie kard. Wojtyła), które muszą być wyjaśnione wobec zachodzącej rozbieżności zdań i opinii w łonie Kościoła Powszechnego. Obrady toczą się jedynie przed południem na ogólnych posiedzeniach w auli synodalnej oraz w małych grupach roboczych, zwanych „małymi kręgami”. Wnioski przyjęte przez członków zgromadzenia synodalnego będą przedstawione Papieżowi do zatwierdzenia.

W dotychczasowej dyskusji zabrało już głos (wystąpienia ograniczone są regulaminem do 8 minut) wielu wybitnych kardynałów i biskupów, przemawiających w imieniu krajowych konferencji episkopalnych. Kardynał belgijski Suenens, jeden z przywódców tzw. obozu postępowego, apelował z okazji Roku Świętego do pojednania pomiędzy „konserwatystami i zwolennikami odnowy”. Kard. Tarancon, prymas Hiszpanii, mówiąc o przemianach społecznych w tym kraju, stwierdził, że Kościół powinien „być wolny od ingerencji władzy politycznej”, a nawiązując do problematyki młodzieżowej, nawoływał, by odróżniać jej duże zainteresowania duchowe od postawy krytycznej wobec Kościoła instytucjonalnego. Kard. holenderski Alfrink utrzymywał, że wielu wiernych odchodząc od Kościoła lub go zaniedbując „nie recypuje postępowania radości zawartego w Ewangeli”. Kościół — jego zdaniem — winien bardziej wsłuchiwać się w to co wierni odeń oczekują. Abp Bartoletti, sekr. gen. episkopatu włoskiego, kładąc nacisk na niepokojące zjawisko szerzącego się materializmu praktycznego, postawił problem odzyskania „oddalonych i obojętnych” (ewangelizacja ochrzczonych), których należy poprowadzić „od chrześcijaństwa o naturze socjologicznej do wiary świadomej i dynamicznej”. Patriarcha grecko-katolicki

(obrzędki melchickiego) z Beirutu, Maximos V Hackim, mówił o stosunkach pomiędzy katolikami i muzułmanami, bronił sprawy abp. Capucci z Jerozolimy (Syryjczyk) aresztowanego w sierpniu przez władze izraelskie *in flagranti* (oskarżonego o transport broni w samochodzie prywatnym z Syrii i Libanu dla palestyńskich terrorystów). Zdaniem patriarchy Maximosa (jego zwierzchnika) „nasz wikariusz w Jerozolimie wzięty na siebie pełne ryzyko by zwrócić uwagę świata na problem nieszczęśliwej ludności palestyńskiej”.

W imieniu „Kościoła milczącego” przemawiał kard. Slipyj, apelując do solidarności episkopatu całego świata dla katolików prześladowanych w więzieniach i szpitalach dla obłąkanych na terenie ZSSR. Slipyj domagał się, by Synod wezwał reżym sowiecki do naprawienia krzywd i uwolnienia uwięzionych biskupów, kapłanów i świeckich (mam nadzieję że w najbliższej korespondencji będę mógł bardziej szczegółowo zająć się treścią tego wystąpienia). Przybyli po raz pierwszy do Rzymu przedstawiciele Indochin, bp Urkia z Laosu i abp Trin-Nhukaua z Hanoi, zilustrowali trudności na jakie napotyka Kościół na obszarach pod władzą komunistów. Pierwszy z nich mówił o prześladowaniach katolików w republice Kmhre (Kambodża) na terenach okupowanych przez „czerwonych”, gdzie „struktury chrześcijańskie nie istnieją, ale wiara trwa”. Abp z Wietnamu Północnego opisał natomiast w tonie patetycznym świątynie pełne wiernych i warunki działania Kościoła „otwierające perspektywę nadziei”.

W wystąpieniach przedstawicieli episkopatów Trzeciego Świata zarysował się zjednoczony front młodych kościołów Azji i Afryki przeciwko kolonializmowi politycznemu, gospodarczemu i religijnemu. Bp Lamont z Rodezji potępił politykę rasistowską w następujących słowach: „segregacja rasowa ogranicza wolność Kościoła i przeszkadza poważnie ewangelizacji. Perfidia tej polityki jest tym bardziej oczywista, im bardziej irracjonalne jest pretendowanie mniejszości sprawującej władzę do powoływania się na Boga i określania się jako chrześcijańska. Dochodzi do tego że biskupi anty-rasiści denuncjowani są jako komuniści”. Zdaniem wszystkich niemal przedstawicieli episkopatów afrykańskich (7 milionów rocznego wzrostu wiernych wszystkich wyznań chrześcijańskich!) polityka *apartheid* i wygrywania różnic plemiennych zmusza Kościół w Afryce do „krzyczenia przeciw opresji i na rzecz sprawiedliwości powszechnej”. Bp Sangu, w sprawozdaniu dotyczącym wizji Kościoła na „czarnym lądzie” podkreślił konieczność dialogu z Islamem „dla skutecznej obrony Afrykańczyków przed ateizmem materialistycznym”.

Przedstawiciele Ameryki Północnej i Australii zwrócili uwagę na „proces puryfikacji wiary („aczkolwiek przy pewnym zamęciu pojęć”), stwierdzając, że sekularyzacja może stanowić przeszkodę, ale również „bodziec dla wiary oczyszczonej i autentycznej”. Przewodniczący CELAM, zgromadzenia episkopatów Ameryki Łacińskiej, argentyński biskup Pironio, ubolewał natomiast nad

tym, że młodzież wykazuje tendencję do „asymilacji wiary i polityki” i sądzi błędnie, że socjalizm marksistowski stanowi jedyną nadzieję wyzwolenia od wszelkich form ucisku i zbudowania lepszego społeczeństwa. Abp Lorscheider z Brazylii, poruszając problem istniejących trudności na odcinku Kościół-Państwo, stwierdził: „W tej dziedzinie wchodzi w grę konkretny sposób pojmowania roli profetycznej Kościoła. Chodzi o ustalenie jak Kościół w świecie współczesnym ma działać również w sprawach dyplomatycznych, by móc w duchu wolności bronić i chronić bez kompromisów z potęgami świeckimi, godność osoby ludzkiej”. Jak należy zatem osądzać kapłanów zaangażowanych w walce rewolucyjnej, kapłanów *guerriglieri* (partyzanci)? Przedstawiciel episkopatu brazylijskiego odpowiada: „kapłani ci nie chcą porzucić ani funkcji duszpasterskich ani wiary, spełniając swą misję wobec uciskanych na marginesie Kościoła instytucjonalnego. Nie atakują Kościoła ani hierarchii. Żywią nadzieję, że wraz z reformą struktur społecznych nastąpi 'reforma' struktur kościelnych”. Kapłan-partyzant może więc również, w pewnych określonych warunkach, prowadzić akcję ewangelizacyjną. Duże wrażenie i pewne zaambarasowanie w Kurii Rzymskiej wywołał *casus* chilijski. Zamiast wybranych przez konferencję episkopalną i formalnie zgłoszonych do Sekretariatu Synodu: kard. Silva Henriquez, prymasa Chile, i bp Ascarza, zjawili się dwaj inni biskupi, automatycznie niejako podejrzani o sympatię dla junty wojskowej w Santiago. Tak czy inaczej wypowiedzi jednego z nich były nader powściągliwe, co dowodzi że kandydaci na zastępców byli bardziej strawni dla gen. Pinochet. Zdaniem jednego z tych zastępców „duża część” odpowiedzialności za wydarzenia które poprzedziły *golpe* spada na „lewicę chrześcijańską (grupka rozłamowa chadecji, popierająca w swoim czasie rządu Allende), znajdującą się „pod wpływem ideologii marksistowskiej i akcji aktywistów materializmu”. Przypominając, że katolicy powołali w Chile stronnictwo chrześcijańsko-demokratyczne, które po 30 latach objęło władzę, stwierdził on, że partia ta zmierzała do przekształcenia struktury społeczno-gospodarczej kraju w warunkach praworządności, co jest „obowiązkiem świeckich aktywnych w życiu publicznym”. Ten sam biskup, czyniąc aluzję do napięcia jakie panuje dziś w stosunkach pomiędzy Kościołem a juntą militarną, ograniczył się do stwierdzenia: „jako duszpasterze domagamy się stale prawa do korzystania z wolności nie bez należytej ostrożności”.

Na konferencji prasowej na zapytanie jednego z dziennikarzy czy dla Kościoła większą przeszkodę w ewangelizacji stanowi kapitalizm czy marksizm, przewodniczący konferencji episkopatów Ameryki Łacińskiej (cytowany już Argentyńczyk bp Pironio) odpowiedział: „Są jednakowo szkodliwe z uwagi na ich konsekwencje w zakresie wartości ludzkich, a więc ewangelicznych, jak sprawiedliwość, wolność, pokój”. Na pytanie: „Kościół potępił komunizm wielokrotnie, co sądzi o tym dzisiaj?”, abp Etcheagaray z Marsylii, przewodniczący „Rady Konferencji Episkopatów Euro-

py”, odpowiedział: „Trudno o precyzyjną odpowiedź. Jest to sprawa bardzo złożona. Sami komuniści nie są zgodni w zdefiniowaniu komunizmu. Jeśli implikuje materializm ideologiczny, potępienie to jest na pewno nadal aktualne”. Prasa włoska podkreśla szczerą wypowiedzi w czasie obrad synodalnych (w których Paweł VI na ogół uczestniczy), zwłaszcza przedstawiciele młodych episkopatów „trzeciego świata”, którzy „nie obwijają niczego w bawełnę” i nie tylko pozbawieni są wszelkiego kompleksu niższości, lecz świadomi są tego, że punkt ciężkości katolicyzmu przesuwają się stopniowo ze „starego świata” ku nowym rejonom misyjnym.

Szczególne zainteresowanie prasy wywołało wystąpienie kard. Wyszyńskiego, którego treść nie została udostępniona do wiadomości publicznej na wyraźne żądanie prezydium Synodu (kard. Koenig, abp Wiednia i przewodniczący watykańskiego sekretariatu dla niewierzących, afrykański biskup Zoungrana i Peruwiańczyk abp Landazuri-Ricketts). Prymas Polski przemawiał (20 minut zamiast normalnych 8) na życzenie prezydium, uzupełniając pięć sprawozdań kontynentalnych i przedstawiając obraz trudnych i specyficznych warunków ewangelizacji w państwach komunistycznych Europy Wschodniej, które określił jak „drugi świat”.

Niektóre organy prasowe, poirytowane tajemnością tego wystąpienia, przypisały tę tajemność rzekomo „wybuchowej” treści, co „mogłoby narazić na szwank watykańską *Ostpolitik*, a zwłaszcza rokowania pomiędzy Stolicą Apostolską a Warszawą”.

W sytuacji krajowej nastąpiła ostatnio pewna zmiana w stosunkach Kościół-Państwo, co przejawia się na razie wyłącznie w zmianie klimatu psychologicznego. „Na listy kierowane do władz państwowych otrzymujemy obecnie odpowiedzi” — powiedział Prymas. Nowy szef Urzędu d/s Wyznań, min. Kąkol, stara się działać poprawnie zgodnie z nowymi instrukcjami (osoba kierownika tego urzędu nie wpływa na istotę konfliktu, co starałem się już wyjaśnić, przestrzegając przed demonizowaniem Kąkole, przeciwstawianego przez prasę emigracyjną swemu poprzednikowi, rzekomo układowemu i „dobremu” Skarżyńskiemu). W kołach kościelnych istnieje nadal pewien sceptycyzm co do szybkich i pozytywnych rezultatów rokowań polsko-watykańskich w ramach „grupy dla kontaktów roboczych”. Zasadnicze sprawy czekają wciąż na rozwiązania ujęte w formie aktów ustawodawczych. A tymczasem utrzymują się obawy związane z pogłoskami o projektowanej zmianie Konstytucji (w przyszłym roku jesienią na zjeździe partii), która ma „zalegalizować” rolę partii i marksizmu-leninizmu jako wykładni ideologicznej i wychowawczej Państwa. Dobrze poinformowane źródła utrzymują jednak, że sytuacja na tym odcinku jest wciąż nader płynna i że nic dotąd nie ustalono.

Dominik MORAWSKI

Pisane 7 października 1974

O dyplomacji

Zwrócono mi uwagę na wywiad udzielony jednemu z pism warszawskich przez pomniejszego dygnitarza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych PRL'u Stanisława Pawlaka. Wywiad, czy jak to nazwano „rozmowa”, ma za temat „Co to jest dyplomacja nowoczesna”.

Jest tam mowa o „funkcjach służebnych!” tej nowoczesnej dyplomacji, o tym, że biuro polityczne partii kieruje polityką PRL'u i że Polska jest ogniwem w systemie państw socjalistycznych. To Pawlak wysuwa jako naczelne zadanie polskiej dyplomacji. Zadaniem wtórnym, a więc wyraźnie podporządkowanym pierwszemu są, zdaniem Pawlaka, „sprawy polskiej racji stanu”, „historycznie uwarunkowane!”.

Stosunki z zagranicą uzasadnione są w wywiadzie raczej wstydliwie: jako jedna z dźwigni zapewniających przyspieszony pokojowy rozwój kraju. Potem zapewnia się czytelników, że dawna wyfraczona dyplomacja odeszła do historii i podaje się stylem wypracowania szkolnego litanię obowiązków reżymowego dyplomaty. Pomija się przy tym wszelką wzmiankę o akcji dywersyjnej, chociaż uwydatnia się, że z uwagi na „bezpieczeństwo!” reżym utworzył placówki dyplomatyczne w Korei, Wietnamie, Laosie etc.

Nowoczesny dyplomata gardzący zakietem, a tym bardziej frakiem, chociaż jest zmuszony wzgardę tę czasami pokonywać, przekazuje, koordynuje, przygotowuje i na tym polega szczytna nowoczesność.

Do tej specyficznej nowoczesnej odmiany powrócę jeszcze, bo warto nieco bliżej się jej przypatrzeć. Teraz jednak stawiam pytanie czy można w tym starym zawodzie szukać w ogóle nowoczesności. Dyplomacja, jeśli wierzyć Tocydydesowi, w czasie wojny peloponeskiej, była i bezwzględna i bardzo sprawna. Dyplomacja Juliusza Cezara nie mniej od zwycięskich bitew podała mu Galię. Bliższych przykładów mamy aż za dużo: Richelieu, Metternich, Bismarck, Cavour. U nas po Panach Krakowskich w wieku XIV-tym i Zbigniewie Oleśnickim, majstrem w dziedzinie zagranicznej w wielkim stylu był Kanclerz Jan Zamoyski. Ocenę pełną uznania jego akcji dyplomatycznej, sięgającej aż po Bałkany, znalazłem m.in. w pracach rumuńskiego profesora Nicolasa Jorgi. A jak okaże niebawem korespondencja króla Zygmunta Augusta z Hohenzollernami, dawniej przechowywana w Królewcu, a obecnie w Getyndze, odszukana przez dr Karolinę Lanckorońską, sam król był dyplomatą niepospolitej miary. Dokumenty te mają być ogłoszone w serii „Ad Fon-

tium Editiones” Inst. Historycznego Polskiego w Rzymie, wydawanej staraniem Fundacji Lanckorońskich.

Można mi zarzucić, że gram na słowach, że publicyści, którzy głosili czy głoszą bankructwo dyplomacji mieli na myśli nie metodę rokowań, która jest koniecznością życiową, ale zawód dzisiaj, ich zdaniem, zbędny w epoce radia, telewizji i czterwonego drutu między Waszyngtonem i Moskwą. Jeśli tak jest — to dlaczego Stolica Apostolska tak interesuje się utworzeniem nuncjatury w Warszawie? Dlaczego nawiązanie stosunków dyplomatycznych między mocarstwami zachodnimi a Chinami było tak ważnym wydarzeniem?

Niebezpieczna jest przewaga utartych formułek. W każdym ustroju, w każdej instytucji ludzie liczą się więcej od ich przydziału. Być może, że szef zbiera i nagany i laury, na które zarobili inni, kiedy on sam jest tylko firmantem. Tak było i dawniej choć w mniejszym może stopniu. Nie umniejsza to znaczenia i wartości dobrze postawionej służby dyplomatycznej. Musi ona doceniać zagadnienia gospodarcze i znać się na nich w interesie rodzimego eksportu, musi oczywiście mieć oczy otwarte na przemiany społeczne. To należało do zadań dyplomaty nie od dziś. Ale musi nade wszystko rozumieć kraj w którym przebywa, jego ludzi, ustrój i dążenia. Być zarazem słuchanym i cieszącym się zaufaniem, tłumaczem nastrojów i postulatów własnego kraju. To są konieczne elementy do decyzji, które się składa w ręce szefa. Dyplomaci niezgodni robią to źle. Większość spełnia tę powinność dobrze lub poprawnie.

Przykładem niebezpieczeństwa pyszałkowej tępoty i jego nieobliczalnych skutków — to misja Ribbentropa w Londynie. Prawie równie szkodliwe było równoczesne urzędowanie w Berlinie ambasadora brytyjskiego Neville'a Hendersona. Jeden donosił, że Wielka Brytania jest niezgodna do wojny — drugi, że Hitler jej nie pragnie. Miałem wątpliwą przyjemność znajomości z oboma. Na dobrych dyptomatów się nie nadawali!

W drabinie zawodowej sekretarzy stanu czy też ambasadorów istniała zawsze i istnieć będzie nadklasa złożona z jednostek, które nie zadawała się zbieraniem elementów do decyzji, ale wpływają czynnie na jej bieg. Narzuca się tutaj przykład obu braci Cambon'ów, z których nade wszystko Paul był jednym z twórców „Entente Cordiale” między Francją i Wielką Brytanią w epoce poprzedzającej pierwszą wojnę światową. Takie jednostki trafiały się i trafiają w różnych służbach. Jedni dochodzą do najwyższych stanowisk politycznych jak Bismarck, który rozpoczął karierę jako dyplomata, inni nie opuszczają dyplomatycznego zawodu i zadają dobitnie kłam zarzutom, że jest on niepotrzebny w świecie, tak często ogłupianym bezkarnie przez *mass media*!

Efektywność dyplomatycznego aparatu zależy oczywiście od dobrej przeciwnej wymagającej porządnego przygotowania. Po dawnemu wymagana jest tu znajomość prawa i ekonomii politycznej. W Anglii ponadto kładzie się już od dawna nacisk na

obyć się z metodami handlu i na znajomości praktyki konsularnej i z tego powodu bliżej powiązano te dwa kierunki służby zagranicznej. Wymagana jest we wszystkich służbach dobra znajomość języków, przynajmniej dwóch poza własnym i... przyzwoite zachowanie się. Nie chodzi tutaj o rodzaj stroju, który się uznaje albo którym się gardzi ze względów ideowych, ale o to, aby wybrana jednostka w środowisku obcym zachowywała się swobodnie, bez pretensjonalnych grymasów, wynikających najczęściej z poczucia niższości, aby umiała być stanowcza bez zbędnej prowokacji. Na te względy kładą nacisk dyplomacie ze starą tradycją i wcale się tego nie wypierają. W Anglii koniecznym warunkiem przyjęcia do służby, poza zdaniem wymaganych egzaminów, jest korzystna opinia specjalnej komisji, która kandydata szczegółowo ogląda i przesłuchuje.

Podręczniki pouczają dyplomatycznego adepta, że zadaniem jego zawodu jest wyteżenie wszelkich wysiłków i rozwijanie jak najbystrzejszej pomysłowości w obronie pokoju. Można i tak! Ale to nie cała prawda. Czy nie lepszą definicją byłoby: staranie w walce o byt — od której nikt na tym padole uchylić się nie może — o zapewnienie własnemu krajowi jak najpełniejszego powodzenia przy pomocy argumentów rzeczowych, taktycznych i psychologicznych. To staranie obejmuje w większości wypadków unikanie wojny, w każdym razie zaś wojny z zewnątrz narzuconej. Lepsza łyżka cynizmu — od beczki hipokryzji!

Kiedy piszę o podręcznikach stanowiących wprowadzenie techniczne do zawodu, przypominają mi się pierwsze kroki własne i kolegów na nowo utworzonych placówkach wskrzeszonej Rzeczypospolitej. Rozrywaliśmy sobie elementarz sprzed lat niemal stu francuskiego autora i angielski podręcznik nieco późniejszy, który pouczał nas, że noty do sekretarza stanu dla spraw zagranicznych winny zamykać się następującą formułą „Pozostaję, Sir, z najwyższym poważaniem, pańskim jak najposłuszniejszym, pokornym sługą” (*I remain, Sir, with the highest consideration, your most obedient, humble servant*). Nie przeszkadzało to nam potem w wystąpieniach nie grzeszących ani pokorą ani posłuszeństwem. Noty nasze zresztą były przeważnie, nawet w Anglii, redagowane po francusku.

Studiowaliśmy w tym pierwszym stadium improwizacji różne formy not: zwykłych, werbalnych, *aide mémoire*, protokołów etc. i odświeżaliśmy w pamięci obowiązujące traktaty międzynarodowe.

Pomimo, że nasza służba zagraniczna była zaimprovizowana, a po części i dzięki temu, mogła się od pierwszej chwili przystroić w niezgorsze talenty. Zgarnęła ona bowiem śmietankę z wielu zawodów, ludzi wyrobionych, znanych poza granicami Polski jak prof. Szymon Askenazy, prawnicy — Kazimierz Olaszowski, Władysław Wróblewski, publicyści — Erazm Piłz, Alfred Wysocki, ziemianie biegli w zagadnieniach gospodarczych lub związani z życiem politycznym dawnych zaborów — Kazimierz Lubomirski, Maurycy Zamoyski, Eustachy Sapieha, Konstancy

Skirmunt, Tytus Filipowicz, Michał Sokolnicki. Cała zaś machina wsparta była doświadczeniem dawnych urzędników i luminarzy służby dyplomatycznej austro-węgierskiej, wśród których najbardziej znani byli dwaj kuzyni Władysław i Aleksander Skrzyńscy, Zygmunt Michałowski, Jan Szembek, a w centrali — Karol Bertoni.

Ekipa polska — gdzie w drugim szeregu znajdowało się sporo ludzi młodszych, radców i pierwszych sekretarzy, przyszłych szefów placówek, jak Józef Lipski, Jan Ciechanowski, Juliusz Łukasiewicz, Tytus Komarnicki, Józef Potocki, Kazimierz Papée, a w urzędzie centralnym wybitnie zdolny Kajetan Morawski — zajęła od pierwszej chwili miejsce wcale zaszczytne obok urzędów mających za sobą dawną nieprzerwaną tradycję. Kiedy dziś, po upływie wielu lat i po katastrofie która dotknęła Europę, a w niej Polskę dwudziestolecia — próbuję ocenić nasze ówczesne wysiłki — nie mogę postawić im stopnia najwyższego, który by się należał za wytworzenie sytuacji pozwalającej Polsce uniknąć zagłady. Zadanie niemożliwe? Prawdopodobnie tak!

Ale śmieszne jest wytykanie elitarnemu zastępowi, jakim był personel polskiej służby zagranicznej, że jego troską główną było upodobanie do fraków, żakietów i spodni sztuczkowych — drogich widmowemu dyplomacie w *Trans-Atlantyku* Gombrowicza. Ten personel dał z siebie potężny ładunek pracy, która przechodziła nam lekko, bo krzepiło nas nieusychające źródło, świadomość, że wolno nam wreszcie pracować dla własnego kraju i to naprawdę dla niego.

Niestuszne jest mniemanie, że nawet steruje tylko jedna ręka i to wyłącznie ministra spraw zagranicznych, o ile nie samego szefa rządu. Nie obyło się bez błędów, nie tutaj miejsce na ich wyliczanie. O jednym pamiętam szczególnie, bo zagadnienie nie przestało być aktualne. To stosunek nasz do Czechów i Słowaków. Nie chodzi o wyliczenie kto pierwszy i kto najwięcej zawiń, ale o to, aby mimo hamulców psychologicznych i błędów — także po stronie przeciwnej — doprowadzić do rezultatu, który się nam narzuca niemniej niż Europejczykom zachodnim — ich akcja zjednoczeniowa. Walczymy przecież nie z nieodwracalnym fatum, ale z brakiem własnego przewidywania i ze zjadliwymi inspiracjami sił postronnych.

Spotykam się czasami z pytaniem co sędzę o dyplomatach PRL'u. Uważam, że ich wyczyny i ich stan duszy nie zasługują na szczegółowe badanie. Wiemy z ich własnych wynurzeń, że Polska jako „ogniwo w systemie państw socjalistycznych” ma za zadanie pierwsze — umocnienie tego systemu. Zadaniem wtórnym dopiero jest troska o polską rację stanu. Z tego nawet dyplomata PRL-owy się tłumaczy powołując na „umotywowania historyczne”. Dyplomacją PRL'u kieruje, według jej własnej interpretacji, nie rząd w Warszawie, ale biuro polityczne partii. To jest grunt, na którym dyplomaci warszawskiego reżymu się poruszają. Ale nie na tym koniec. Poza doktryną istnieje jeszcze tradycja. Polega ona na wypełnianiu instrukcji z możliwie jak

najmniejszym wkładem własnego myślenia. Kto nie myśli — nie grzeszy. Argumenty najwymowniejszych nawet rozmówców rozsypują się w niwecz po zderzeniu z taką bryłą. Twierdzą tak z doświadczenia, które zdobyłem w Londynie w czasie ostatniej wojny. Wątpię, by który dyplomata reżymowy zdobył się na porzucenie tak stosownego zachowania się, pilnują ich przecież oczy nie tylko polskie, ale oczy „wielkiego opiekuna”. Nie dziw przeto, że dyplomacja PRL'u, skazana na pilnowanie cudzego interesu, koncentrować się musi poza „służebnością” niejawną, na zadaniach biurokratycznych, że ambasadorowie „koordynują” swoich wszelkiego typu licznych podwładnych, pamiętając że stosunki z zagranicą to jedna z dźwigni zapewniających przyspieszony, pokojowy rozwój kraju!

Za to wszystko kraj, a ściślej mówiąc towarzysze partyjni, odpłacają się dyplomatom nieukrywaną obojętnością. Bo w takich warunkach, przy tak wymierzonych zadaniach i tak ciasno określonej samodzielności, służba za granicą to uprzywilejowane wygnanie, to synekura, chociaż nie zawsze beztraska. Miłą dywersją musi być dla tych panów trochę uciech światowych, chociażby pociągały za sobą tak nieznośny obowiązek jak przydziewanie żakietu.

Byłbym prawie zapomniał o zadaniu, może najpilniejszym, dyplomacji warszawskiej: o unieszkodliwieniu emigracji politycznej. Do tego celu mają prowadzić środki nacisku, odmowa wiz i tym podobne, a bardziej jeszcze przynęty materialne. Jak na wysiłek w to włożony — rezultaty przede wszystkim w Europie nie są wielkie. Podobno szczególne nadzieje pokładają partyjni strategowie w postępkach obradującej w Genewie Europejskiej Konferencji Współpracy i Bezpieczeństwa. Po jej zawarciu polskie politbiuro bezpiecznie, jak sądzi, zabrac się będzie mogło do opornych. Nie, nie ma czego zazdrościć dyplomacji PRL'u.

Edward RACZYŃSKI

8 sierpnia 1974

Widziane z Brukseli

SLEPY LOS Z MONOKLEM W OKU

Panowie Alvaro Cunhal i Antonio de Spínola spotkali się cztery razy w życiu. Dwa razy pośrednio i dwa razy bezpośrednio. Pierwszy raz w Hiszpanii w roku 1937, kiedy ochotnik Cunhal bronił republiki, a ochotnik Spínola bronił gen. Franco. Drugi raz w 1942 roku w ZSSR, kiedy to ochotnik Cunhal bronił Stalina, a ochotnik Spínola szturmował Stalingrad. Trzeci raz

30 kwietnia 1974 roku, kiedy sekretarz generalny Komunistycznej Partii Portugalii Cunhal natychmiast po powrocie z wygnania w Pradze przyjęty został przez prezydenta Spínolę, i mianowany ministrem bez teki w nowym rządzie portugalskim. Czwararty raz, kiedy prezydent Spínola ogłaszał swą dymisję, a minister bez teki pozostał w rządzie. Panowie Cunhal i Spínola spotkają się zapewne jeszcze jeden raz. Pytanie tylko kiedy i w jakich okolicznościach, czyli, mówiąc w skrócie i po leninowsku: kto kogo?

Samobójstwo w księgarni

Przez 48 lat dyktatury Salazara, profesora ekonomii, autora doktryny „nacjonalizmu gospodarczego”, Portugalia z powodu profesora i jego doktryny była jednym z najbardziej ubogich i najwolniej rozwijających się krajów Europy. Był to reżym tak ciemny i nieudolny, że Portugalia nie potrafiła zarobić ani na pozostaniu poza zasięgiem wojny światowej, ani na planie Marshalla, który przecież inne kraje wyprowadził na ludzi. Poziom życia był najniższy w Europie, śmiertelność dzieci za to najwyższa, liczba lekarzy najniższa, za to procent analfabetów — najwyższy. Przyrost naturalny i emigracja „za chlebem” (1,7 miliona na 9 milionów mieszkańców) najwyższe w Europie, koncentracja w przemyśle także — 4% przedsiębiorstw kumulowało ponad 50% wszystkich kapitałów, a razem były one kontrolowane przez siedem wielkich trustów czy holdingów, międzynarodowych naturalnie. Średniowieczny klerykalizm pomagał, „w obronie chrześcijańskich wartości Zachodu” wysyłać tysiące młodych ludzi na kolonizowanie najbardziej czarnej Afryki. Najniższy budżet oświatowy i najwyższy (46%) wojskowy w Europie. 60.000 zabitych i inwalidów w 13 lat wojny kolonialnej.

Wystarczy? Wystarczy! W latach 70-tych dyktatura portugalska coraz bardziej grzęzła w potrójny zaułek: polityczny, wojskowy i gospodarczy.

Nikt nie widział wyjścia. Ale z pomocą przyszedł los. Na ogół jest on ślepy, tym razem wystąpił jednak z monoklem w oku. 22 lutego 74, na ostro cenzurowanym księgarskim rynku Lizbony ukazała się niewielka książka. Tytuł: „Portugalia i jej przyszłość”. Autor, gen. de Spínola, szef sztabu, były dowódca korpusu ekspedycyjnego w Afryce, syn jednego z najbardziej ongiś wpływowych doradców ekonomicznych Salazara. Kiedy władza się zorientowała, było już za późno. Książkę wycofano, Spínolę wyrzucono, ale *habent sua fata libelli*. Podobnie jak dyktatura grecka popełni kilka tygodni później samobójstwo na Cyprze, tak dyktatura portugalska popełniła samobójstwo w księgarni. W odróżnieniu jednak od Grecji, gdzie aby dyktatura umarła, armia, „wielka niemowa”, musiała zamilknąć, w Portugalii, aby dyktatura szczała armia musiała przemówić. I wielka niemowa przemówiła.

W ciągu dziesięciu godzin 25 kwietnia armia załatwiła to, czego w ciągu 48 lat i 14 powstań nie potrafiła załatwić żadna opozycja. Książka Spinoli nie proponowała właściwie niczego bezbożnego, chciała tylko zmodernizowania dyktatury, dopasowania jej do XX wieku, wychodziła z założenia, które już od dawna jest jasne wszędzie i w odniesieniu do wszystkich sytuacji kolonialnych — z wyjątkiem okupacji typu ideologiczno-mocarstwowego opartej o geograficzne sąsiedztwo i kolaborację „nowej klasy” — że mianowicie wojna kolonialna jest nie do wygrania i że jej przedłużanie nie tylko nie ratuje posiadłości, ale wyniszcza metropolię. Spinola, ostatni romantyk w armii portugalskiej, proponował utworzenie czegoś w rodzaju federacji luzytańskiej, od Mozambiku do Brazylii, z Lizboną „ostatnią stolicą starej epoki kolonialnej”, przekształconą w „pierwszą stolicę nowej epoki federalnej...”. Wszystko to, choć mgławicowe i zupełnie nierealne, wystarczyło aby przelać kielich.

25 kwietnia 1974, po raz pierwszy od 48 lat, wieczorne gazety ukazały się w Lizbonie nieocenzurowane. Romantyk z monoklem był u władzy.

Jak to się stało? Dlaczego ta sama armia, która w 1926 roku obaliła rachityczną demokrację portugalską i posadziła na tronie Salazara, tym razem wyrzuca jego następcę i otwiera drzwi do demokracji?

Wojsko wchodzi do śródmieścia

Pytanie tym bardziej sensowne, że zgodnie z XIX-wiecznym modelem i tradycją, armia — własna lub cudza — raczej likwiduje demokrację niż ją przywraca. Bardzo nieliczne są wypadki kiedy pucz wojskowy pomógł postępowi. W Turcji w 1920 roku, w Kairze w 1956, no, może jeszcze w Peru w 1968 roku, i właściwie na tym koniec. We wszystkich innych przypadkach apel do wojska i wkroczenie wojska w politykę było zawsze skrzyżowaniem w prawo. Wystarczy spojrzeć na salę ONZ w Nowym Jorku. Kiedy 130 rąk podnosi się aby w imię demokracji i braterstwa ludów uchwalić coś czy potępić kogoś, to ponad połowa tych wypielęgowanych i różnokolorowych rąk należy do wojskowych (albo do ich cywilnych przedstawicieli) sprawujących dyktatorską władzę w swych krajach.

Tak, tylko, że sojusz i symbioza wojska z prawicą nie stanowi już reguły bez wyjątków. Portugalia właśnie jest najnowszym i zostanie chyba klasycznym przykładem jak formacja socjologiczna zwana armią może w rozmaity sposób wpływać na historię.

Przez długie lata portugalski korpus oficerski stanowił bazę i ostoję dyktatury, zmonopolizowaną przez synów arystokracji, najwyższej biurokracji (chciałem powiedzieć także kleru wysokiego) i obszarników. I tak było do 1961 roku do wybuchu pierwszych rebelii w koloniach. Bez wchodzenia w pseudo-marksiowskie zawijasy powiedzmy, że kariera oficerska przestała

być od tej chwili wyłącznie radosna. Oficerowie z pięknych dzielnic zaczęli ginąć jak zwyczajni ludzie. Z drugiej strony, życie w koloniach przestało być *dolce vita*. A tymczasem, w 1962 roku biedne, świeżo zdekolonizowane Indie najechały Goa i zlikwidowały portugalskie enklawy na swym sub-kontynencie. Otóż, aby Goa się nie powtórzyło i aby czarnym wybić podobne myśli z głowy, trzeba było zwiększyć dostawy mięsa armatniego do Afryki. Straty rosły, dżungla zaczęła gryźć.

I wtedy bramy szkół oficerskich otworzyły się przed dziećmi z mniej pięknych dzielnic. Szlify dostawali synowie średniej, a potem coraz mniej średniej burżuazji, urzędników, rzemieślników, chłopów... W kilka lat, wojsko, gwarancja reżymu, przestało rekrutować się z klas społecznych, których interesów miało bronić, których ustrój portugalski był emanacją.

Dość szybko okazało się, że wojsko, „wielka niemowa”, nie tylko mówi, ale myśli, widzi, słyszy. Wojna w Afryce nazywa się już brudną wojną, coraz mniej żołnierzy chce umierać za cudze interesy. Rekruci, coraz częściej, zamiast na statek do Angoli wsiadają na pociąg do Paryża. W 1973 roku, na 30.000 powołanych, 16.000 „unika” służby wojskowej. W 13 lat wojny 100.000 młodych ludzi w taki czy inny sposób zdezerterowało. Ale kontaktu z krajem nie utraciło. Do wojska portugalskiego wkroczyła polityka. Im bardziej dyktatura tępiła, tym bardziej wojsko się polityzowało. Na górze — w sposób konserwatywny, umarkowany. Im niżej, tym bardziej czerwieniło.

Kiedy ukazała się książka Spinoli, wrzód właśnie dojrzał. Wyrzucenie Spinoli pod prawie socjalistycznym hasłem „wojsko nie ma własnej polityki, wojsko ma politykę rządu”, dokonało reszty. Generałowie dali rozgrzeszenie, kapitanowie dali rozkaz. 25 kwietnia 1974 wojsko weszło do śródmieścia. Generałowie byli przekonani, że ratują substancję, resztki Portugalii. Kapitanowie — że robią rewolucję.

Kto miał rację? Rację miał ten trzeci. Tylko Cunhal się nie mylił.

Wielki marsz Alvaro Cunhala

Kiedy 30 kwietnia, po 11 latach wygnania, Cunhal wysiadł na lotnisku Portela pod Lizboną, powitały go nowiutkie czerwone flagi oraz tłumy młodych ludzi ze wzniesioną lewą ręką o zaciśniętej pięści. Najbardziej symboliczne zdjęcie ukazywało nazajutrz Cunhala, dostojnego, siwego, szczupłego mężczyznę ścisnącego młodego marynarza. Symbol tylko? Znacznie więcej. Rzeczywistość.

Kompartia Portugalii została założona w 1921 roku. Przez dłuższy czas się nie liczyła. Zdelegalizowana w 1926 roku, w czasach kominternu nie uczestniczyła nawet w odprawach, miejsce, w najlepszym razie, miała na strapontenie. Na szersze wody międzynarodowe wypływa dopiero w roku 1956, kiedy to po

XX Zjeździe KPZS, Cunhal umiejętnie lansuje rzucone przez Moskwę hasło frontu narodowego. Już w 1958 roku KP Portugalii popiera wysokiego oficera, admirała Delgado jako szefa połączonych sił opozycji. Wojskowa rebelia w Beja, krwawo stłumiona w 1962, stanowi punkt zwrotny w taktyce KP. Zrazu dyskretnie, potem coraz jawniej, komuniści nie ukrywają swych nadziei co do roli wojska w obaleniu dyktatury. Robią to z takim przekonaniem, że niektóre ośrodki doktrynerskie krytykowały Cunhala za to, że stawia raczej na pucz wojskowy niż na walkę klas. Ale Cunhala to nie wzrusza. I chociaż, podobnie jak towarzysze z Francji, portugalscy komuniści przez dłuższy czas nie mogli dopracować się jasnej linii w sprawie polityki kolonialnej, to za to umieli coraz bardziej skutecznie osłabiać metropolię. A przede wszystkim — wojsko. Kompartia umacnia nielegalny aparat, płaci wysoką cenę w starciach z dyktaturą, wypełnia więzienia, ale istnieje i działa w kraju, wie dokładnie co się w interiorze dzieje. Z każdym dniem coraz bardziej umacnia tezę, że komunistów nie da się pominąć przy układaniu jakiegokolwiek scenariusza co do przyszłości Portugalii.

25 kwietnia wieczorem, kiedy z dalekopisów wyskoczyły depesze o puczu i o Spinoli, najmniej zaskoczony był w swym praskim biurze Alvaro Cunhal, sekretarz generalny KP. 25 kwietnia to był koniec jego bardzo długiego marszu, w czasie którego, mimo wielu zrysków, trzy wyznania wiary nigdy go nie opuściły. Pierwsze, to nieuchronność końca dyktatury. Drugie, to przekonanie o decydującej roli wojska. Trzecie — to niezachwiana wierność wobec ZSSR.

Cunhal jest jednym z nielicznych komunistów zachodnich, którzy do dziś broni inwazji Czechosłowacji, jest jednym z najgorliwszych denuncjatorów Mao i w ogóle samodzielności partii komunistycznych, np. rumuńskiej czy hiszpańskiej. Nic dziwnego, że w tym samym dniu kiedy na wiosnę 74 roku, *Prawda* na jednej stronie demaskowała rewizjonistów z hiszpańskiego KC, na innej stronie drukowała artykuł Cunhala oraz wiadomość o przyznaniu mu z jakiejś tam okazji orderu Wielkiego Października. Nic dziwnego skoro Cunhal w Pradze wołał, że „każdy komunista portugalski ma dwie ojczyzny: Portugalię i ZSSR”, a przedtem powiedział, że „obrona socjalizmu w Czechosłowacji była kwestią życia i śmierci wszystkich sił socjalistycznych i internacjonalistycznym obowiązkiem komunistów całego świata”, że wreszcie na konferencji komunistów zachodnio-europejskich w Brukseli, w styczniu tego roku, chciał obecnych koniecznie przekonać, że „w zasadniczych cechach socjalizmu zbudowanego w ZSSR odnajdujemy ideały, o które walczą wszyscy uciskani i wyzwoleni, odnajdujemy prototyp ich własnej przyszłości...”.

Nic dziwnego, że Cunhala dekorował osobiście sam Susłow. Nic dziwnego także, że wszystkie te tematy znikły jakoś z tekstów i przemówień Cunhala po zajęciu fotela w radzie ministrów demokratyczno-wojskowej Portugalii. Kiedy np. dziennikarze pytają Cunhala o związki Portugalii z NATO, to daje on wypo-

wiedzi wymijające, odwołując się do ewangelicznych rozstrzygnięć pokojowych w skali Europy czy świata.

Od chwili powrotu Cunhala, kompartia gra rolę czynnika demokracji kraju z takim wdziękiem jakby nigdy w życiu nic innego nie robiła. Mimo, iż stanowi ona jedyną siłę polityczną sprawnie działającą, nowoczesnie zorganizowaną, dysponującą zdyscyplinowanym aparatem, partia nie wysuwa się na proscenium, a wprost przeciwnie, na każdym kroku skromnie podkreśla przodującą rolę wojska w rewolucji demokratycznej.

Cunhal odegrał w Portugalii dwie wielkie prapremiery komunistyczne. Po raz pierwszy w Europie partia komunistyczna lojalnie realizuje program, którego nie tylko nie jest autorem, ale w którego opracowaniu oficjalnie nawet nie uczestniczyła i po raz pierwszy w Europie partia poparła otwarty i klasyczny pucz wojskowy. Począwszy od 25 kwietnia partia komunistyczna w Portugalii odgrywa rolę stabilizującą i konserwatywną. Wystąpiła ostro przeciwko ekstremistom, z prawa ale i z lewa, porównała goszystów do faszystów, czego nawet jednak Marchais jeszcze nie zrobił, nie lansuje żadnego programu nacjonalizacji, nie sprzeciwia się tendencjom do europeizacji gospodarki, nie atakuje wprost firm międzynarodowych, staje w obronie klas średnich, tradycyjnie antykomunistycznych itd. Jednym słowem, począwszy od 25 kwietnia hasłem kompartii portugalskiej nie jest żadne tam „proletariusze wszystkich krajów itd.”, ale „Aby nie Chile!...”.

Od 25 kwietnia Cunhal nie popełnił żadnego błędu. Oczywiście, ukazał partię jako jedyną siłę konsekwentnie anty-salazarowską, ale siłę dobrze wychowaną, dyskretną i lojalną. I tak skromną, że choć partia działała przez cały czas dyktatury, to Cunhal ujawnił tylko tych działaczy, których nie ujawnić nie można było. Dzięki temu dziś nie wiadomo dokładnie kto jest komunistą, i gdzie komuniści są. Partia nigdy zresztą nie została rzucona do boju wprost. Ta wielka siła udzielała poparcia, pomagała organizować masy, dostarczała w razie potrzeby kadr, ale sprawy załatwilo wojsko samo, na własną rękę. I na własną odpowiedzialność. Tak było najpierw w lipcu, kiedy wojskowy premier Goncalves zastąpił cywila Palmę Carlosa, a potem 30-go września, kiedy odszedł Spinola.

Generał odszedł, kapitanowie zostali... z Cunhalem

Była to taktyka bezbłędna. Cunhal zna dynamikę ruchu masowego i wiedział, że po pierwsze masa wahających się oficerów, która dopiero po 25 kwietnia przeszła Rubikon, będzie z gorliwością spóźnionych na pociąg pchać go coraz mocniej naprzód. I po drugie, że 48 lat dyktatury faszystowskiej nie można wymazać w jeden dzień, że więc armia nie stanowi monolitu, jak KP. Działa tam bowiem z jednej strony kasta generalska, reprezentowana przez Spinolę, działająca w imieniu tych kół, które chcia-

ły wyrwać kraj z zacofania i gangreny kolonialnej, ale „bez wpadania spod jednej dyktatury pod drugą”. I Cunhal wiedział, że z drugiej strony wzmacnia się kasta „kapitanów”, którzy pragną przeskakiwać etapy i dla których Spinoła musi się w końcu okazać przeszkodą. Nie trzeba było nawet być marksistą, aby przewidzieć, że starcie będzie nieuniknione.

Cunhal trzymał więc broń u nogi. I czekał. Ale Spinoła nie mógł czekać. Musiał przyspieszać starcie, bo Portugalia brała, za ostry jak dla niego wiraż w lewo. A tam Spinoła widział tylko jedną wielką siłę...

10 września Spinoła rzuca apel do „maioria silenciosa”, do milczącej większości, wzywając do wielkiej manifestacji na 28 września. 26 września, na 48 godzin przed manifestacją, Spinoła popełnia błąd. Udaje się na *corridę*. Zamiast *treadora*, tłum oklaskuje Spinołę, zamiast uszu byka, tłum żąda obcięcia rąk komunistów. Już za bramą wybuchają pierwsze zamieszki. „Reakcja, woła Cunhal, pokazuje kły, trzeba je wyrwać zanim zaczną gryźć”. 27 września, to najdłuższy dzień Portugalii. Sprobowana przez Spinołę lewica idzie do szturmu, bojówki wkraczają do akcji, budują barykady, nikt nie wejdzie do miasta. „Zamach z prawa” wołają. Gen. Galvao, przyjaciel Spinoli, odważył się zauważyć, że „jeżeli mniejszość ma prawo głosu, to milcząca dotychczas większość też powinna je posiadać...” i ledwo uszedł z życiem. Tłum oczekiwał pod restauracją, gdzie odbywał się akurat burżujski bankiet (też sobie znaleźli dzień na orgietki). Z 300 zaproszonych gości przybyło tylko 150. Reszta już była w więzieniu.

28 września rano było po wszystkim. Poprzedniego dnia wieczorem Portugalia układała się do snu w strachu przed puczem z prawa. 28-go obudziła się po udanym zamachu z lewa.

W starciu Spinoli z kapitanami, Cunhal poparł oczywiście kapitanów. Nie mógł postąpić inaczej, nie mógł ryzykować, musiał być po stronie niechybnych zwycięzców. Ale dla Cunhala nie wszystko było jasne i proste. Cunhal chyba jednak myśli, że Spinoła odszedł za wcześnie.

Oto bowiem, od 30 września Portugalia ma rząd wyłącznie lewicowy, jedyny w Europie rząd z udziałem komunistów. „Szekspirowska inscenizacja, to jeszcze nie Szekspir”, powiedzieli komuniści o okolicznościach dymisji Spinoli. We wrześniową sobotę Spinoła zachował się rzeczywiście po szekspirowsku i wygłosił przejmujące memento do narodu. „Chciałem, powiada, rozwoju bez konwulsji, a tymczasem idziemy do chaosu, anarchii, kryzysu, do nowych form niewolnictwa. Demokracja w tych warunkach jest wykluczona, pada bowiem pod ciosami tych grup politycznych, których ideologia sprzeczna jest z najbardziej elementarnymi zasadami demokracji...”.

Generałowie odeszli, ale kapitanowie pozostali. Sam na sam z komunistami (partia socjalistyczna jako siła operatywna właściwie się nie liczy). Oko w oko, ale przy świadkach. Przy 9 milionach świadków. Teraz już niczego nie da się zrzucić na kno-

wania kasty generalskiej, na sabotaż prawicy u władzy. Teraz trzeba będzie ponosić całkowitą odpowiedzialność za zawiedzione nadzieje, za zmarnowane okazje, a przede wszystkim za fatalną sytuację gospodarczą.

Perspektywy są w istocie nieprzyjemne. Bezrobocie w Portugalii ma dość szybko osiągnąć 10 % ludzi zdolnych do pracy, czyli ok. 300.000 osób, inflacja już liże 30 %, Zachód w kryzysie ogranicza dopływ robotników z Portugalii, a nawet odsyła niektórych do kraju. Średnie i małe przedsiębiorstwa ledwie dyszą z braku kredytów, wzrostu cen surowców i płac. Wielki kapitał powoli wycieka, bo nie ma zaufania, a wszystko razem gnije się pod ciężarem pytania: jak ostatecznie pozbyć się kolonii bez zrujnowania kraju, i co robić z 600.000 białych zagrożonych czarnym odwetem no i żołnierzami powracającymi radośnie z Afryki.

Szekspirowski spadek

Cunhal sądzi więc, że Spinoła odszedł za wcześnie i podejrzewa nawet, że nie przypadkowo. Cunhal się zastanawia: a może ten Spinoła, to rzeczywiście Szekspir. Bo oto spadek pozostawił jak w *Hamlecie*: być albo nie być.

Albo komuniści lojalnie i na trwałe, bez kawałów i ukrytych ciemnych myśli będą respektować obecny układ sił, supremację władzy i ideologii „kapitanów”, pomagać będą w ustaleniu w Portugalii systemu pluralistycznego, uczyć będą Portugalczyków jak korzystać z wolności demokratycznych i obywatelskich, czyli dopuszczą do głosu i chronić będą prawa opozycji, popierać będą neo-kapitalistyczny program ratowania kraju, bo w obecnych warunkach to nie wojska sowieckie, a pomoc EWG i USA (potrzeba natychmiast 400 milionów dolarów) mogą wyprowadzić kraj z katastrofy, ale wtedy Cunhal ryzykuje „rozmiękczenie” partii, jej rozplywanie się, jej demokratyzację, w skrócie wyjście kompartii z dogmatycznego modelu sowieckiego.

Albo, jak to właściwie zawsze było w przeszłości, np. na Kubie, komuniści zechcą wykiwać zwycięzców i wtedy zderzenie będzie nieuniknione. Komuniści zameldowali się w Hawanie już po zwycięstwie Castro (przedtem uczestniczyli nawet w jednym z rządów Batisty), a kiedy ich, doświadczonych, mądrych towarzyszy, dopuszczono do bochenka, to natychmiast urządzili anty-castrowski spiszek, partię w partii, i podjęli próbę odebrania władzy z rąk nieudolnych *barbudos*. Fidel okazał się jednak sprytniejszy, nie znał się na figlach i deportował braci Escalante, przywódców KP wprost... do Moskwy. Bez szukania historycznych analogii, można powiedzieć, że z rozmaitych powodów — strategicznych na Wschodzie, taktycznych na Zachodzie — partie komunistyczne nie chciały, nie mogły, nie potrafiły, albo im nie pozwolono, uplasować się na trwałe w systemie pluralistycznej demokracji.

W Portugalii jeszcze nic nie wiadomo. Wiadomo tylko, że nowym mężem opatrnościowym, partnerem, a w razie co przeciwnikiem Cunhala, jest gen. Goncalves, premier i szef lewego skrzydła oficerów. Syn słynnego ongiś futbolisty — co w Portugalii jest najlepszą referencją, Goncalves jest, na razie, prawdziwym zwycięzcą ostatniego przesilenia. Dla niektórych dziennikarzy zagranicznych, Goncalves, to typ „misjonarza ratującego ludzkie dusze nawet wbrew ich woli”, dla innych, to „człowiek, który nigdy nie śpi...” (nie mam do takich zaufania). Pewien amerykański dyplomata, z prawie przysłowiową już trafnością sądu, określił Goncalvesa jako „patriotycznego lewicowego humanistę”. To wszystko nie brzmi zbyt zachęcająco jak na premiera rządu z udziałem komunistów i Cunhala, którego nikt (nawet dyplomaci amerykańscy) nie podejrzewa o „patriotyczny lewicowy humanizm”, ale nie martwmy się. Bo oto okazuje się, że Goncalves posiada mały domek nad morzem, i że lubi pływać w miejscach o ostrych, groźnych wirach. „On lubi niebezpieczne miejsca i świetnie sobie radzi”, powiedział jeden z jego bliskich.

Otóż, to właśnie wcale nie jest takie pewne. Cunhal liczy zapewne, że jest akurat wprost przeciwnie. Konsul Spinola poddał się centurionom. Konsul Cunhal zechce tego losu uniknąć. Nie nosi monokla, ale widzi dalej. Konsulowie nie zawsze przegrywali, czasem ścinano centurionów...

Tylko bez paniki

Ale, spokojnie. Portugalii daleko jeszcze do komunistycznej dyktatury. Spinola przecież mógł się pożegnać z narodem, mógł go uprzedzić, że mu grozi anarchia i dyktatura, łyż i pot. Ani Chruszczow nie mógł tego zrobić w 1964 roku, ani Dubczek w 1968, ani Gomułka w 1970. Ale, uwaga, po raz pierwszy od 25 kwietnia w więzieniach, gdzie dotąd siedzieli tylko byli agenci PIDE (portugalskie UB), znaleźli się teraz więźniowie polityczni, cenzura zamyka gazety, drukarze odmawiają druku ulotek o nieodpowiadającej im treści, a przede wszystkim wyszły za węgła bojówki uzbrojonych cywilów, które kontrolowały miasto, polowały na czarownice, wyciągały ludzi spod pierzyn domowych i hotelowych.

Otóż, gdy tak postępowała władza prawicowa, np. w Hiszpanii czy wczoraj w Grecji, to oczywiście, i słusznie, podniósłby się ogromny krzyk zranionej europejskiej lewicy, dziennika *Prawda*, a CIA wyskoczyłaby znowu na pierwsze strony całej światowej prasy. Ponieważ dziś w Portugalii jest to dziełem lewicy, więc nikt — nawet przestraszona i zakompleksiona CIA — nie podnosi głosu.

Ba, wprost przeciwnie. Zgodnie z tradycyjnym scenariuszem, już ktoś krzyczy na Amerykanów i przed nimi przestrzega. Z pewnym wzruszeniem czytałem patetyczny opis „wielkiej nocy”, kiedy to zmuszono do dymisji trzech generałów, przyjaciół Spi-

noli i członków junty, za to, że osmielili się „obrazić” gen. Goncalvesa. Autorem opisu jest znany z lewicowych sympatii gen. De Carvalho, będący przypadkowo dowódcą COPCON'u, portugalskiego KBW. Otóż ów generał potwierdził, iż „podstawowym zadaniem chwili jest obrona demokracji portugalskiej przed imperializmem” i aby nie było wątpliwości, który to imperializm zagraża demokracji, dodał, że „CIA naturalnie interesuje się tym co się dzieje w Portugalii”. My wiemy — ciągnął gen. De Carvalho — że „CIA to poważny problem. CIA, która stosuje najbardziej nieprawdopodobne środki, jest najbardziej niebezpieczna, ale nie jest sama: NATO — oto jeszcze jeden przykład...”. Generał natychmiast jednak nas uspokoił. Nie przejmujcie się, powiada, „nasze wojskowe organa bezpieczeństwa podjęły wszystkie kroki aby sprostać temu niebezpieczeństwu...”.

Otóż, proszę państwa, ja to już skądś znam. Pamiętajcie więc, że ja byłem przeciw. Jak wynika z historycznego doświadczenia wiadomo bowiem że to się zawsze tak zaczyna, ale nigdy nie wiadomo jak się kończy. Bo nie ma cenzury lewicowej lub prawicowej — każda cenzura jest reakcyjna. Nie ma więzień lewicowych i prawicowych — każde aresztowanie z powodu przekonań politycznych jest reakcyjne. Tym bardziej, że dziś w Portugalii trudno jest powiedzieć, co jest lewicowe a co prawicowe...

A tymczasem, i właśnie dlatego, że to co się dzieje dziś w Portugalii odbywa się w imię demokracji, trzeba tym głośniejsze krzyknąć i tym bardziej czujnie patrzeć na ręce. Stawka bowiem jest ogromna, nie tylko portugalska, a europejska. Oto asystujemy przy zasadniczej wagi eksperymencie politycznym. Wyobraźmy sobie, że komuniści portugalscy, cicho i dyskretnie, delikatnie, nie zrażając sojuszników o innych ideologiach i nie burząc misternej konstrukcji powiązań dyplomatycznych Portugalii ze światem atlantyckim, skutecznie udają, że są twórczym i nieodzownym elementem demokratycznej władzy w Lizbonie. Wtedy odzywają się Włochy, Francja, Grecja, wszystkie te kraje, gdzie nieudolna władza cofa się przed inflacją, gdzie krótkowzroczny nacjonalizm dusi integrację, gdzie wszystkie tradycyjne siły polityczne zostały już pod ciśnieniem głupich interesów wyborczych doszczętnie skompromitowane, gdzie komuniści, jedyni bez rządowej skazy, ukazują się jako ostatnia deska ratunku. „Co, nie macie do nas zaufania? A Portugalia”. Cunhal zresztą niczego nie ukrywa. „Komuniści portugalscy, powiada, chcą dojsć do władzy tylko drogą pokojową. To ma być mianowicie wzór dla Hiszpanii”.

De Gaulle czy Kiereński?

To właśnie ten europejski, epidemiczny aspekt wydarzeń w Portugalii miał chyba na myśli p. prof. Kissinger, kiedy po raz pierwszy w swojej karierze głośno się zmartwił o przyszłość niektórych ustrojów demokratycznych w Zachodniej Europie, w

sferze tego co Churchill nazwał „miękkim podbrzuszem Europy”. P. prof. Kissinger martwił się nieco za późno, a przecież płacą mu właśnie za to, żeby się martwił na czas. Kości, panie profesorze, są już rzucone...

Prezydent Costa Gomez, premier Goncalves i minister bez teki Cunhal zapowiedzieli, że odejście Spinoi przyspieszy marsz do demokracji i że zgodnie z obietnicą wybory powszechne odbędą się 30 marca 1975. To bardzo ryzykowny test te wolne wybory w kraju, gdzie przez 50 lat instytucje demokratyczne nie funkcjonowały, gdzie brak np. partii centrowych, umiarkowanych, socjal-demokratycznej czy konserwatywnej (obecna partia socjalistyczna z p. Soaresem na czele przypomina PPS z okresu Cyrankiewicza). Bardzo szanuję wolne wybory, ale zachodzi chyba ryzyko, że w obecnych okolicznościach i tak szybkim trybie, znając przywiązanie komunistów i wojskowych do urny wyborczej, wybory przekształcą się w plebscyt i że zamiast poznać tego dnia kształt przyszłej portugalskiej demokracji, dowiemy się tylko czy Spinoła był portugalskim De Gaullem czy też Kiereńskim lub Nagibem i kto będzie portugalskim Leninem czy Naserem?

Ze się dowiemy czy Lizbona to nie Kronsztadt i kto był konsulem a kto centurionem...

BRUKSELCZYK

Pisane 13 października 1974

POMÓŻCIE NATYCHMIAST. SYTUACJA JEST
KRYTYCZNA. KRYZYS EKONOMICZNY TEGO KRAJU
DOTKNĄŁ DOTKLIWIE I P.O.S.K.

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY
P.O.S.K.

prosi społeczeństwo polskie w wolnym świecie o doraźną i szybką pomoc finansową dla dokończenia dzieła budowy gmachu w Londynie.

Każda polska organizacja i każda osoba może pomóc w miarę swych możliwości:

- stając się Fundatorem POSK przez wpłatę co najmniej £ 250;
- stając się Członkiem POSK za jednorazową wpłatą £ 10;
- Członkowie wpłacając dodatkowe udziały: [dodatkowe prawo głosu — £ 10];
- wpłacając dobrowolny dar każdej wysokości.

Czeki i przekazy pieniężne wysyłać na adres:
POLISH SOCIAL and CULTURAL ASSOCIATION
9, PRINCES GARDENS, LONDON, S.W.7.

Kraj

Spółeczeństwo a piramida władzy

Byłem w lipcu bieżącego roku na tzw. „Forum polonijnym” w Krakowie. Ta propagandowa bzdura pozwoliła mi pomówić z ludźmi, spisać ich opinie i nastroje. Przedstawię je tu w skrócie.

Przed grudniem 1970 roku wielu ludzi w Polsce, zgnębionych beznadziejnością ostatniego okresu rządów Gomułki, uważało, że każda zmiana na szczycie partyjnym będzie lepsza od bezdroża na jakie zabrnęła ekipa rządząca krajem od 14 lat (co najmniej o kilka lat za długo).

Uważano, że jeśli piramida partyjna raz się wywróci, to będą następowały w niej dalsze wstrząsy, i w końcu wytworzy się jakiś rozsądny układ, umożliwiający częściowe choćby reformy systemu.

Przewidywania te sprawdziły się tylko w pierwszej części. Rzeczywiście gdy piramida raz się wywróciła, nastąpiły w niej dalsze zmiany i wstrząsy. Do prawdziwej reformy systemu jednakże nie doszło, a co gorsza w ciągu ostatnich dwóch lat następuje niewątpliwy regres polityczny w kierunku neostalinizmu.

Jak do tego doszło? Dlaczego było to możliwe? Czy partia nie zdaje sobie sprawy, że jeśli dwa razy w 1956 i w 1970 roku obiecała społeczeństwu naprawę i reformy, i za każdym razem wycofała się potem ze swych obietnic, to nikt jej już więcej nie uwierzy i nie da się nabrać na współudział w jej ratowaniu, w rzekomym reformowaniu socjalizmu? Czy partia nie rozumie, że między nią a myślącą częścią społeczeństwa powstaje przepaść, której zasypanie będzie bardzo trudne, albo w ogóle niemożliwe?

Odpowiedź na te wszystkie pytania jest trudna, ale tylko ona może nieco oświetlić sytuację w kraju, która w oczach obserwatorów zewnętrznych nigdy nie była tak niejasna i zamazana jak obecnie.

Wydaje się, że partia dobrze zna nastroje społeczeństwa i uwzględnia je w swojej grze. Główny wysiłek tej gry koncentruje się na oddzieleniu zaangażowanych elit umysłowych i ideowych od szerokich rzesz społeczeństwa. Niestety dążenia w tym kierunku w ciągu minionych trzech lat udawały się w znacznej mierze, gdyż zainteresowania mas skanalizowano wokół spraw bytowych.

Miodowy okres w stosunkach między Gierkiem a środowiskami sprawującymi w kraju prawdziwy rząd dusz trwał bardzo krótko, dużo krócej niż analogiczna sielanka w pierwszej fazie rządów Gomułki. Gierek już po 9 miesiącach musiał pod naciskiem Rosjan dokonać odrotu od liberalizacji i reform. Odwrót ten skłócił go gruntownie ze środowiskami twórczymi i z Kościołem, rozczarował szerokie kręgi inteligencji i młodzieży. Gierek, który jest znacznie bardziej ustępliwy i układny wobec Rosjan niż Gomułka (co wynika zresztą po części z rozpaczliwej sytuacji jaką odziedziczył po swoim poprzedniku) dobrze zdaje sobie sprawę, że stracił poparcie środowisk o najsilniejszej w kraju pozycji moralnej. Choć nie jest on tak głupio i obłudnie antyinteligentki jak Gomułka, postanowił chwilowo machnąć ręką na te środowiska, nie dąży do kontaktu i porozumienia z nimi, zachowując co najwyżej minimalne pozory dialogu, dając np. pisarzom opozycyjnym pewne możliwości publikacyjne itd.

Pod wrażeniem dramatycznych wydarzeń na wybrzeżu w grudniu 1970, nękania stałymi niepokojami w większych zakładach pracy, Gierek postanowił uspakając przede wszystkim robotników i spełniać gdzie trzeba ich żądania materialne. Gierek, Jaroszewicz i inni członkowie Politbiura zamienili się w swego rodzaju „straż pożarną” bezustannie wojażującą po kraju, gaszącą konflikty i łagodzącą napięcia. Gomułka siedział ponury, i pod koniec odosobniony, w Komitecie Centralnym w Warszawie. Gierek co drugi dzień zjawia się w innym mieście, wsi, zakładzie pracy. Straż pożarna jest instytucją nader pożyteczną, ale rządzenie krajem nie sprowadza się do gaszenia pożarów. I dlatego Gierek ma ich coraz więcej. Rozumie więc dobrze, że musi prowadzić wobec robotników politykę elastyczną, spełniać ich główne żądania. By móc to robić, Gierek poszedł na maksymalne kredyty zagraniczne (w przeciwieństwie do autarkizmu Gomułki) i na duże inwestycje. Zreorganizował przemysł w kierunku samodzielności wielkich monopolii branżowych, które rozwijają się rzeczywiście dość szybko; nie wiadomo tylko jak jest z racjonalnym wykorzystaniem środków inwestycyjnych, szczególnie dewizowych, przez poszczególne działy gospodarki. Jej szybki rozwój w ostatnich trzech latach wydaje się niezaprzeczalny. Jednocześnie wraz ze wzrostem płac rosną napięcia na rynku, brak jest wielu niezbędnych towarów i przeprowadza się ukryte, lecz drastyczne podwyżki cen. Pod koniec czwartego roku rządów Gierka można zatem mówić zarówno o pewnych jego sukcesach gospodarczych, jak i o zarysowującym się ostrym kryzysie. Chwilowo duża część społeczeństwa pochłonięta jest sprawami mate-

rialnymi i nie zdaje sobie sprawy ze zbliżającego się nieuchronnie nowego napięcia. Starania o kupno samochodu, mieszkania, domu jednorodzinnego, o turystyczne wyjazdy za granicę, pochłaniają uwagę ludzi, dla których te rzeczy stały się wreszcie od trzech lat w jakimś stopniu realne. Ale wydłużające się kolejki przed sklepami, szczególnie mięsnymi, rosnące ceny, manipulacje placowe i premiowe, nakładanie na ludność wciąż nowych ciężarów finansowych (co i tak nie może zapobiec inflacji) — wszystko to rozczarowuje do Gierka także szerokie masy, przede wszystkim robotników, których chciał on niejako „przekupić”, aby ich odciąć od opozycyjnych nastrojów środowisk intelektualnych. Pod koniec czwartego roku swoich rządów Gierek nie tylko stracił popularność, jaką cieszył się w masach w ciągu pierwszych dwóch lat, ale robotnicy zastanawiają się wręcz czy jest on w ogóle lepszy od Gomułki. Gierek wie o tym i boi się wszystkiego; sam chce gasić wszystkie pożary, a stan jego ducha najlepiej widać w przerażeniu, jakie budzi w nim najmniej chyba popularny człowiek w Polsce — właśnie Gomułka. Podczas obchodów 30-lecia PRL Gomułkę izolowano i roztoczono nad nim specjalną kontrolę, aby mu uniemożliwić pojawienie się na trybunie honorowej.

Nie znaczy to naturalnie, że wzrosła popularność Gomułki, albo że ma on przed sobą jakiekolwiek szanse polityczne. Jako polityk jest raczej człowiekiem skończonym. Natomiast słabość Gierka i obecność kierownictwa partyjnego wyraża się w tym, że nowi władcy boją się swoich własnych cieni (no i, jak się okazuje, cieni przeszłości).

Co powoduje to niezwykle poczucie słabości? Oczywiście zarysowujący się kryzys gospodarczy, o którym mówiliśmy przed chwilą. Oczywiście stała presja Rosjan, która nigdy nie była tak silna jak dzisiaj. Każdy przywódca PZPR, każda ekipa kierownicza wie, że najmniejsze nieposłuszeństwo może ją wysadzić z siodła.

Szybki upadek prestiżu Gierka i jego ekipy wiąże się zresztą nie tylko z sytuacją gospodarczą.

Partia gardzi społeczeństwem wychodząc z założenia, że wolność ma znaczenie jedynie dla kilku znanych pisarzy. Kierownictwu PZPR wydaje się, że jeśli pozwoli publikować nielicznym renomowanym opozycjonistom, to pozbędzie się kłopotów. Wydano więc książki Stonimskiego, Andrzejewskiego (naturalnie nie „Miazgę”), muzyczną pracę Kisielewskiego, wokół wierszy Herberta zrobiono nieco rozgłosu, pisze też i drukuje Wiktor Woroszyński oraz kilku innych liberałów. W ten sposób stworzono pozory odprężenia. Jednocześnie wydano zatrzważające zarządzenie. Cała literatura historyczna, związana z ostatnią wojną, ma być cenzurowana przez Wojskowy Instytut Historyczny. Ta jedna decyzja zablokowała dziesiątki gotowych książek. I nie ma od niej odwołania. Biedna cenzura cywilna straciła część kompetencji.

Inny konkretny przykład. Brak papieru na szereg przygoto-

wanych książek polskich, niezbędnych tłumaczeń klasyków i utworów współczesnych autorów zachodnich. Interwenującym przedstawicielem środowiska twórczego już kilka miesięcy temu dyrektor Zarządu Wydawnictw Min. Kultury i Sztuki powiedział krótko: „Nic się nie zmieni, więcej papieru nie dostaniecie, bo mamy umowy ze Związkiem Radzieckim i krajami socjalistycznymi, papier musi iść na tłumaczenia wynikające z tych umów”. Czyli musi być papier na kiepską literaturę sowiecką lub bułgarską, a nie będzie go na dobre teksty tłumaczone z języków zachodnich.

Przykład jest ciekawy nie tylko dlatego, że słyszało go na własne uszy grono wybitnych twórców i tłumaczy, lecz dlatego również że w swojej typowości stanowi analogię do sytuacji w innych dziedzinach kultury i sztuki. W radio i w telewizji, w filmie i teatrze, realizuje się „potwórki artystyczne”, byle tylko procent „dzieł” z krajów bloku wschodniego był jak najwyższy i zadawała strony z którymi zawarto odnośne umowy kulturalne. Wszystko to zaczyna drażnić środowisko kulturalne, jak też coraz szersze kręgi odbiorców literatury i sztuki.

Ale to wciąż jeszcze nie najważniejsza przyczyna rozdrażnienia społeczeństwa. Najważniejszą — poza sprawami bytowymi — stanowi informacja i propaganda. Rosjanie nakazali powrót do zupełnego schematyzmu. Dziennik telewizyjny jest po prostu prowokacją wobec opinii. Prawdziwe wiadomości streszcza się w drugiej części dziennika, w ciągu trzech do pięciu minut, a pozostałe czterdzieści minut wypełnia pokaz fabryk i sprzętu, pasmo beztreściowych, wymuszonych wypowiedzi robotników (latem rolników), pokaz maszyn rolniczych i zboża, zboża, zboża... Ze względu na złą pogodę w tym roku partia dostała takiego pietra, że zasypała ziarnem całą telewizję. Ludzie wyłączają telewizory, albo zabawiają się żłośliwymi komentarzami w rodzaju: no co, otworzymy sobie Gierka, pooglądamy go? I rzeczywiście Gierek, prawie zawsze z Jaroszewiczem, wyrasta co drugi dzień w innej fabryce lub Pegeerze. Ludzi wszystko to piekielnie złości, bo stale pokazuje się produkcję, a niczego nie ma, mówi się o osiągnięciach, a widoczne są rosnące braki. Zupełnie podobnie jak w telewizji jest w radio i w gazetach. Czasy Sokorskiego w radio i telewizji, i gumowego Korotyńskiego w *Życiu Warszawy*, wspomniane są przez słuchaczy i czytelników z rozrzewnieniem. Prezes Szczepański i redaktor Roliński wyprali już wszystko co było trochę oryginalne i rzeczowe. Pozostał sam frazes, drętwa mowa i budząca obrzydzenie propaganda.

Gierek wie, że Rosjanie najbardziej boją się wolnego słowa. Ostatecznie to był decydujący powód, dla którego wkroczyli zbrojnie do Czechosłowacji, żeby przepędzić ekipę Dubczeka. W Czechosłowacji nic nie groziło, zamachu na socjalizm nie było. Przerażenie i szaleńcza decyzja Rosjan spowodowało głównie zniesienie cenzury. Toteż w Polsce czyni się ją kapłanką życia kulturalnego, informacji i propagandy. Rozszerza się ją instytu-

cjonalnie na MON, Ministerstwo Kultury i inne odpowiednie organy państwowe.

Rezultat tej manipulacji, stawiającej sobie za cel zadowolenie Rosjan, doprowadza do szału społeczeństwo. Ambasador Piłotowicz i Gierek — pierwszy z zasady, drugi z przesadnie pojmowanego przymusu — idą całkowicie przeciw wyobrażeniom i życzeniom społeczeństwa. Gierek, jak poprzednio Gomułka, wykopuje za pomocą propagandy głęboką przepaść między sobą i najszerszą opinią publiczną. Polacy są wściekli na środki masowego przekazu. Dokładnie zdają sobie sprawę z górką i lekceważenia, jakie im się okazuje. Wszystko to bardzo ciężko zemści się na obecnej ekipie rządzącej, gdy napięcia w sferze gospodarczej doprowadzą do nieuchronnego wybuchu. Gierek nie powinien mieć złudzeń, że brygada „straży pożarnej” pod jego komendą zdoła zapobiec wstrząsowi, którego współczynniki mnożą się z każdym dniem.

Gomułka przetrwał 14 lat, Gierek w czwartym roku swoich rządów jest w sytuacji kryzysowej. Czemu tak się dzieje?

Z pewnością Gierek ma mimo wszystko trudniejszą sytuację w okresie „doktryny Breżniewa”, niż Gomułka miał z Chruszczowem w pierwszych latach swych rządów. Ale Gomułka — stwierdzają to wszyscy — był wobec Rosjan twardszy, niż Gierek. Nie wynika to bynajmniej z faktu, że obecny pierwszy sekretarz za wszelką cenę chce utrzymać się przy władzy, że woli nie ryzykować minimalnego choćby oporu. Ludzie stojący dość blisko członków Politbiura zapewniają, że Gierek chciał już dwukrotnie dobrowolnie zrezygnować ze swego stanowiska. Nie życzą sobie jednak tego Rosjanie, ani też nie pozwala na to sytuacja w górze partyjnej. Obecny przywódca PZPR nie ma w tej chwili realnej alternatywy personalnej.

Obejmując władzę w grudniu 1970 roku, Gierek miał w aktywie partyjnym zdecydowaną mniejszość. Grupą która z nim współdziałała byli, poza jego własnymi ludźmi ze Śląska, dawni natolińczycy. Do pilnowania Gierka wyznaczeni zostali Jaroszewicz, Jaruzelski i inni agenci rosyjscy w górze partyjnej. Większość aktywu stanowili moczarowcy. Bardzo to smutne, być może, ale taka jest prawda.

Moczar wyciągnął z niej wnioski i zaczął przeciw władzy. Gierek jednak, od pierwszej chwili, postanowił go odsuwać. Wtedy Moczar poszedł na lekkomyślną demonstrację olsztyńską, która umożliwiła Gierkowi wyrzucenie go z kierownictwa partyjnego z pełnym błogosławieństwem Rosjan, przestraszonych nie na żarty moczarowską wersją narodowego komunizmu. Wśród moczarowców nastąpił wówczas rozłam, którego konsekwencje do dzisiaj są znane i rozumiane jedynie w kierowniczych ogniwach aktywu partyjnego. Część moczarowców pozostała w mniejszym lub większym stopniu wierna generałowi, i naturalnie partyjna pozycja tych ludzi stanęła pod znakiem zapytania. Ponieważ w PZPR każdy czołowy działacz gra swoją grę indywidualną, ta wierność Moczarowi była bardzo względna. Faktem jest jednak,

że pozycja polityczna takich ludzi jak Olszowski, Kępa, albo na niższym szczeblu Namiotkiewicz, Róg-Świstek, Kąkol itp., została zachwiana.

W górę zaczął się wspinać gen. Szlachcic, do niedawna prawa ręką Moczara. Okazało się, że był on podstawionym Moczarowi mężem zaufania Rosjan. Szlachcic zagrał swoją wielką (?) grę. Pomógł Gierkowi usunąć część moczarowców, sam zaś oparł się na ich drugiej części. Pomógł usunąć z Sekretariatu KC moczarowca Olszowskiego, czym zaskarbił sobie wdzięczność Gierka. Pomógł mu z tegoż sekretariatu usunąć ostrożniutko liberalnego (?) Tejchmę, a z wicepremierostwa naiwnego Kraśkę, czym zyskał sobie uznanie Rosjan. W ten prosty sposób Szlachcic zaczął uchodzić za człowieka Gierka, za męża zaufania Rosjan, i faktycznie stał się w partii przywódcą numer dwa. Opierał się na części moczarowskiego aktywu partyjnego, głównie na służbie bezpieczeństwa. Jego pozycja tak się umacniała, że doszłusowywali do niego coraz to nowi moczarowcy. Szlachcic poczuł się w siodle i zaczął trząść Polską. Przeciwstawiał mu się Szydłak, ale zadenuncjowany Rosjanom jako zwolennik zbyt daleko idących reform gospodarczych, znalazł się w impasie. Szlachcic rozstrzygnął na swoją korzyść walkę z Szydłakiem o pozycję rzeczystego zastępcy Gierka.

Zbyt szybko jednak zaczął myśleć o tym, by go całkiem zastąpić. Zaangażowany w rywalizację z Szydłakiem, nie zauważył, że Rosjan i Jaroszewicza zaczyna niepokoić przyspieszony wzrost jego wpływów. Na początku bieżącego roku Szlachcic znalazł się w „przeciągu”. Model takiej sytuacji opisał Staliński w swej książce „Widziane z góry”. Gierka zaczął się obawiać Szlachcica. Jaroszewicz go nie znosił. Olszowski, Tejchma, Kępa i inni mieli, każdy zresztą odmienne, pretensje i porachunki ze Szlachcicem. Toteż gdy powstała sytuacja konfliktowa, Szlachcic znalazł się na posiedzeniu Politbiura całkowicie odosobniony. Nie miał za sobą ani jednego głosu. Z samej góry spadł na sam dół. Pewien członek KC mówił mi, że Szlachcic szlochał (łyż polijanta) w gabinecie Gierka. Nic mu to już jednak nie pomogło. Rosjanie, nauczeni niedawnymi doświadczeniami ze zbyt wyemancypowanym ich agentem Moczarem, postanowili zawczasu zlikwidować *casus* Szlachcica. Szlachcic denuncjował bezlitośnie innych, teraz jemu odpłacono pięknym za nadobne. Powtórzono towarzyszowi Piłotowiczowi wszystkie jego powiedzonka, które Rosjan mogły irytować. Choćby to najbardziej znane, że przyjaźń polsko-radziecka powinna być jak dobra herbata: gorąca, mocna i nie przestudzona.

Szlachcic upadł niespodziewanie dla ogółu, ale zapadł się pod ziemię głębiej niż Moczar. Do zjazdu partii musi pozostać formalnie w Politbiurze, ale powszechnie wiadomo, że jest półwięźniem. Pod zielonym sukniem w KC przechowuje się jego bardzo brudne sprawy. Przedziwną sprawę generała Matejewskiego (tego od wielkich przerzutów dewiz i złota) trzeba będzie jakoś ujawnić, skoro jej główny aktor znalazł się na wolności. Zresztą

rejestr spraw, które zawisły nad głową Szlachcica, jest długi. Są w nim wszystkie brudy służby bezpieczeństwa z ostatnich 10 lat. Zdaniem ludzi z KC Szlachcic nigdy już nie podniesie się z upadku politycznego.

Generał Moczar natomiast jest wesolutki jak szczygieł. Biega po Warszawie, pokazuje się, jeździ do Paryża i do Sofii, wszędzie go pełno. Nie ukrywa swego zadowolenia, swej głębokiej satysfakcji, że Szlachcicowi ziemia usunęła się spod nóg. Ten, który go zdradził i sprzedał, został skwitowany.

Moczar wie, że nie ma szans na władzę w Polsce. Ale wie też, że jest symbolem frakcji, która choć się rozłamała i potasowała, zachowała najsilniejszą pozycję w aktywie PZPR. Podczas ostatniego kongresu ZBOWiD'u — którego prezesem wybrano ponownie agenta moskiewskiego Wrońskiego — Moczarowi (wysuniętemu na skromne, pozbawione znaczenia stanowisko wiceprezesa Rady Naczelnej) sala zgotowała spontaniczną, burzliwą owację. Był on jedynym człowiekiem wybranym do władz ZBOWiD'u, którego popularność zaskoczyła wszystkich. Tym bardziej więc jest pewne, że Rosjanie nie dopuszczą go do władzy. Zorientowani towarzysze twierdzą zgodnie, że na jej sprawowanie Moczar jest poza tym za głupi i za prymitywny. Ale jego ludzie, ci którzy pozostali mu „relatywnie” wierni i zachowali wszystkie pozory wobec Rosjan, poczuli więcej gruntu pod nogami. Olszowski chodzi rozradowany, Kępa odzyskał dawną pewność siebie, choć dni jego były już policzone, Kąkol został w ciągu jednego tygodnia najpierw wiceministrem, a potem ministrem. Spodziewane są dalsze nominacje i awanse dla ludzi, których Szlachcic utracił jako byłych Moczarowców.

Rzecz jasna, wszyscy oni wyrzekli się — przynajmniej formalnie, na zewnątrz — swego nacjonalizmu, zmienili front o 180°, zostali skrajnymi internacjonalistami i rzecznikami ambasadora Piłotowicza. W jednym tylko się nie zmienili: w swoim antysemityzmie.

W ogóle, jeśli zastanowić się nad tym co łączyło całą opozycję antygomułkowską — Gierka i grupę śląską, natolińczyków, różne generacje i gałęzie moczarowskie, wreszcie dość długo i dobrze zakonspirowane koła rzeczników interesów sowieckich — znajdzie się tylko jeden wspólny mianownik wszystkich tych odłamów partyjnych; był nim właśnie antysemityzm. Kiedy jednak odsunięto od władzy w PZPR tzw. „grupę żydowską” i jej licznych sojuszników, nowa koalicja rozpadła się dość szybko, bo dzieliły ją sprzeczne interesy.

W ciągu trzech lat po obaleniu Gomułki nowa piramida partyjna wywróciła się już dwa razy. Pierwszy raz, gdy obalono Moczara; drugi, gdy wyrzucono Szlachcica. W Warszawie i Krakowie ludzie przyjmują zakłady (w dewizach zachodnich), że niedługo będziemy mieli trzecią „wywrotkę” piramidy partyjnej, która uporządkuje wszystkie sprawy pozostawione w spadku po poprzednich dwóch wstrząsach.

Jest charakterystyczne, że tymi, którzy tracili i tymi, którzy

korzystali na obu przesileniach PZPR byli ludzie frakcji nacjonalistyczno-moczarowskiej, ulegającej wewnętrznej dezintegracji. Gierkowcy i zaufani Rosjan siedzieli cicho, umacniając stopniowo swe pozycje. Aktywną grę o władzę prowadzili moczarowcy, w trakcie tej walki potasowali się, i jedni przegrali z krete-sem, a inni ponownie wypłynęli. Ale osobistej pozycji Gierka, ani decydujących w kraju wpływów Rosjan, nie byli i nie są w stanie podważyć. Narodowy komunizm w Polsce był mrzonką, która kraj naraziła na wielkie wstrząsy, trwoni do dzisiaj większą część energii sił działających w partii, a Polsce wyrządziła wielką krzywdę w opinii światowej. Walka o władzę w partii, prowadzona przez różne generacje moczarowsko-nacjonalistyczne, obezwładniła także Gierka i zdała go na łaskę i niełaskę Rosjan. Takie jest tło jego ustępliwości wobec presji sowieckiej.

W czasie nudnej gadaniny na „Forum Polonijnym” jeden z jego krajowych uczestników postanowił mnie rozerwać. Chcąc zilustrować opisane wyżej fluktuacje w PZPR, przyniósł mi dwa numery *Trybuny Ludu*. W numerze z 22 czerwca 1971 roku wskazał fotografie i życiorysy Moczara i Piaseckiego. Pierwszy z nich wylany z kierownictwa partyjnego szedł na wygnanie do NIK’u, drugi właśnie awansował do Rady Państwa na miejsce zajmowane niegdyś przez Jerzego Zawieyskiego ze *Znaku*. W *Trybunie Ludu* z 29 maja 1974 roku pokazał mi zamieszczone, także obok siebie, fotografie i życiorysy Szlachcica i Kąkola. I znów jeden z nich usunięty z sekretariatu KC otrzymywał jako figurant fikcyjne wicepremierstwo, a drugi niespodziewanie dostał fotel ministerialny. „Widzi pan — prawit mój rozmówca — jak oni zmieniają się parami. A przecież to ludzie należący niegdyś do tej samej frakcji partyjnej. Wspólnie dławili rozruchy studencie w marcu 1968. Wspólnie organizowali nagonki antysemickie. Wspólnie obalali Gomułkę w grudniu 1970, dopuszczając do takiego wzniesienia fali buntu, że musiała się skończyć rozlewem krwi. Zobacz pan — dodał na zakończenie tajemniczo — jak w niedługim czasie nowe zmiany w partii znów zmiotą jednych, a wysuną na czoło innych działaczy tej samej niegdyś frakcji moczarowsko-nacjonalistycznej”. Mogłem to zrozumieć tylko w ten sposób, że dostaną po głowie partyjni przyjaciele Szlachcica, a odkują się moczarowcy, którzy trzymali się od niego z daleka. Sam Moczar ma pozostać tylko symbolem.

W czwartym roku rządów Gierka szykuje się więc trzecie kolejne wywrócenie piramidy partyjnej. Nie będzie ono tak dramatyczne jak dwa poprzednie, bo stworzy nie tyle nowy układ w górze partyjnej, ile sformalizuje hierarchie faktycznie już istniejące i oczyści aktyw kierowniczy z pozostałości poprzednich układów personalnych. Mówi się, że Gierek chciałby wzmocnić swoją grupę, awansując Grudnia, Kowalczyka, Kanię, oraz mianując sekretarzem KC szczeniakovatego dzierżymordę z radia i telewizji Szczepańskiego. Mówi się o dalszym wzmocnieniu nadzorców sowieckich, skupionych wokół Jaroszewicza. Umocni

się też część byłych moczarowców, ale grupa ta (choć w tej chwili jeszcze w aktywie partyjnym bardzo liczna) ze względu na spowodowane przez nią perturbacje w partii decydującej roli nie odegra. Kierowniczy aparat partyjny ma zostać odmłodzony. Ważne stanowiska będą powierzone aparatczykom młodym, bezwzględnie posłusznym linii internacjonalistycznej, czyli aktualnej polityce sowieckiej, cynikom dbającym o własne interesy i nie myślącym o jakichś mrzonkach komunizmu narodowego (nie mówiąc już o liberalnym).

Ten wymarzony przez Rosjan obraz piramidy partyjnej może zostać jednak przewrócony przez społeczeństwo. Co prawda, część środowiska opozycyjnego popadła w rezygnację, zadawając się drobnymi przywilejami i częściowymi możliwościami publikacyjnymi. Co prawda, duża część społeczeństwa pochłonięta jest sprawami bytowymi. W Polsce zwolna powstaje jednak klasyczne społeczeństwo konsumpcyjne.

Ale przy tych wszystkich przejawach beziży społeczeństwa rośnie jego niechęć do reżymu, rosną trudności gospodarcze w kraju. Oba te czynniki mogą doprowadzić do niespodzianek szybciej, niż wydaje się to przysięgłym pesymistom.

Materiału wybuchowego jest w społeczeństwie polskim pod dostatkiem. Jedną z jego części stanowi młodzież zyskująca przewagę liczebną w społeczeństwie, stale jeszcze nieco zdezorientowana, ale bardzo wyraźnie nastawiona wrogo wobec reżymu. Młodzież ta nie ma przywódców politycznych. Ale trzeba być człowiekiem bardzo małej wiary, aby uważać, że tak liczne pokolenie nie powie w ogóle swego słowa w kwestii narodowej i w sprawie wolności.

W Polsce ludzie są dość wrogo usposobieni do Zachodu. Uważają, że reżym i Sowiety tu mają głównych sojuszników. Ustępliwość Zachodu w sprawach politycznych budzi przerażenie. Ludzie uważają za sensowne porozumienia z ZSSR, zapobiegające wojnie atomowej i, częściowo, umowy gospodarcze. Jednakże zbliżający się sukces sowiecki na genewskiej konferencji bezpieczeństwa europejskiego działa na społeczeństwo deprymująco. Niemal każdy wyrostek w Polsce wie, że po konferencji europejskiej wygasną pozory wolności w kraju, nastąpią drastyczne ograniczenia na odcinku kultury, przyjdzie uderzenie w kościół katolicki, skończą się ułatwienia w wyjazdach na Zachód, ostrzejsze tempo weźmie kurs na kolektywizację rolnictwa. Polacy mówią: wszyscy o tym wiedzą, ale kogo to na Zachodzie obchodzi?

Małą dla kraju pociechą jest fakt, że sukcesy sowieckie, uzyskane dzięki ustępliwości Zachodu, będą przez Rosjan obracane przeciw temu Zachodowi. Większe nadzieje budzi fakt, że w globalnej sytuacji światowej układ sił zmienia się na niekorzyść Rosji. Nadzieją są Chiny. Oczywiście w sensie politycznym, a nie ideologicznym.

Największą troską społeczeństwa polskiego jest to, żeby nieuchronny wybuch w kraju nie nastąpił w niesprzyjających wa-

runkach międzynarodowych; i w momencie, gdy w piramidzie władzy partii będzie panowała względna stabilizacja.

Najpoważniejsze oczekiwania wiąże społeczeństwo z przewidywanymi wstrząsami i zmianami w Rosji. Na ogół nie sądzi się, że opozycja w Rosji szybko podważy panujący system. Jej istnienie i rozwój są jednak bardzo ważne, oddziałują bowiem na sytuację w kierownictwie partyjnym KPZS. Epoka Breżniewa zdaje się nieuchronnie zbliżać ku końcowi. Przywódca sowiecki postarzał się i wygląda na bardzo zmęczonego. Każda zmiana warty na Kremlu grozi nieobliczalnymi konsekwencjami. Nie jest powiedziane, że nastąpią one już po odejściu Breżniewa; ale przy którejś kolejnej zmianie wodza partii sowieckiej musi wreszcie dojść do trzęsienia ziemi. Ścieranie się aparatu partyjnego, wojska i bezpieczeństwa w ZSSR stwierdzają nie tylko politolodzy na Zachodzie; odczuwają je także działacze partyjni w Warszawie.

Wszyscy myślący Polacy są przekonani, że imperium sowieckie nie będzie trwało wiecznie, że widać już na nim poważne rysy i pęknięcia. Nikt jednak nie ma złudzeń, że rozpad imperium dokona się z dnia na dzień. Troską większości, szczególnie środowisk intelektualnych, jest niemal zupełny brak przygotowania kraju do nowej sytuacji po wystąpieniu wstrząsów w Rosji.

Najbardziej znamieny jest fakt, że społeczeństwo bardzo uważnie śledzi sytuację w piramidzie władzy i wypadki w Rosji. Nie zabezpiecza to naturalnie przed możliwością buntów i wybuchów krzywdzonych robotników, lub innych środowisk społecznych. Polacy są jednak na ogół bardzo dobrze poinformowani o tym, co dzieje się w partii. Wykazują nieprzeciętne zainteresowanie rozwojem sytuacji w ZSSR. Obawiają się nowego rozlewu krwi w kraju, ale namiętnie pragną skutecznej akcji, która ograniczyłaby bezceremonialny dyktat sowiecki i samowolę kacyków partyjnych. W sumie obraz kraju nie jest nazbyt wesoły, ale w żadnym wypadku nie wolno go nazwać beznadziejnym. Walka o polską tożsamość narodową i o wolność kraju nie ustała, choć jest trudna i nie może być efektowna.

Wybierając się na następne imprezy polonijne z tym samym celem zorientowania się w sytuacji, podpisuję chwilowo mój artykuł

K. W.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

List do redakcji zaczynał się trwożliwie i tajemniczo: „Szanowny towarzyszu redaktorze! Czy wie Pan co zaszło u nas w Czeremuszkach, wczoraj, 15 września?”. Można było przypuszczać, że redaktor ogłaszając ten list 20 września wiedział co zaszło na południowym przedmieściu Moskwy — w Czeremuszkach. W każdym razie wszystkie gazety świata (naturalnie z wyjątkiem wychodzących w Związku Sowieckim i u jego wiernych sojuszników po cenzurze) ogłosiły szczegółowe dane o wypadkach. Można było zrobić to tym łatwiej, że świadkami było wielu zagranicznych korespondentów. Zaczęło się od tego, że grupa malarzy non-konformistów — to jest malarzy nie będących członkami oficjalnego Związku Sowieckich Artystów — zwróciła się z prośbą o pozwolenie zorganizowania „salonu jesiennego” na pustkowiu, na przedmieściu stolicy, pod otwartym niebem, celem pokazania swoich obrazów. Władze zwlekały i nie dawały odpowiedzi. Artyści oświadczyli, że pokażą je bez pozwolenia. Ale gdy tylko rankiem 15 września około dwudziestu malarzy rozłożyło swoje płótna, nie wiadomo skąd pojawiły się dziesiątki zdrowych chłopów w cywilu, którzy oświadczyli, że takie malarstwo im się nie podoba; następnie łapali obrazy i wrzucali je do ciężarówek, które się jednocześnie pojawiły; przybyły również buldożery, samochody do polewania ulic oraz walce do prasowania asfaltu. Zebranych ludzi rozganiano, bito, dostało się także dziennikarzom, których „wrogowie malarstwa” w cywilu pojedynczo wyławiali. W pobliżu stali milicjanci zycżliwie przyglądający się przejawom „gniewu ludu”. Milicja zaczęła działać dopiero wtedy, gdy przyszło do aresztowania malarzy-organizatorów wystawy.

Wszyscy obecni dziennikarze w taki właśnie sposób opisali to całe wydarzenie. W liście do redakcji wypowiedzieli się natomiast uczestnicy wydarzeń z drugiej — że tak powiem — strony barykad. W prasie zachodniej pisali ci, których bito. W czasopiśmie sowieckim (może nie bez znaczenia jest fakt, że pismo

to nazywa się *Sowietskaja Kultura*) piszą ci, którzy bili. Ściślejsz czterech z tych, którzy bili. Każdy z nich dokładnie podał swój zawód: tokarz, bohater pracy komunistycznej, technik radiowy — też przodownik pracy, elektromonter — jak dotąd jeszcze nie „szturmowiec”. Można by jeszcze dodać, że aresztowani malarze opowiadali — po ich zwolnieniu — że w komisariacie milicji, dokąd ich przyprowadzono, wisiało rozporządzenie: 15 września zjawić się do pracy po cywilnemu. Ci szturmowcy po cywilnemu piszą w swoim liście: Zjawili się nagle jacyś tam „nonszalancy, niechlujnie ubrani ludzie, którzy zaczęli wyciągać dziwaczne kolorowe płótna w ramach... Obrazy te miały — naszym zdaniem — wyraźnie antyartystyczny charakter i nie wzbudzały niczego innego poza obrzydzeniem i kpina”. Jest zrozumiałe, że prawdziwi znawcy prawdziwej realistycznej sztuki nie mogli tego znieść. Tym bardziej, że zjawili się również jacyś tam cudzoziemcy, którzy „demonstracyjnie fotografowali cały ten sabbat i brali w nim aktywny udział”; mało tego cudzoziemcy zaczęli bić „drużynników”... Po krótko: na żądanie prawdziwych znawców sztuki „wmieszali się 'drużynnicy' a na ich prośbę — milicja”.

Zdawałoby się, że wszystko dobrze się zakończyło. Tym bardziej, że jak wiadomo: „naród nie uznaje modernizmu. Opinia społeczna go odrzuca”. Tak pisze w czasopiśmie *Nasz Sowremiennik* (Nr 4/1973) S. Moźnugian w artykule pt. „Odrzucenie modernizmu”. Wyjaśnia on nawet dlaczego odrzuca się modernizm: „W warunkach ustroju socjalistycznego nie ma ani ekonomicznych ani światopoglądowych przesłanek do jego rozwoju”. S. Moźnugian przewiduje sprzeczny: „a czyż w niektórych krajach socjalistycznych (Jugosławii, Rumunii, Polsce i innych) nie ma artystów zajmujących się sztuką dla sztuki? Tak są. Ale modernizm w tych krajach znajduje się jak gdyby w obcym środowisku. W Związku Sowieckim „obcego środowiska” od dawna już nie ma i dlatego żaden modernizm nie będzie w nim tolerowany”.

Jak dotąd wszystko szło znanym torem: teoria i praktyka pokrywały się. Ale nagle coś się rozstroiło. Aresztowanych malarzy wypuszczono. Skazano ich na grzywnę, a oni odmówili jej zapłacenia. Mało tego, w dwa tygodnie po „gniewie ludu” w Czere-muszkach władze moskiewskie pozwoliły na zorganizowanie wystawy obrazów, tych samych „wywołujących obrzydzenie i kpiny” w drugiej dzielnicy Moskwy, w parku Izmailowo. I 29 września odbyła się pierwsza w ostatnim półwieczu wystawa obrazów nieaprobowanych przez cenzurę. „Cztery godziny wolności” — nazwał tę wystawę, która trwała cztery godziny, jeden z malarzy. Zjawili się kilka tysięcy mieszkańców dzielnicy aby obejrzeć obrazy — spokojnie dyskutowali z malarzami, prosili o wyjaśnienia — rozmawiali jak ludzie.

Może nie należałoby przeceniać znaczenia „jesiennego salonu”, ale nie można go nie doceniać. W twórczości rosyjskiego pisarza z XIX wieku, Iwana Gorbunowa, jest takie opowiadanie. Na

* Odpowiednik peerolowskiemu ORMO.

ulicy zebrał się tłum. Po co się zebrali — zapytuje przechodzień. — Bo właśnie — opowiadają mu — krawiec chce wylecieć balonem. A cóż to z nim! — przestraszył się przechodzień. Odpowiadają mu: — Wiadomo, że od dobrego życia nie ulecisz!

Nie „od dobrego życia” władze sowieckie zgodziły się na wystawę nienawistnych im obrazów „modernistycznych”. Zmuszone były to zrobić przestraszywszy się reakcji Zachodu: jednomyślnego potępienia działalności „przodowników pracy komunistycznej” w dniu 15 września.

Zgoda na wystawę to jeszcze jedno potwierdzenie nowej sytuacji: Związek Sowiecki jest zmuszony liczyć się z publiczną opinią Zachodu. Władze zmuszone są obecnie do manewrowania i brania pod uwagę nowego elementu: „Co na to powie Zachód”.

Z jednej strony represje rosną: Starają się zabić lub doprowadzić do obłądzenia w pojedynczych celach Władimira Bukowskiego i Walentina Moroza; w maju historyk literatury i tłumacz, Gabriel Superfin, został skazany na 5 lat łagru i 2 lata zesłania za „działalność antysowiecką”, przy czym wśród głównych punktów oskarżenia zarzucano mu „rozpowszechnianie rosyjskiego przekładu artykułu Leszka Kołakowskiego „Tezy o nadziei i beznadziejności”. W połowie lipca aresztowano pisarza Władimira Maramzina, którego oskarżono z art. 70 (art. 70 zastąpił osławiony paragraf 58) za opracowanie wierszy Josifa Brodskiego. Po raz pierwszy od procesu Siniawskiego i Daniela będzie z tego paragrafu sądzony pisarz. A jednocześnie — jeśli na Zachodzie zczytną już bardzo krzyk — to kogoś tam zwalniają lub pozwalają mu na wyjazd ze Związku Sowieckiego. Pod naciskiem senatu amerykańskiego rząd sowiecki, zdaje się, że zgodził się ustalić dostatecznie wysokie kwoty emigracji żydowskiej z ZSSR. Wolność na cztery godziny — wyrwana przez malarzy nonkonformistów władzom sowieckim, potwierdza skuteczność wypróbowanej już przedtem formuły: Odwaga w obronie swoich praw w kraju, przejawiana przez mniej lub więcej zorganizowane mniejszości (Żydzi, malarze, więźniowie polityczni) plus masowe, aktywne poparcie Zachodu.

Wszystko to co zdołano wyrwać władzom sowieckim to, jak dotąd, tylko kłucie szpilkami potwornego lewiatana — sowieckie państwo. Ból spowodowany tymi ukłuciami leczy ono starymi wypróbowanymi sposobami. Jeśli nie zawsze można je stosować w całej stalinowskiej okazałości, zawsze można o tym pomarzyć. Tak więc, od szeregu miesięcy nie można otworzyć sowieckiej gazety, żeby nie zobaczyć tytułów: „magistrała wieku”, albo „największa budowa stulecia”. Mowa tu o linii kolejowej, która dublując syberyjską magistrałę łączącą Moskwę z Dalekim Wschodem, otworzy dla przemysłowego rozwoju najbogatsze rejony Syberii, Jakucji i Dalekiego Wschodu. W opisach tego gigantycznego projektu (linia będzie wynosiła 3.600 km. i przejdzie przez rejony wiecznej zmarzliny, przez obszary w których nie ma żadnych dróg, przez tajgę i tundrę) uderza jego oficjalna nazwa: BAM, co po rozszyfrowaniu znaczy Bajkało-Amurska Magistrała.

Można przypuszczać, że BAM dźwięczy mrocznym, pogrzebowym dźwiękiem dla wielu sowieckich obywateli. Rzecz w tym, że BAM zaczęło budować jeszcze w połowie lat trzydziestych, a później — w okresie wojny i krótko po niej zbudowano około 1.000 km. drogi kolejowej. Kolej budowali więźniowie. BAM był jedną z najstarszych wysp „Archiplagu Gułag” (w książce A. Sołżenicyna jest o niej wiele wzmianek). Ci, którzy nie mogli dostać książki Sołżenicyna, mogą przeczytać zapiski podróże inż. Aleksandra Pobożja [Nowyj Mir nr 8 (1964)], w których mógł on — po raz pierwszy i ostatni w cenzurowanej prasie — opowiedzieć o budowie przez więźniów kolei żelaznych na północy. W tych latach kiedy budowano te koleje — lata trzydzieste, czterdzieste i pięćdziesiąte — pisano w gazetach: „Komsomolcy-entuzjaści otwierają drogę na północ”. Dzisiaj prasa sowiecka nazywa BAM „główną budową Komsomolu”. Tradycje stalinowskie zachowuje się za wszelką cenę... Jest tylko jeden nowy element: rząd sowiecki prowadzi pertraktacje z Japonią o kredyty i sprzęt dla BAM. Możliwe, że w razie otrzymania japońskich kredytów, dla budowy BAM potrzeba będzie mniejszej ilości więźniów sowieckich.

Ma się wrażenie, że nie przypadkowo właśnie teraz, kiedy podniesiono w prasie sowieckiej taki hałas wokół „budowy Komsomolu” wydaje się w setkach tysięcy egzemplarzy biografię jednego z inicjatorów BAM, planującego tę budowę jeszcze w roku 1940 — Nikołaja Wozniesińskiego. W lipcu br. biografię Wozniesińskiego, napisaną przez jego b. sekretarza W. Kołotowa, ogłosił miesięcznik *Znamia*, a 25 sierpnia br. *Prawda* zamieściła recenzję tej biografii, która błyskawicznie ukazała się w wydaniu książkowym. Biografia Kołotowa nazywa się „Zwrócone w przyszłość”. Recenzja w *Prawdzie* jest zatytułowana „Komunista, uczoney, organizator”. Rzutuje się w przyszłość wzór sowieckiego ekonomisty, który przede wszystkim powinien być komunistą. Takim jak Nikołaj Wozniesiński. Książka zaczyna się od szczęśliwego przypadku losu: „Rozległ się dzwonek telefoniczny... Towarzysz Wozniesiński? Jutro o godzinie 12-tej wasz raport o uporządkowaniu terminów dalszych prac w ustaleniu ogólnonarodowego planu gospodarczego na 1938 rok na posiedzeniu Sownarkomu. — Tak, na posiedzeniu Sownarkomu. — Ale przecież ten raport powinien złożyć przewodniczącym. — Wy właśnie, towarzyszu Wozniesiński, jesteście przewodniczącym. Z dniem dzisiejszym przekazane są wam obowiązki przewodniczącego Gosplanu. Sprawa jest uzgodniona z towarzyszem Stalinem”. Tak w grudniu 1937 roku 34-letni Wozniesiński zostaje przewodniczącym Gosplanu ZSSR. Jego poprzednik, Walery Mieżłauk, został w nocy zaaresztowany i po 7 miesiącach rozstrzelany. Nominacja Wozniesińskiego była niewątpliwie zaskoczeniem, które jednak mija po zapoznaniu się z jego biografią napisaną przez Kołotowa. Wozniesiński w czasie swego krótkiego życia był przygotowany do zajmowania najwyższych stanowisk państwowych. Wykształcenie: początkowo uniwersytet komunistyczny, potem Instytut Czerwonej Profesury: pepiniera stalinowskich wilcząt:

Mechlisa, Susłowa, Ponomarewa, Pospiełowa... Działalność w latach nauki: W. Kołotow z dumą przypomina, że w styczniu 1931 roku „młody uczoney-komunista” Wozniesiński ogłasza w czasopiśmie *Bolszewik* krytykę artykułu „byłego mienszewika”, prof. ekonomii Rubina, w której naukowa polemika przekształca się w rzeczywisty donos: „Rubin... ustawia się na pozycjach apologetyki kapitalizmu... Przemycia idealistyczną strawę i burżuazyjne teorie...”. Swój donos Wozniesiński smaży natychmiast po arestowaniu prof. Rubina, w grudniu 1930 roku. Można przypuszczać, że donos „uczonego komunisty” był wykorzystany w czasie śledztwa. Z książki Roja Miedwiediewa „Pod sądem historii” dowiadujemy się o strasznych torturach, którym poddany był Rubin, który zagał bez śladu w jednym z więzień w 1937 roku. W. Kołotow z dumą opowiada jak jeszcze w 1927 roku, będąc sekretarzem komitetu partyjnego w Jenakijewskich Zakładach, Wozniesiński domagał się od robotników zgody na podniesienie norm i obniżenie zarobków. Gdy w 1932 roku, pracując w Komisji Sowieckiej Kontroli i sprawdzając dane statystyczne dotyczące śmiertelności ludności, Wozniesiński przeczytał w dziale „Przyczyny śmierci” notę: „umarł z głodu”. „Komunista-uczoney” nie polecił się by pojechać na miejsce gdzie żył zmarły. Jego przypuszczenie potwierdziło się — zapewnia Kołotow — notatka okazała się fałszywa. A było to w okresie najstraszliwszego głodu w historii Rosji. Stalin w rozmowie z Churchillem przyznał, że wtedy zginęło 10 milionów — jak ich określił — kułaków. W powieści znanego pisarza sowieckiego W. Tendriakowa „Konczyna” można przeczytać: „Przez kraj szedł głodny rok 1933. W rejonowym mieście Wochrowo... umierali wysłani z Ukrainy rozkułaczeni chłopci. Było rzeczą normalną, że nad ranem widziało się trupy...”. Wozniesiński — jak opowiada W. Kołotow — przeprowadził prawdziwy pogrom w tym miasteczku, gdzie w rubryce przyczyna śmierci podawano rzeczywisty powód.

„Trzeba zaznaczyć — z zadowoleniem odnotowuje biograf — że Wozniesiński miał ostry charakter — cechę wielu silnych indywidualności”. To całkowicie słuszna uwaga: „Ostry charakter”, bezlitosny stosunek do ludzi, chamskie, pogardliwe odnośnienie się do podwładnych — to cechy charakteru, które wysoko cenił Stalin u swoich służalców. Wszystkie te cechy posiadał główny stalinowski planista, inicjator „wielkich budowli komunizmu”. Wozniesińskiego przypomina działacz szkoły stalinowskiej, opisany w powieści Aleksandra Beka „Nowoje naznaczenie”, który w odpowiedzi na zapytanie skąd wziąć ludzi na budowy na Syberii — odpowiedział: „To jest przewidziane. Polecono Berii sformowanie dla nas kolumn roboczych. W jego systemie ludzie starczy, jak i wszystkiego innego. Beria nieźle się zarekomendował. Zna swoje zadanie: ogradza się drutem kolczastym i... praca wre”.

Wrzała ona do 1949 roku kiedy to, osiągnąwszy najwyższe szczyty władzy, członek Politbiura Nikołaj Wozniesiński został arestowany i w 1950 roku rozstrzelany. Książka Kołotowa koń-

czy się elegijnie: „Zbyt młody był Nikołaj Aleksiejewicz by umierać: skończył się kiedy nie miał jeszcze 50-ciu lat i był w pełni rozwoju i talentu”.

Oficjalna rehabilitacja Wozniesińskiego miała miejsce w 1963 roku. Wówczas, w artykule ogłoszonym w *Prawdzie*, członek korespondent Akademii Nauk G. Sorokin jeszcze pisał, że Wozniesiński był ofiarą kultu jednostki. W tymże samym 1963 roku tenże W. Kołotow wraz z G. Pietrowiczewem ogłosił w *Politizdacie* broszurę, w której szczegółowo opisywał ostatnie miesiące życia Wozniesińskiego, który w trwodze oczekiwał aresztowania i nie mógł zrozumieć dlaczego Stalin zdjął go z roboty — jego wiernego aż do śmierci stalinowca. Dzisiaj Stalin jest przedstawiony w biografii jako mądre bóstwo, wysoko ceniące talenty i charakter Wozniesińskiego — wiernego sługi partii.

Fałszerstwa, jawne kłamstwa, wygładzenia, nie mogą jednak całkowicie ukryć charakteru „silnego” przywódcy, o którym tak marzą dzisiaj na szczytach sowieckich.

O fałszerstwie zupełnie innego rodzaju — ale także możliwe go jedynie w warunkach sowieckich, mówi niedawno wydana przez Al. Sołżenicyna książka pt. „Stremia Tichowo Dona”. Sołżenicyn w książce tej dał tylko krótką przedmowę, notę biograficzną i przygotował tekst do druku. Sam tekst jest pióra zmarłego niedawno sowieckiego historyka literatury, którego nazwiska jednak — jak pisze Sołżenicyn — nie ma jeszcze odwagi ogłosić. Nazywa go D.

Podtytuł książki „Tajemnice powieści”. Temat — tajemnice powieści „Tichyj Don”. Zagadek jest wiele: kto napisał „Tichyj Don”? Jaka jest rola Szołochowa? Jaki jest rzeczywisty tekst powieści? Niestety — i to trzeba z miejsca powiedzieć — D. swojej pracy nie ukończył, właściwie ją dopiero zaczął. Ale i to co zrobił zasługuje na najwyższą uwagę. Pytanie o autorstwo „Tichowo Dona” nie jest nowe. Powstało od razu po ukazaniu się w 1928 roku I-go tomu powieści, a w 1929-tym II-go. Dynamika powieści, żywość charakterów, głęboka znajomość historii, kultury, folkloru Donu, ścisłość przeżyć wojennych — frapowały. Tym bardziej frapowały, że książkę podpisał 23-letni Michaił Szołochow, który nic o tym nie mógł wiedzieć, czego dowodem były jego opowiadania. Przeskok od literackiej nędzy „Dońskich opowiadań” do literackiego arcydzieła „Tichyj Don”, przeskok, który nastąpił w ciągu kilku miesięcy, wydawał się współczesnym zupełnie nieprawdopodobny. Uporczywa plotka, że Szołochow znalazł rękopis (albo nawet rękopisy) białego oficera, który wykorzystał, plotka którą nawet ogłaszano drukiem, została urwana po ukazaniu się w *Prawdzie* 29 marca 1929 roku listu, podpisanego przez pięciu przywódców rosyjskiego Związku Pisarzy Proletariackich, w którym groziło się „pociągnięciem do odpowiedzialności sądowej” za rozpowszechnianie „złośliwego oszczerstwa pod adresem Szołochowa”. A szereg miesięcy później i sam Stalin w odręcznym liście nazwał Szołochowa „wielkim pisarzem naszych czasów”. Tu — jak pisze Sołżenicyn —

„nie ma dyskusji”. Wątpliwości jednak pozostały. Tym bardziej, że nikt nigdy nie widział rękopisów Szołochowa. Twierdzi on obecnie, że „zostały spalone w okresie wojny”. Ale i przed wojną ich nie widziano. Opis manuskryptu przesłanego w 1928 roku do redakcji miesięcznika *Oktjabr* (znajdujemy go w biografii Szołochowa napisanej przez I. Leźniewa) jest tak dziwny, że sam w sobie wystarczy dla stwierdzenia plagiatu. D. zdążył zrobić analizę tekstu powieści łatwo wykazując przeciwności, grube błędy, wtręty pióra tego, kto chciał nadać rękopisowi bardziej strawny charakter dla sowieckiego pisma. D. określa główny trzon powieści, który nie może być pióra Szołochowa, oraz poprawki i uzupełnienia należące do laureata nagród stalinowskiej, leninowskiej i Nobla. Ponadto D. pierwszy wymienił „kandydata do prawdziwego autorstwa „Tichego Donu”. Jego zdaniem — a przytacza na to poważne dowody — autorem powieści był znany pisarz kozacki Fiedor Kriukow, oficer armii Dońskiej, który zmarł na tyfus w 1920 roku. Do ostatniej chwili życia nie rozstawał się z kuferkiem, w którym przechowywał rękopisy. Po śmierci Kriukowa rękopisy zniknęły. D. cytuje świadectwa, że Fiodor Kriukow napisał powieść pod tytułem „Tichyj Don”.

Sołżenicyn w przedmowie podkreśla: Tajemnica „Cichego Donu” nie jest wyjaśniona, chociaż wiele rzeczy jest już jasnych, należy kontynuować pracę zmarłego badacza, aby — jak to określa — czytać wielką książkę... bez galimatiasu, nawarstwień, wstawek, skażeń i opuszczeń, aby przywrócić jej znaczenie niepowtarzalnego i nieodpartego świadectwa tego strasznego czasu.

Można do tego jeszcze dodać, że byłoby ciekawe wyjaśnić dlaczego Stalin, który niewątpliwie znał prawdę o autorstwie „Tichego Donu”, pozwolił Szołochowowi przywłaszczyć sobie książkę.

Adam KRUCZEK

Kronika bałtycka

Od pierwszych dni sierpnia gdy ogłoszono, że rząd australijski uznał *de jure* inkorporację trzech państw bałtyckich do Związku Sowieckiego, minęły już dwa miesiące a fala protestów w Australii wciąż nie ustaje. Były o zmierzchu pochody uliczne z pochodniami, a w dzień kawalkady z transparentami przez główne ulice *city*. Były też wiece-narady w siedzibach organizacji estońskich, litewskich, łotewskich a często i w Domach Polskich, zwłaszcza w mniejszych miastach, gdzie mniej liczne emigracje Bałtów nie miały własnych lokali. Dziesiątki listów do redakcji ukazywało się, tak w wielkich dziennikach stołecznych, jak też w pismach prowincjonalnych, a nawet lokalnych na przedmieś-

ciach. Po dwóch miesiącach ukazał się w dodatku literackim wielkiego dziennika wiersz poety australijskiego na ten temat. Akcja ta mogła się rozwinąć nie tylko dzięki energii Bałtów, ale także dzięki wydatnemu poparciu pravicowej opozycji parlamentarnej, moralnemu poparciu kościołów katolickiego i luterńskiego, oraz różnych grup społecznych. Kardynał Knox odjeżdżając do Watykanu, gdzie zajmuje wysokie stanowisko, wyraził w ostrych słowach potępienie decyzji rządu. Biskup Mulkearns, przewodniczący narodowej komisji dla spraw pokoju i sprawiedliwości, wystosował pismo protestacyjne do premiera rządu federalnego. Na wiecach Bałtów przemawiali czołowi politycy partii liberalnej. Były też interpelacje w parlamencie. Gorące poparcie opozycji parlamentarnej umożliwiło rozmach akcji protestacyjnej, ale też wiązało ją poniekąd z polityką partyjną, co ma dobre i złe strony.

Bałtów przybyło do Australii po wojnie około 40 tysięcy. Razem stanowią oni najwyższą 3 pro mille ludności. Najlicniejsi są Łotysze, nieco ponad 20 tys. Pomni, że dynamiczna grupa narodowościowa może w momencie kryzysu przyczynić się do przeważenia szali, co miało miejsce w czasie rewolucji rosyjskiej, gdy mówiono, że władza bolszewicka trzyma się na łotewskich bagnetach, głupocie Rosjan itd.

Akcja propagandowa jest dobrze pomyślana. Nie wspomina o wyborach, które doprowadziły do prawnego włączenia do Zw. Sowieckiego, bo Australijczycy by nie uwierzyli, że wybory mogą być całkowicie sfalszowane. Przypominany jest fakt podziału stref wpływów, pakt Ribbentrop-Mołotow, i co za tym idzie podobizny Hitlera i Stalina, którzy to zdecydowali oraz premiera australijskiego, który to przypieczętował. Zamieszcza się fotokopie świeżej daty — depesz przedwyborczych australijskich ministrów, zapewniających, że nadal nie będą uznawać inkorporacji. Estończycy np. mają kolekcję fotokopii podpisów Mołotowa i Ribbentropa, tegorocznych zapewnień Kissingera a nawet nowego prezydenta G. Forda, że nie uznają inkorporacji.

Materiały te są rozpowszechniane m.in. w postaci angielskich wkładek do tygodników, wydawanych przez Bałtów.

Rząd, który występował zawsze jako obrońca dążeń do niepodległości (od dawna popierał Frelimo), starał się te protesty ignorować. Ale opozycja, która, łącznie z bezpartyjnymi, ma w senacie większość, uchwaliła wotum nieufności ministrowi spraw zagranicznych z racji decyzji o uznaniu inkorporacji. Jest to bodaj dopiero drugi taki wypadek w dziejach Australii, ale według konstytucji nie powoduje dymisji ministra. Gdy premier Whitlam udał się do Ameryki na otwarcie Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych, miały go oczekiwać wrogie demonstracje Bałtów na lotnisku nowojorskim, ale było cicho i pusto. Według informacji Bałtów, przemilczanej w prasie, premier zmienił samolot i marszrutę, aby uniknąć tego spotkania. Do konfrontacji doszło podobno w Kanadzie. Chociaż przywódca opozycji przed gmachem parlamentu w Canberze wobec parutysięcznego tłumu Bał-

tów obiecał, że gdy dojdzie do władzy, to sprawę uznania *de jure* ponownie rozpatrzy, to jednak Bałtowie się nie łudzą, że już klamka zapadła. Robią hałas na cały świat na pokaz Amerykanom i Kanadyjczykom, by wykazać, że taka decyzja przyprawia jednak rząd o kłopoty. Gdy Bałtowie demonstrowali w Canberze 18 września, tegoż dnia były zsynchronizowane demonstracje na trzech kontynentach m.in. w Londynie, New Yorku itd.

Rząd i konsulaty australijskie i nowo-zelandzkie zasypywane protestami udzielały wyjaśnień, że sytuacja w tych krajach jest ustabilizowana, bez wojny atomowej nie ulegnie zmianie, że rząd nie usprawiedliwia sposobu przeprowadzenia inkorporacji, ale liczy się z realnym układem sił, a uznanie umożliwi wizyty posła australijskiego w tych krajach i opiekę nad kontaktami swych obywateli z rodzinami w Sowietach. W Australii jest zaledwie kilkuset nie naturalizowanych Bałtów i nie będą oni podlegać ewentualnym żądaniom ekstradykcji rządu sowieckiego.

W związku ze zwrotem o realnym układzie sił warto przytoczyć pewien „polonik”.

Szef dyplomacji litewskiej, St. Łozorajtis, rezydujący w Rzymie, który piastuje to stanowisko z nominacji przezornego prezydenta Smetony, wydanej legalnie za jego urzędowania jeszcze w Kownie, wystosował notę do australijskiego ministra spraw zagranicznych, w której czytamy: „W końcu wciąż pozostając na płaszczyźnie realnego układu sił, muszę skonstatować, że krok rządu australijskiego w stosunku do Litwy nabiera specjalnie tragicznego znaczenia, bo we wrześniu 1939 roku niemiecki rząd nacjonal-socjalistyczny zażądał, aby Litwa razem z Reichem wystąpiła przeciw Polsce.

Rząd litewski odmówił uznania realnego układu sił (potęgi niemieckiej) i utrzymał swą neutralność. Na skutek tego w tajnym porozumieniu Ribbentrop-Mołotow z dnia 23 września tegoż roku, Hitler odstąpił Litwę Związkowi Sowieckiemu, otwierając w ten sposób drogę do sowieckiej agresji wobec Litwy”.

Reasumując, akcja protestacyjna Bałtów w Australii była prowadzona sprawnie i umiejętnie, można by jedynie odciąć się od obelżywych ataków personalnych na osobę premiera. Akcja ta miała poparcie Ukraińców i częściowo innych grup uchodźców, polskiej emigracji politycznej i znacznej części społeczeństwa, w odróżnieniu od przeciwników kolaboracji z b. kolaborantami, jak też współczesnych kolaborantów.

O ile przeszłoroczna „heca” z Chorwatami okrzyczanymi jako spadkobiercy Ustaszki, spowodowała ich zdyskredytowanie w opinii australijskiej i odstręczyła innych uchodźców od tworzenia wspólnego frontu, o tyle druga „heca” z Bałtami, dzięki poparciu prasy, przynajmniej w pierwszej rundzie nie zaszkodziła opinii Bałtów i raczej zachęciła uchodźców do tworzenia wspólnego frontu. Toteż państwowa rozgłośnia radiowa dnia 6 października podała wiadomość, że w Sydney obraduje kongres wspólnot środkowo-wschodnio-europejskich, reprezentujący ćwierć miliona Bałtów, Polaków, Ukraińców i innych.

Rzeczywiście kongres taki się odbył. Przybyło 6 delegacji z pełnomocnictwami federalnych rad tych ugrupowań, oraz kilka bez uprawnień, lecz biorących żywy udział w obradach. Jak w każdym międzynarodowym zgromadzeniu, były różnice zdań, ale nie było kłótni. Jedni twierdzili po co tworzyć nową organizację kiedy istnieje Antybolszewicki Blok Narodów (ABN) — niech wszyscy do niego wstąpią. Inni wskazywali, że jest to zbyt wąski zakres tylko ideologiczno-polityczny, i nie dodawali głośno, że główna siedziba tej organizacji w Niemczech Zachodnich, nie zachęca do udziału itd. Inni znów twierdzili, że są komitety Ujarmionych Narodów — włączyć się do nich. Wskazywano, że na czołowych stanowiskach są w nich nieraz politycy australijscy a na listach członków Wietnamczycy i inni Azjaci, którzy nie dzielają naszych zainteresowań. W drodze kompromisu uchwalono powołać do życia wspólny sekretariat — biuro informacyjne, niezależny od tych organizacji, a współpracujący z tymi czy innymi organizacjami i zwołać zebranie delegatów organizacji młodzieżowych oraz delegatów rad naczelnych. Uchwalono też deklarację polityczną w duchu deklaracji praw człowieka, która nikogo, prócz komunistów, nie urazi i również Australijczykom może się podobać. W pierwszym okresie sekretariat obejmie Estonka, wybór trafny, bo to jedyny naród nie mający sporów terytorialnych z innymi partnerami tego zgromadzenia a poza tym podobnie jak łotewska protokolantka tych obrad — ma wyrobienie polityczne, bo obie panie kandydowały już w wyborach australijskich. Udział Polaków wyraził się m.in. tym że przewodniczył obradom red. Dunin-Karwicki.

Są to pierwsze pobieżne wrażenia, zapewne oficjalne sprawozdania dadzą więcej materiału.



Po ukazaniu się konspiracyjnej Kroniki Kościoła Katolickiego Litwy Nr 8, była dłuższa przerwa, spowodowana masowymi re wizjami celem jej wykrycia. Po kilku miesiącach dotarły na Zachód numery 9 i 10.

Kroniki te, niektóre po 125 stron, są obecnie wydane w Ameryce w angielskim tłumaczeniu. Tom liczy 336 stron.

Na uniwersytecie wileńskim są kursy lituanistyki dla studentów z zagranicy. W tym roku przyjęto 20 studentów, przeważnie z USA.

O dziwnych zmianach w czasie procesów Brazyjskich pisaliśmy. Obecnie zaszła nowa zmiana ról. Turcy zwolnili ich z więzienia i mogą wyjechać, ale Stany Zjednoczone nie chcą ich przyjmując jako renomowanych „porywaczy”.

E. ŻAGIELL

Sprawy i troski

Skrzynka gen. Sikorskiego

Kwestia £ 700.000 jest na marginesie tematu. Ale nie lekceważmy marginesów! Nierzadko z perspektywy lat glossy okazują się ważniejsze, niż tekst główny.

W liście zamieszczonym w ubiegłym numerze *Kultury* pisze amb. E. Raczyński, że „rozsiewanie wiadomości, że śp. Karol Poznański dysponował na jakieś nieokreślone cele kwotą £ 700.000 ze źródeł polskich posiada cechy znieśławienia, których dr Poznański, gdyby żył, nie przepuściłby bez stanowczej, prawdopodobnie prawnej, reakcji”. Informacja na temat £ 700.000 ma już trzy lata i artykuł w *Kulturze* wyraźnie podaje autora informacji i miejsce jej publikacji. Gdyby wiadomość była naprawdę znieśławiająca, to nie trzeba zasłaniać się duchem zmarłego K. Poznańskiego. Konsul jest odpowiedzialny przed Ambasadorem, Ambasador jest odpowiedzialny za Konsula*, można więc było reagować jak najbardziej stanowczo, nawet prawnie, trzy lata temu, gdy Adam Pragier, minister informacji w ostatnim uznawanym rządzie polskim w Londynie, ogłaszał interesujące wspomnienie o „Ostatnim Konsulu Generalnym niepodległej Polski”. Zważsza, że ogłaszał je nie w piśmie zagranicznym, słabo docierającym do Londynu, a w czysto londyńskich *Wiadomościach* Nr 1327 z 5. 9. 1971). Bardziej niż jakiegokolwiek reakcje przydałyby się rzeczowe informacje ze źródeł oficjalnych. W braku takowych wystarczyć muszą okruchy informacji zawarte w przygodnych

* O pracach Komitetu Obywatelskiego b. konsul Poznański pisze m.in.: „Żadna wypłata nie mogła być uskutecziona bez uprzedniego zatwierdzenia jej przez Ambasadora, którego podpis na czeku stanowiącym wypłatę był konieczny obok podpisu członka Zarządu” (cytat zaczerpnięty z publikacji „Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Londynie 1940-1965”; w dalszym tekście artykułu źródło to będzie oznaczane skrótem „Kom. Ob.”).

źródłach. Pierwszym z nich to wyżej wymienione wspomnienie prof. Pragiera. Pełny tekst odnośnej jego części następujący:

„Komitet Obywatelski rozporządzał znaczną, jak na nasze stosunki, sumą około £ 700.000. Ale nie znalazły się one same: trzeba je było wywojować.

Gdy gen. Sikorski ostatni raz odwiedził prezydenta Roosevelta otrzymał od niego do osobistej dyspozycji sumę 1.250.000 dolarów. Ten dar nie był obwarowany żadnymi warunkami, z domniemaniem, że gen. Sikorski użyje go na cele jakie uzna za najwłaściwsze. Gen. Sikorski przywiózł był do Londynu wielką okutą skrzynię zawierającą te dolary, w małych odcinkach by było łatwo użyć je w kraju, gdyby chciał je tam przesłać. Gen. Sikorski złożył tę skrzynię jako depozyt w Banku Polskim i nie naruszył jej zawartości do końca życia.

Byłem przez kilka lat członkiem Komisji Rewizyjnej Banku Polskiego i miałem sposobność co roku stwierdzić, że ze skrzyni nie nie ubywało. W księgach Banku Polskiego zawartość tej skrzyni nie figurowała wśród aktywów Banku, lecz zapisana była jako 'depozyt gen. W.S.' bez wymieniania żadnej sumy.

Gdy większość dyrekcji Banku Polskiego poddała się administracji warszawskiej i przekazała jej Bank, komuniści warszawscy chcieli także położyć rękę i na tym depozycie. Nie zgodzili się jednak na to Anglicy, gdyż depozyt nie był własnością Banku lecz gen. Sikorskiego. Nie pozostawił on w testamentie żadnego wskazania co z tym zrobić, ale było niewątpliwe, że jego intencją było zawsze użycie skrzyni na potrzeby Polaków, nie zaś dla komunistów. Konsul i ambasador Raczyński zdołali wyperswadować władzom brytyjskim że najbardziej zgodne z intencjami gen. Sikorskiego, jako niewątpliwego właściciela depozytu, będzie przekazanie go na różnoraką pomoc dla Polaków w Wielkiej Brytanii i w ogóle w wolnym świecie oraz że organizacją najbardziej powołaną do spełnienia tego zadania jest Komitet Obywatelski”.

Ten sam autor wydał w 1966 roku w Londynie tom pamiętników zatytułowany „Czas Przeszły Dokonany”. Interesujące nas wypadki przedstawione są tam na stronach 902-3 w sposób poniższy:

W Banku Polskim w Londynie, mieszczącym się w skarbcu udzielonym przez Bank of England, znajdował się depozyt 1.250.000 dolarów, w niewielkich odcinkach. Ta suma nie należała bezpośrednio do skarbu państwa. Była ofiarowana gen. Sikorskiemu do osobistej dyspozycji przez prezydenta Roosevelta, w czasie wizyty gen. Sikorskiego w Waszyngtonie. Gen. Sikorski nie uważał jej za swoją własność i nie dysponował nią, lecz przekazał ją jako depozyt do Banku Polskiego. Po jego śmierci także sumy tej nie naruszano, choć zgodnie z wolą gen. Sikorskiego rząd miał prawo nią dysponować. Byłem członkiem komisji rewizyjnej Banku Polskiego i w czasie dokonywania kontroli skarba Banku Polskiego, kilkakrotnie miałem sposobność oglądania zawartości wielkiej skrzyni, w której mieścił się 'depozyt generała broni W.S.'. Nie był on wykazywany w zasobach Banku Polskiego, lecz traktowany odrębnie. Na krótki czas przed cofnięciem uznania rządowi polskiemu, Prezes N.I.K. Tomaszewski zwrócił uwagę Kwapińskiemu na potrzebę uratowania tego depozytu. Było to możliwe po prostu przez zabranie skrzyni ze skarba Banku Polskiego, gdyż prawa rządu do tej skrzyni Bank Polski nie kwestionował. Kwapiński nie chciał zabrać skrzyni, tłumacząc, że nie ma pomieszczenia, w którym mógłby ją przechować i obawia

się pomieścić ją w jakimkolwiek mieszkaniu prywatnym. Po cofnięciu uznania rządowi polskiemu, depozyt w Banku Polskim, został przejęty przez Interim Treasury Committee, co pozbawiło skarb państwa poważnych zasobów, gdy były najpotrzebniejsze. Tylko część depozytu uratowano, gdy w ostatniej niemal chwili wyjęto 500.000 dolarów ze skrzyni, z przeznaczeniem na cele krajowe. Nie znalazła się ona jednak w ręku Kwapińskiego, gdyż nie chciał jej przechowywać.

Interim Treasury Committee dał się po długich rozmowach przekonać, że depozyt, będący formalnie własnością gen. Sikorskiego, a oddany przez niego do dyspozycji rządu, nie powinien być traktowany na równi z sumami znajdującymi się w kasie i na rachunkach bankowych rządu i nie przekazał go rządowi warszawskiemu. Że jednak rząd polski w Londynie nie był już przez rząd brytyjski uznawany, nie zwrócono depozytu rządowi polskiemu. Interim Treasury Committee przeznaczył go na dotacje dla niektórych instytucji polskich. Kwapiński 19 grudnia 1946 roku usprawiedliwił się na Radzie Ministrów z bezczynności swojej w tej sprawie, wskazując że depozyt ostatecznie nie został utracony, gdyż korzystają z niego instytucje polskie. Nie jest to przekonywujące, gdyż Interim Treasury Committee porozdzielał depozyt według własnego uznania, nie zaś według takiej oceny potrzeb, jaką by zastosował rząd polski, gdyby mógł nim dysponować”.

Na zakończenie jeszcze jedna wersja, pochodząca tym razem od samego K. Poznańskiego („Kom. Ob.”, str. 25):

„Zaraz po uformowaniu się, Zarząd nowego Komitetu zwrócił się do Premiera Rządu R.P., który wciąż jeszcze formalnie funkcjonował, i prosił o przyznanie ze Skarbu Państwa funduszy, które umożliwiłyby Komitetowi działalność opiekuńczą, zakrojoną na dłuższy metę. Rząd zaaprobował cele Komitetu, odniósł się przychylnie do prośby o fundusze i po pewnym czasie wyasygnował na rzecz Komitetu stosunkowo pokazną na ówczesne czasy sumę £ 42.000. Decyzja rządu co do wypłaty tej sumy nastąpiła jednak dopiero na parę dni przed cofnięciem mu uznania, w chwili, kiedy wszystkie polskie państwowe konta bankowe w Wielkiej Brytanii były już przez Rząd brytyjski zablokowane (zablokowanie nastąpiło w dniu 2 lipca 1945 roku, na trzy dni przed cofnięciem uznania), na skutek czego Komitet nie zdążył już zainkasować przyznanej mu dotacji. Dopiero później, w wyniku parotgodniowych pertraktacji przeprowadzonych z władzami brytyjskimi, Treasury (Brytyjskie Ministerstwo Skarbu) wyraziło zgodę na odblokowanie tej kwoty i na wypłacenie jej Komitetowi, który otrzymał ją za pośrednictwem urzędującego już podówczas Interim Treasury Committee for Polish Questions. Wypada w tym miejscu zaznaczyć, że inne organizacje polskie, którym rząd również asygnował pewne dotacje, nie otrzymały przeznaczonych dla nich pieniędzy z powodu sprzeciwu ze strony Treasury; ...”.

Analiza powyższych tekstów prowadzi do następujących wniosków co do ich wiarygodności.

1. Pragier z 1971 roku jest źródłem najbardziej wątpliwym; jest w sprzeczności z samym sobą sprzed pięciu lat; nie podaje jak dochodzi do sumy £ 700.000 (w tamtych czasach 1 funt angielski = 4 dolary amerykańskie, więc 1.250.000 dolarów = 312.000 funtów, możliwe że używa późniejszego kursu wymiany i dodaje inne sumy otrzymane później przez Komitet Obywatelski, albo inne organizacje); wygląda na to że pisząc nie używa źródeł, a polega na zawodzącej go pamięci.

2. *Pragier* z 1966 roku jest źródłem miarodajnym; wieloletni członek Rady Narodowej, jeden z aktywniejszych ministrów w okresie delegalizacji rządu polskiego nie mógł nie wiedzieć o funduszu dolarowym; jego relacja o rozdziale funduszu przez Interim Treasury Committee jest mniej pewna, gdyż działa się to poza gestią rządu polskiego.

3. *Poznański* podaje poprawnie wysokość otrzymanych przez siebie sum ale stara się ukryć pochodzenie sumy £ 42.000 (mówi o „wyasygnowaniu ze Skarbu Państwa” a jest praktycznie niemożliwe by nie wiedział o skrzynce gen. Sikorskiego); wpada tu w konflikt z *Pragierem* jak i E. Raczyńskim, który w swym liście potwierdza amerykańskie pochodzenie sumy.

Co się tyczy finansów Komitetu Obywatelskiego to na sumę £ 142.000 jaką jego obecny przewodniczący podaje (por. list A. Kamienieckiego we wrześniowym nrze *Kultury*) za „kapitał zakładowy” Komitetu, złożyło się:

£ 42.000 pochodzące ze skrzynki gen. Sikorskiego,

£ 100.000 przydzielone później przez Interim Treasury Committee, a pochodzące przypuszczalnie z dawnych kont rządu polskiego.

Początkowy stan zasobów Komitetu był wyższy, bo do £ 142.000 doszły jeszcze inne kwoty, które omówione będą poniżej. Ale nie to jest ważne. Ważne jest, że niezależnie od Komitetu istniał fundusz znacznie większy, zamknięty w skrzynce gen. Sikorskiego. Po wyjęciu £ 42.000 dla Komitetu Obywatelskiego powinno w niej zostać ponad milion dolarów. Według *Pragiera* połowę wyjęto w ostatniej chwili „z przeznaczeniem na cele krajowe”, drugą połowę rozdzieliło Interim Treasury Committee między polskie organizacje. *Poznański* twierdzi, że nie rozdzieliło. Nasuwa się tu wdzięczne zadanie dla tych, co wtedy działali, a dziś jeszcze żyją i są przytomni. Należy mianowicie raz na zawsze ustalić:

a) czy była skrzynka i ile w niej,

b) czy Anglicy rozdzieliли połowę jej zawartości,

c) co się stało z drugą połową (może np. dołożono ją do funduszu płk. Kamińskiego, którego nazwisko jest do dziś emigracyjnym tabu?).

Cała sprawa może nie byłaby warta tak drobiazgowego badania, gdyby nie jeden jej aspekt: dlaczego amerykańskie pieniądze w prywatnej skrzynce gen. Sikorskiego? Stany Zjednoczone nie miały żadnych umów z polskim rządem emigracyjnym, żadnych zobowiązań finansowych czy innych w stosunku do Polski. Swego czasu krążyła w Londynie pogłoska, podobno będąca echem opinii popularnej wśród członków Rady Narodowej w roku 1943, że gen. Sikorski dostał od Amerykanów pieniądze „na otarcie łez Polakom”. Łzy polskie miały oczywiście źródło w złamaniu przez Zachód Karty Atlantycznej. Trzydzieści lat temu bonzowie partii politycznych w Stanach Zjednoczonych mieli przesadzone wyobrażenie o wadze wyborców „etnicznych” i Roosevelt mógł uznać za stosowne zainwestować niewielką stosun-

kowo sumę w akcję pacyfikacyjną polskich ośrodków wyborczych.

Za datę powstania obecnego Komitetu Obywatelskiego można przyjąć 1. 6. 1945 roku. Wprawdzie już w 1940 roku stworzono ciało o tej samej nazwie, które działało około dwóch lat, ale te dwa Komitety różniły się pod jednym zasadniczym względem: Komitet z 1940 roku był powołany przez rząd polski (Ministerstwo Pracy) i przez to był odpowiedzialny przed Najwyższą Izbą Kontroli i przed Radą Narodową, co dawało mu charakter publiczno-społeczny; Komitet z 1945 powołał się sam, „z inicjatywy i z woli grupy obywateli” („Kom. Ob.”) i jest całkowicie odpowiedzialny przed samym sobą. „Dawny komitet był pomyślany jako organizacja społeczna oparta na zasadach demokratycznych...”, nowy Komitet był od początku pomyślany jako aparat... jako moment istotny uznano, by w łonie Komitetu... zasiedli ludzie którzy potrafiliby stworzyć dobrze zgraną, zdyscyplinowaną ekipę. Wskazana była więc raczej niewielka liczba członków...”.

Konkretnie było tych członków dwudziestu pięciu, ale nad wszystkimi dominował K. *Poznański* do tego stopnia, że londyński *vox populi* nazywał Komitet Obywatelski po prostu „Komitetem *Poznańskiego*”. W wymienionym wspomnieniu pośmiertnym A. *Pragier* używa takich słów: „Konsul wziął na siebie z własnej inicjatywy obowiązki wszystkich pomienionych służb naraz” (robi mianowicie porównanie ze „służbami” wojskowymi, takimi jak intendentura, transport, łączność)... „Pomagał przy tworzeniu nowych organizacji, popierał istniejące. Wszędzie znał jego rękę... miał udział chyba we wszystkich poczynaniach w owym wczesnym okresie zagospodarowania się emigracji politycznej”.

Ta napoleońska interpretacja roli Konsula pochodziła niewątpliwie od niego samego; dowodów na to dostarcza „Kom. Ob.” aż w nadmiarze. Ponieważ dla wielu ludzi, a zwłaszcza dla potomności, studium *The Rise and Fall of K. Poznański* może być znacznie bardziej fascynujące, niż niebogata w przełomowe wydarzenia historia Komitetu, więc kolejny margines zostanie poświęcony temu studium. Podstawowym źródłem będzie „Kom. Ob.”.

Konsul *Poznański* nie stał się Napoleonem od razu; do pozycji tej dorastał przez wiele lat w miarę — wolno podejrzewać — jak rosła w nim pewność, że o powierzone mu pieniądze nie troszczy się żadna władza. Z początku był poprawnym urzędnikiem, pilnie przestrzegającym statutow. Najlepszym przykładem ewolucji jaka dokonała się w duszy Konsula a zarazem w życiu społecznym Polonii angielskiej (w praktyce: londyńskiej) jest Dom Polski. W dniu 29. 11. 1946 zarząd Komitetu powziął uchwałę o „utworzeniu funduszy na zakup własności lub długoletniej dzierżawy domu czy domów w Londynie dla pomieszcze-

nia organizacji społecznych polskich". W tym momencie Poznański jest gorącym orędownikiem idei Domu i prowadzi „intensywne poszukiwania odpowiedniego obiektu”. „W oglądaniu niektórych domów brał udział osobiście dowódca 2-go Korpusu w asyście prezesów poważniejszych organizacji. W roku 1946 wartość nabywcza funta szterlinga była znacznie wyższa od wartości funta doby dzisiejszej. W tym czasie cena £ 30.000 jaką Komitet Obywatelski gotów był zapłacić za odpowiedni obiekt była ceną wysoką i rzeczywiście wśród ofiarowanych domów było parę doskonałych obiektów, które w pełni odpowiadałyby potrzebom... był nawet taki, w którym bez trudności można było uruchomić teatr z widownią na 200-250 osób". Poznański rzuca gromy na tych, „którzy uczestniczyli w poszukiwaniach i oględzinach i obawiali się jednocześnie, by czasem nie znalaziono czegoś odpowiedniego". Upadek projektu kwituje taką filipiką: „Zdawałoby się, że wykrystalizowała się ostatecznie koncepcja wspólnego domu dla organizacji społecznych i że nic już nie stało na przeszkodzie by doprowadzić do pozytywnego rozwiązania problemu który przez tak długi czas pokutował na posiedzeniach Zarządów wszystkich stowarzyszeń i na konferencjach między-organizacyjnych. A jednak projekt, o którym mowa, projekt stworzenia wspólnego ośrodka dla licznej grupy organizacji, nigdy nie został zrealizowany... upadł, a raczej rozplynął się w morzu wzajemnych niechęci i nieufności, utonął pod ciężarem wyolbrzymionych indywidualizmów i wynaturzonych egoizmów".

Do jakiego stopnia wynaturzył się egoizm samego Poznańskiego świadczy fakt, że w latach sześćdziesiątych, gdy idea Domu Polskiego odżyła pod postacią POSK'u, Poznański stał się jej najzażartszym przeciwnikiem, wysuwając w licznych wystąpieniach publicznych najdziwaczniejsze zarzuty pod jej adresem i broniąc gorąco idei emigracyjnych stu kwiatów. Ta zmiana linii ideologicznej nie jest przypadkiem. Wygląda na to, że w 1949 roku (w którym według „Kom. Ob." incydent z Domem został zakończony) Poznański doszedł ostatecznie do wniosku, że tzw. powiernicy byłych polskich funduszy społecznych są w pozycji ponad, czy obok, prawa, i że wobec tego może zachować *ad infinitum* kontrolę nad całym powierzonym mu funduszem. Po co więc wydawać pieniądze na Dom Polski, który byłby przypuszczalnie poza tą kontrolą? Faktem jest, że mógł w oparciu o większość organizacji Dom kupić i zostawić innym otwartą furtkę do dołączenia się. Zamiast tego pod pretekstem oporu nieistotnej grupy (Związku Robotników i Rzemieślników) ogłasza projekt za nieaktualny.

Podobne przegięcie linii daje się zaobserwować w dziedzinie funkcjonowania funduszy Komitetu Obywatelskiego. Poznański uważa £ 42.000 pochodzące ze źródeł polskich za dotację na rzecz Komitetu, a więc za wystarczający powód, aby o nich dalej nie mówić, stara się natomiast przedstawić losy sumy £ 100.000. Suma ta wypłacona była przez angielskie Treasury (Ministerstwo Skarbu), a jest nienaruszalną zasadą tego urzędu, że wydatki na cele

bieżące muszą być wydane bieżąco. W warunkach angielskich nie byłoby np. możliwe kontynuowanie funduszu pomocy sierotom po żołnierzach z 2-giej wojny do czasu gdy sieroty osiągać zaczęły wiek emerytalny.

Tymczasowość własnej działalności musiała nie ulegać wątpliwości dla członków Komitetu, skoro formalnie uchwalony plan finansowy przewidywał całkowite wydatkowanie funduszy do końca roku 1949. Potwierdza to sam Poznański, bijąc — jak to u niego w zwyczaju — w wielki dzwon: „Komitet, reprezentowany przez swoje kolejne zarządy, zajął stanowisko, że rzeczą ważniejszą było pomaganie żywym ludziom będącym w potrzebie i łagodzenie doli uchodźczej, niż zabezpieczenie stanu majątkowego. Uważano, że Komitet sam w sobie jako organizacja nie stanowi celu społecznego, lecz jest jedynie aparatem technicznym powołanym do realizowania celów społecznych, do realizowania takich czy innych akcji społecznie użytecznych". Następnie zaś zapytuje: „Jak się więc stało, że wbrew Planowi Finansowemu, który był formalnie uchwalony i który przewidywał całkowite wydatkowanie funduszy do końca 1949 roku, fundusze te nadal istnieją...?" Na pytanie to odpowiada argumentami natury ontologicznej, geo-politycznej i ekonomicznej, ale przede wszystkim takim: „...okazało się, że niektóre aktualne potrzeby społeczności uchodźczej, jako całości, czy też potrzeby poszczególnych jednostek ani nie były tak palące, ani też nie wymagały tak dużego układu finansowego, jak się to początkowo wydawało". Mowa tu o latach czterdziestych, ale Poznański pisał to w roku 1965, kiedy propagowano już idee POSK'u, kiedy nowoczesna szkoła socjologiczna (w tym J. Zubrzycki w Australii) ogłosiła że dla zdrowia społecznego konieczne jest nie uciskanie, a kultywowanie — zwłaszcza w dziedzinie kulturalnej — mniejszości etnicznych. Żądano więc od Komitetu przekazania pewnych sum na POSK czy pokrewne jemu cele. Stąd jeszcze jedna volta Poznańskiego:

„Należałoby więc zastanowić się nad tym, czy stanowisko, o którym wspomniano, jest obiektywnie słuszne, a jeżeli jest obiektywnie słuszne, to czy wolno jest Komitetowi Obywatelskiemu, który był pierwotnie pomyślany jako instytucja charytatywna, odstąpić od swych założeń pierwotnych, statutowych, by pójść za głosami, o których przed chwilą była mowa... Ale należy jednocześnie zadać sobie pytanie, czy to ważne zadanie, o którym mowa, miałoby całkowicie wyprzeć z zakresu obowiązków społecznych zadania charytatywne, to jest akcję niesienia pomocy materialnej ludziom upośledzonym przez los, ubogim, chorym, starym, niedołącznym? Czy wolno jest stanąć na stanowisku, że dobra książka, powieść czy tomik poezji albo bilet wstępu na dobre przedstawienie teatralne może zastąpić człowiekowi ubogiemu i choremu butelkę mleka, parę butów czy ciepłą odzież?"

Wszystko to można streścić w trzech punktach:

1. w 1946 roku pierwotne założenia statutowe nie przeszka-

działy Komitetowi w preliminowaniu wydatków na kupno Domu Polskiego;

2. w 1949 roku nie wykonano pierwotnych założeń Planu Finansowego bo potrzeby społeczności uchodźczej nie były tak palące;
3. w 1965 roku pierwotne założenia statutowe nie pozwalają Komitetowi na poparcie akcji kulturalno-oświatowej, bo musi on trzymać swe fundusze na dożywianie i ubieranie głodujących i bosych rzesz uchodźczych.

Gdyby Komitet miał trzymać swe pieniądze aż zaistnieje potrzeba kupowania butelki mleka to — przynajmniej jeśli chodzi o Anglię — mógłby czekać do sądnego dnia. Odnosny cytat jest obrazą nie tylko państwa opiekuńczego w ogóle a rządu angielskiego w szczególności, ale przede wszystkim zdrowego rozsądku. Ale pisząc swój „Kom. Ob.”, Poznański „wszedł już w orbitę”, był poza kontaktem ze światem rzeczywistym, był już Napoleonem. Oto jak np. przedstawia on swą funkcję wystawiania zastępnych dokumentów emigracyjnych: „Odpadł splendor tytułu Konsula Generalnego, odpadł miraż pieczęci konsularnej, pozostało tylko nazwisko, ale to wystarczało”. W rzeczywistości dokumenty te były formalnością, i każdy kto miał maszynę do pisania i kocią łapę jako pieczęć mógł je wystawiać. Techniczne rozmowy z rządem angielskim na temat osiedlenia Polaków w Anglii po zakończeniu wojny, w których brał podrzędny udział, urastają w jego oczach do zdarzenia na skalę światową, a przynajmniej ogólnonarodową:

„...zarówno fakt powierzenia Interim Treasury Committee tak szeroko zakrojonych czynności opiekuńczych na rzecz uchodźców polskich, jak i fakt utworzenia Committee for the Education of Poles były wynikiem inicjatywy i troskliwych zabiegów oraz mozolnych pertraktacji ostatniego Ambasadora R.P. przy dworze św. Jakuba i małej grupki, najwybitniejszych jego współpracowników. Tak jak ongiś premier brytyjski Winston Churchill ocenił zasługi lotników w czasie ostatniej wojny, tak i w tym wypadku można powiedzieć o Ambasadorze i pewnych jego pomocnikach, że rzadko tak mała grupa ludzi oddała tak wielkie zasługi tak dużej rzeszy swoich rodaków”.

Powstaje wrażenie, że „Kom. Ob.” to tylko pierwszy tom dzieł zbiorowych Wielkiego Konsula.

Prawo biologii mówi, że funkcja tworzy narząd. Uogólniając oznacza to, że funkcja tworzy człowieka. Brak prawdziwej funkcji sprawia, że nasi tytułarni przywódcy nie są prawdziwymi ludźmi; pod względem społecznym są to twory wynaturzone. Pozbawieni konfrontacji z prawdziwym życiem, społeczeństwem, polityką, żyjący w hermetycznie zamkniętym świecie własnej fikcji, zatracili oni sens społeczny, zrozumienie potrzeb, problemów i dążeń społeczeństwa, natomiast stali się nadwrażliwi na punkcie własnej ważności i nieomyłności. Działają tu jeszcze nawyki wychowania, w czasie i w szerokości geograficznej gdzie społeczeństwo jest tylko podnóżkiem władców. Relikty bizan-

tyzmu obserwujemy do dziś w rytuale pochwał na rzecz Partii, która nigdy się nie myli, która zbudowała most, wyhodowała tyle a tyle świń itd., itd. Trochę podobnie było przed wojną, tylko wtedy działał Rząd a nie Partia. I zarówno wtedy jak dziś należało do poważnych nietaktów dopytywanie się o to co dzieje się z podatkami płaconymi przez ludność.

Na emigracji odpowiednikiem podatków są fundusze społeczne i dochody z nich płynące. Jest sprawą zwykłej przyzwoitości, aby ludzie dysponujący nimi ogłaszali dokładne sprawozdania finansowe, a także by byli skłonni służyć uwag, a nawet krytyk. Jest to postulat na razie nie do zrealizowania. Odkryto bowiem że jest znacznie łatwiej odpowiadać na wszystko pozwem sądowym o zniesławienie.



Co się tyczy Komitetu Obywatelskiego to działalność jego dzieli się na dwa okresy: pierwszy — do 1964, drugi — po 1964 roku. Punktem podziału jest opublikowanie „Kom. Ob.”, dzięki czemu istnieją dość dokładne informacje na temat okresu pierwszego: okres drugi charakteryzuje się tym, że informacji takich nie ma.

Okres pierwszy zaczyna się zebraniem środków. Do omówionych już £ 142.000 doszło jeszcze:

- a) £ 10.000 od Interim Treasury Committee na specjalne zasiłki dla byłych pracowników rządu polskiego i Rady Narodowej; suma ta wydana została do 1950 roku;
- b) od rządu polskiego (jeszcze za czasów jego legalności) — portfel należności od osób prywatnych — nominalnej wartości £ 15.000; portfel ten przyniósł £ 3.000.

We wrześniu 1948 roku Komitet założył spółkę akcyjną Polcitt Ltd., której celem jest handel nieruchomościami i eksploatawanie nieruchomości. Polcitt operuje kapitałem pożyczonym od Komitetu. Kapitał ten urósł od sumy £ 7.000 w 1950 do ok. £ 70.000 w latach sześćdziesiątych. Polcitt jest właścicielem „Antokolu”, domu Komitetu na Weymouth St. i czterech domów czynszowych. Domy te zakupiono do 1953 roku, za łączną sumę ok. £ 55.000. Dochody firmy Polcitt w całości przekazywane są Komitetowi.

W latach 1945-64 Komitet wydał na cele przeznaczone statutem blisko £ 40.000, a mianowicie:

Zapomogi osobom prywatnym	£ 13.579
Subwencje organizacjom itp.	£ 20.752
Straty poniesione w ramach akcji pożyczkowej osobom prywatnym	£ 1.946
Dopłaty do „Antokolu”	£ 3.486

W tym samym czasie dochód Komitetu z ramienia firmy Polcitt wyniósł £ 43.530.

Odnosi się to tylko do lat 1952-64, albowiem przed rokiem 1952

fundusze Komitetu umieszczone były na rachunku bankowym. W tamtych latach banki płaciły ok. 2½% od sum zdeponowanych, Komitet miał więc przypuszczalnie również pewien dochód z procentów, a mianowicie.

- a) od całego kapitału za lata 1945-51;
- b) od malejącego funduszu emerytalnego (£10.000) za lata 1945-50;
- c) od części całego kapitału niepożyczzonej Polcitowi (wielkość tej części nieznana, możliwe że £75.000) za lata 1951-64.

Dodać należy, że w 1963 Komitet zainwestował £15.000 w papierach wartościowych przynoszących 5 i 5½ procent. Można spodziewać się, że uwzględnivszy procenty — łączny dochód Komitetu w latach 1945-64 był niemniejszy niż £60.000. Można tu operować tylko szacunkami, bo nigdzie nie są podane wydatki własne (administracyjne) Komitetu.

Okres drugi trwa od roku 1965 do chwili obecnej. Komitet nie opublikował w tym okresie żadnych danych na temat swej działalności, natomiast — w przeciwieństwie do K. Poznańskiego — obecny zarząd skłonny jest udzielać informacji ustnych. Dane dotyczące firmy Polcit są oczywiście dostępne w urzędzie rejestracyjnym spółek akcyjnych. Wynika z nich że w latach 1965-72 Polcit przekazał Komitetowi £54.700. Rok 1972 jest tu nietypowy, albowiem wypłacona w tym czasie suma £25.353 zawiera zysk uzyskany z „Antokolu”. Mianowicie dom ten kupiony w 1949 za £.750 został sprzedany za £56.000. Jednocześnie kupiony został za £44.000 inny budynek na ten sam cel.

Jeśli chodzi o działalność, to śladem lat ubiegłych Komitet pokrywa drobne deficyty Antokolu i udziela zapomóg indywidualnych i subwencji organizacjom. W latach 1971-72 i 1972-73 łączna suma zapomóg i subwencji wynosiła ok. £2.300 rocznie (w tym same subwencje ok. £1.500 rocznie). W świetle tych informacji trudno zrozumieć twierdzenie przewodniczącego Komitetu (list we wrześniowej *Kulturze*), że Komitet udzielił „na przestrzeni blisko 30 lat różnym polskim organizacjom i instytucjom społeczno-kulturalnym subwencji na łączną sumę około £80.000”. Jeżeli lata 1971-73 są typowe, to w ciągu ostatnich 10-ciu lat wypłacono subwencji na sumę ok. £15.000, co w połączeniu z sumami za pierwsze dwudziestolecie daje łączną sumę ok. £35.000.

Komitet zatrudnia dwóch urzędników. Porównując fundusz płac z wydatkami na działalność, zauważyć można, że dwóch ludzi, kosztujących łącznie £3.000 rocznie wypłaca zapomogi i subwencje wartości £2.300.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia majątek stały Komitetu uległ skurczeniu. Akcje, zakupione w 1963 roku zostały sprzedane. Firma Polcit sprzedała za £20.000 jeden z domów czynszowych (kupiony w 1951 za £3.631), a „nowy” Antokol jest tańszy od „starego” Antokolu o £16.000; powiększenie jego pojemności do 50 osób ma kosztować £160.000 (vide wspomniany list przewodniczącego Komitetu). Przypuszczalnie będzie to oznaczało partytę rządu (względnie samorządu) angielskiego. Dom na Wey-

mouth St. przedstawia się na dom czynszowy. Komitet ma tam jeden pokój na biuro i jedno mieszkanie dla urzędnika Komitetu. Przychodnia lekarska skurczyła się do dwóch pokoi i stoi na progu likwidacji.

Trzeba tu wyjaśnić, że w ramach państwa opiekuńczego jakim jest Anglia, ani przychodnia ani Antokol nie są działalnością charytatywną. Zarówno opieka lekarska jak i opieka nad ludźmi starymi są tu domeną państwa. Nie jest filantropem ani gospodarz domu wynajmujący lokal lekarzowi służby zdrowia, ani lekarz w służbie tej pracujący, ani w końcu samo państwo płacące za to wszystko, bo na ten cel wydusza ogromne miliardy od ludności, marnując w trakcie całego procesu sporą część zebranych pieniędzy. „Kom. Ob.” wielokrotnie stwierdza, że przychodnia i Antokol powinny być samowystarczalne. Jeśli są samowystarczalne, to nie ma żadnej charytatywności. Charytatywne są tylko ewentualne dopłaty do tej działalności. Dlatego, sumując powyżej wyniki pierwszego okresu, włączono (czego nie zrobił „Kom. Ob.”) globalny deficyt Antokolu do ogólnej sumy wydatków Komitetu na cele społeczne.

W ostatnim okresie Komitet rozszerzył swą bazę, mianowicie ilość jego członków wzrosła do 35. W porównaniu z okresem rządów Poznańskiego jest to duży krok w kierunku demokratyzacji. Mierząc kategoriami obiektywnymi jest to jednak stanowczo za mało. Za szkodliwe też uznać należy kontynuowanie polityki nieogłaszania regularnych sprawozdań z działalności. Tendencje antydemokratyczne motywowano kiedyś koniecznością powstrzymania infiltracji przez ambasadę PRL. Wobec zarejestrowania Komitetu jako ciała charytatywnego niebezpieczeństwo infiltracji zmalało. Zresztą demokrację można dawkować; warto przy tym pamiętać, że np. prace POSK'u prowadzone są regularnie przez ponad dwustu wolontariuszy. Trzymania w tajemnicy szczegółów działalności Komitetu nie można w żadnym wypadku wytłumaczyć ochroną tajemnic państwowych przed dociekliwością władz PRL.

W 1967 roku Komitet zarejestrował się jako ciało charytatywne (*charity*). Londyńskie koła emigracyjne mają na ogół przesadne wyobrażenie o błogosławionych skutkach kontroli przez tzw. *charity commissioners*. Trzeba wyjaśnić jak najdobitniej, że kontrola ta ma charakter czysto formalny i nie jest żadną namiastką kontroli społecznej. Wszelka społeczna działalność Komitetu uwarunkowana jest wyłącznie jego dobrą wolą, a przede wszystkim dobrą wolą zarządu Komitetu. Gdyby kiedyś jakiś Komitet i jego zarząd zapragnął wydać wszystkie dochody Komitetu na cele administracyjne lub pozwolił firmie Polcit na zrobienie deficytu, który pochłoniąłby jego majątek, to *charity commissioners* w żaden sposób nie mogłyby temu przeszkodzić.

Zamki dla «Polonii»

Niemalże od razu po objęciu władzy w Kraju przez Edwarda Gierka zaczęto mówić o rzekomo rychłej zmianie nastawienia Partii do Polaków i ludzi pochodzenia polskiego, osiadłych na stałe w innych krajach. Emigracyjna przeszłość Gierka i jego gospodarczy i polityczny pragmatyzm (czy, jeśli ktoś woli, oportunizm), torowały jakoby drogę do bardziej ofensywnej i ambitnej polityki „polonijnej”. Turystycznie Kraj był oczywiście dostępny dla Polaków z zagranicy już od 1956 roku — z wyjątkiem osób bezpośrednio zaangażowanych w politykę niepodległościową — i poprzez bank PKO płynęły do Polski pokaźne sumy walorów dewizowych. Ale politycznie był to wciąż teren dorywczych, pirkackich poczynań, bez wyraźnie sformułowanego programu. Nie ma chyba przesady w stwierdzeniu, że za Gomułki polityka „polonijna” pozostawała prerogatywą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tylko policja mogła widzieć korzyści w finansowaniu i utrzymywaniu przy życiu szumnie brzmiących, a w gruncie rzeczy całkowicie fikcyjnych, organizacji polonijnych, prowadzonych przez działaczy zdyskredytowanych w miejscowych społecznościach polskich. Byli to działacze posłuszni wobec swych dysponentów w Kraju, zawsze gotowi np. do podpisania deklaracji potępiającej demonstracje studenckie w marcu 1968 roku, lub do ataku na polityków emigracyjnych, ale ich obecność i charakter poczynań całkowicie kompromitowały propozycje zorganizowanej łączności z Krajem.

Autentyczna, jakościowa zmiana polityki „polonijnej” musi więc oznaczać odebranie MSW monopolu na nią. Byłaby to polityka niekoniecznie zgodna z interesami UB i w swych efektach nie łatwo poddająca się policyjnej kontroli. Już chociażby dlatego wszelkie nowe inicjatywy zasługują na naszą uwagę.

Podobno jeszcze w roku 1971 odbyło się zebranie Biura Politycznego, w całości poświęcone zagadnieniu stosunku do Polonii. Rzekomo rozważana wtedy była nawet możliwość przywrócenia podwójnego obywatelstwa Polakom posiadającym obce paszporty. Razem z tym, za jednym zamachem, proponowano załatwić sprawę prywatnych inwestycji, i wymiany złotych walorów zysków i zarobków na zachodnie waluty. Pierwsze posunięcia wydawały się jednak iść w kierunku wprost odwrotnym. Podwyższono turystom pochodzenia polskiego o przeszło 100% obowiązek wymiany dewiz za każdy dzień pobytu w Polsce i o 200% koszty hotelowe. A że jednocześnie spadała wartość walut zachodnich, Polska stała się krajem wcale nie tak bardzo tanim.

Gospodarczo było to zapewne posunięcie opłacalne, bo nie zahamowało wcale rozwoju turystyki polonijnej. Uzyskanie jakichkolwiek wiarygodnych danych — poza statystyką wydanych

wiz — jest praktycznie niemożliwe, ale przypuszczać można że od 1971 roku turyści polonijni bardziej niż przedtem unikają zatrzymywania się w hotelach, szczególnie tych droższych, i w większym jeszcze stopniu korzystają z uczynności rodzin i znajomych. Prywatne mieszkania i „prywatne” wymiany dewiz po kursach czarnorynkowych lub do nich zbliżonych tworzą jedną z najbardziej istotnych i trwałych więzi pomiędzy Polonią a ludźmi w Kraju. Wakacje w Polsce ciągną za sobą łańcuch obligacji finansowych i towarzyskich, zaproszenia i rewizyty na emigracji, nowe ciche transakcje, pożyczki które zwraca się przy kolejnym spotkaniu itp. Władze w Polsce na pewno wiedzą o istnieniu takiej sytuacji. Natomiast tylko niewielu emigrantów zdaje sobie sprawę z tego, że w tych transakcjach, na które ich partnerzy z Kraju zwykle godzą się skwapliwie — a nieraz sami je proponują — właśnie „krajowcy” są stroną bezlitośnie wyzyskiwaną. W atmosferze niefrasobliwych wakacyjnych bankietów trudno jest zaobserwować kosztem jakich wyrzeczeń ludzie z Kraju organizują środki dla swych zagranicznych gości, byle by tylko otworzyć sobie możliwości wyjazdu na Zachód — bo o to najczęściej chodzi.

Otóż w sferze tych prywatnych transakcji wymiennych między Krajem i emigracją, spadek oficjalnych i nieoficjalnych kursów wielu walut zachodnich, wyższe zarobki w złotych, i wyższe koszty turystyki w Polsce, prowadzą do pewnego zbalansowania stosunków. Według ścisłego, ekonomicznego rachunku pozostaje wciąż różnica na korzyść emigrantów, ale dla „krajowców” próg dostępności zachodnich walut i Zachodu wyraźnie się obniżył. Odnotowujemy to na marginesie, bo ten aspekt stosunków pomiędzy Krajem i emigracją jest zwykle pomijany, lub tłumaczony opacznie*.

Wydaje się że i w stosunkach oficjalnych oczekiwana zmiana polityki rządzącej partii już nastąpiła. Za datę graniczną wypada przyjąć walny zjazd Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną wiosną ubiegłego roku. Towarzystwo „Polonia” — by użyć jego nazwy potocznej — było przedtem instytucją o wątpliwym autorytecie, firmującą różne zlecenie sobie inicjatywy MSZ lub — MSW. Mieściło się w paru ciasnych pokojach przy ulicy Brackiej, z wejściem z obdrapanej i mrocznej klatki schodowej. Po walnym zebraniu i rozszerzeniu działalności Towarzystwa, oddano mu całą dawną Resursę Obywatelską — pałac na Krakowskim Przedmieściu, tuż obok Placu Zamkowego, a więc w jednym z najpiękniejszych punktów Warszawy. Wiesław Adamski, uważany powszechnie za jednego z najbardziej ambitnych

* Nie rozumie tego p. Grażyna Nowak, ani korespondenci popierający ją w *Kulturze*. W stosunku do Zachodu współcześni Polacy w Kraju mają świadomość ludu upośledzonego. Gwarancje uczciwości może dać tylko względne zrównanie szans. Jedynie w interesie bogatych leży rozliczanie się z ubogimi co do grosza. A jak zawsze, na takiej sytuacji żerują gangsterzy, ludzie wśród „ubogich” najbardziej drapieżni, a więc i najmniej ubodzy.

ludzi w Partii (jego nazwisko plotka krajowa kojarzyła z różnymi kluczowymi stanowiskami w administracji — między innymi był podobno kandydatem na ministra Kultury), został sekretarzem Generalnym Towarzystwa Polonia z tytułem ministra, a cała instytucja otrzymała rangę i strukturę niezależnego resortu. W. Kraśko, już wcześniej — jeszcze jako wicepremier odpowiedzialny w rządzie za politykę polonijną — pozostał prezesem i nominalną głową Towarzystwa. Jednocześnie wprowadzono do Zarządu i Rady szereg osób bezpartyjnych i cieszących się w społeczeństwie pewnym autorytetem — jak J. Turowicz, redaktor *Tygodnika Powszechnego*, lub znani filmowcy K. Kutz i K. Zanussi.

Towarzystwo uzyskało na swą działalność znaczne dotacje, a jednocześnie powstały w Polsce inne ośrodki powołane do współpracy z nim, jak Instytut do badania zagadnień Polonijnych przy katedrze socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, lub podobne, chociaż skromniejsze, placówki przy Katolickim Uniwersytecie w Lublinie i przy katedrze socjologii w Poznaniu. Sporadycznie dotychczas wychodzące „Roczniki Polonijne”, redagowane w sekcji polonijnej PAN’u, przeniesione zostały do Krakowa i wychodzić odtąd będą jako kwartalnik pokaznych rozmia-
rów. W oparciu o istniejący już ośrodek przy UJ powstaje też Instytut Pułaskiego, który będzie dysponował pałacem Szyszko-Bohusza pod Bielanami, już przysposobianym do przyjęcia około 200 polonijnych studentów. Pod koniec lipca oddany też został w ręce Polonii — choć na razie tylko symbolicznie — pałac biskupi w Pułtusku, z historią sięgającą szesnastego wieku. W działalności samego Towarzystwa wyraźnie przesunięto nacisk z zainteresowania owymi działaczami którzy nie reprezentują prawie nikogo, na ludzi którzy wykazać się mogą przynajmniej osobistym dorobkiem w krajach swego osiedlenia: uczonymi, profesorami, handlowcami, inżynierami. Zapoczątkowano serię zjazdów w Kraju, szeroko rozsyłając imienne zaproszenia: dla wykładowców języka polskiego i uczonych polskiego pochodzenia w roku ubiegłym, dla historyków we wrześniu roku bieżącego.

Najbardziej huczny, kosztowny i najgłośniej rozreklamowany z tych zjazdów było Forum Polonijne w lipcu bież. roku. Termin wyznaczono z intencją skojarzenia imprezy z obchodami XXX-lecia PRL, ale skład Komitetu Forum zestawiono tak, by udział w nim uczynić strawnym dla ludzi którzy by się normalnie nie kwapili z niesieniem Partii hołdu. Obok osób oficjalnych jak prof. Janusz Groszkowski, Wiesław Adamski lub Wincenty Kraśko, użyczyli tej imprezie swoich nazwisk ludzie tacy jak pianistka Halina Czerny-Stefańska, Jerzy Grotowski, ks. prof. Mieczysław Krąpiec — Rektor KUL’u, ks. biskup Jerzy Modzelewski, Ojciec Jerzy Tomziński — Generał Zakonu OO. Paulinów na Jasnej Górze, Jerzy Turowicz, Krzysztof Zanussi. Nie przypadkiem podkreślamy tu udział znanych katolików lub wybitnych reprezentantów kleru. Aktywność środowisk katolickich w organizo-

waniu łączności z Polonią jest dziś zdecydowanie popierana. W kuluarach Forum szeptano że sam ks. Prymas udzielił imprezie swego błogosławieństwa.

Forum Polonijne miało być najszerszym jak dotychczas spotkaniem naukowców i ludzi twórczych różnych dziedzin z wybitnymi reprezentantami tych samych środowisk w Kraju pod hasłem „wymiany poglądów na temat wkładu Polaków, Polaki i Polonii w rozwój nauki, kultury i cywilizacji świata”. Wszystko jednak wskazuje na to, że konkretny program Forum opracowywany był w atmosferze wahań i niepewności, przy ciągłych rewidach pierwotnych założeń, by w końcu urodzić się jako gorączkowa improwizacja. W początkowych zamiarach leżała rzetelna i czasochłonna praca w sekcjach na temat wybranych zagadnień polonijnych, z przygotowanymi referatami i ko-referatami. Miał to być jeszcze jeden etap gromadzenia informacji przeciwieństw do opracowania w polityce polonijnej nowej strategii. Wśród zagadnień polonijnych są jednak tematy nie bardzo nadające się do otwartej publicznej dyskusji w Polsce Ludowej, szczególnie z udziałem gości o niewypróbowanej dyskrecji. Prace w sekcjach zostały więc drastycznie ograniczone (w czasie trzydniowych obrad w Krakowie sekcje problemowe spotkały się na dwie godziny, w czym zmieścić się miał referat, dwa lub trzy ko-referaty i dyskusja), na korzyść spotkań gałowych, przyjęć, i sesji plenarnych z odczytami-przemówieniami takich „filarów rzeczywistości polskiej” jak prof. prof. Groszkowski, Suchodolski, Secomski, i min. Adamski. Po przeniesieniu z Krakowa do Warszawy, Forum — poza parogodzinnymi spotkaniami sekcji problemowych w odpowiednich ministerstwach — rozplynęło się już zupełnie w przyjęciach, płasach i uroczystościach jubileuszowych. Końcowym akcentem było dwu i pół-godzinne spotkanie w gmachu sejmu wyznaczonej przez organizatorów grupy uczestników Forum z Edwardem Gierkiem.

Program zachęcał więc do deklaracji raczej niż do rzeczowej dyskusji, i wbrew opublikowanym założeniom faworyzował raczej działaczy niż ludzi wiedzy. A „działacze” pojawiła się na Forum ogromna ilość. Listy uczestników do końca nie ogłoszono, więc nie bardzo było wiadomo kto jest kto, ale na sesjach plenarnych, gromadzących ponad 200 ludzi, odnosiło się wrażenie że dominują i ton nadają właśnie „działacze”. Być może przyjmowali oni zaproszenia bardziej skwapliwie niż reprezentanci innych środowisk; zapewne urzędnicy konsulatów PRL, typując listy zaproszonych, nie chcieli pominąć swoich stałych klientów. W każdym razie dla niektórych jego uczestników skład Forum Polonijnego był niemylnym zaskoczeniem.

Na sesji plenarnej w Sukiennicach dopuszczono wolne głosy z sali, ograniczając wypowiedzi najpierw do pięciu a potem nawet do trzech minut. Sypnęli się do mikrofonu działacze, gratulować Polsce Ludowej jej trzydziestoletnich osiągnięć, i złożyć ogólnikowe i bezbarwne sprawozdanka ze swej pracy na niwie polonijnej, oczywiście z całkowitym pominięciem proble-

mów i stron ciemnych. Jedynym zgrzytem był głos Bolesława Sulika z Londynu, który zakwestionował prawo zebranych do reprezentowania całej rzeszy polonijnej, po czym zwrócił uwagę na brak na sali przedstawicieli ogromnej „Polonii” ze Związku Sowieckiego. Gdzie indziej, na obradach sekcji problemowych, miało miejsce niezwykle gwałtowne wystąpienie dr. E. Kusielewicza, dyrektora amerykańskiej Funkcji Kościuszkowskiej. Oskarżał on władze polskie o brak współpracy a nawet wprost obstrukcję w wymianie naukowej i stypendialnej, cytując przykłady odmowy przedłużenia prawa pobytu w Polsce studentom ze Stanów i żądając wyjaśnień. Niemniej gwałtowne, chociaż z innych pozycji wychodzące, były ponawiane skargi p. Chester Grabowskiego z New Jersey, redaktora *Post Eagle* wychodzącego w języku angielskim. P. Grabowski czuł się rozgoryczony faktem, że „znanych wrogów Polski Ludowej”, jak dr Kusielewicz lub wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej — przyjmuje się na Forum z honorami, podczas kiedy on, przyjaciel o wypróbowanej wierności, nie może się nawet doprosić o dziesięciominutową audiencję u min. Adamskiego.

Pretensje symptomatyczne. Największym bowiem sukcesem politycznym organizatorów była obecność na Forum dość reprezentatywnej grupy ze Stanów. Przewodniczącym sesji plenarnej w Sukiennicach był wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej. A jednocześnie ten sukces zawiera w sobie niepokojącą dwuznaczność: organizacje i instytucje polonijne na Zachodzie są jednak niezależne od ośrodków dyspozycyjnych w Warszawie. Polityka polonijna poważnie zamierzona, polityka która odrzuca dotychczasową ubecką partyzantkę, nie może się obejść bez takich niezależnych partnerów. Ale oznacza to w praktyce uznanie prawa emigrantów do niezależności, i rezygnację z absolutnej kontroli nad całokształtem stosunków Kraju z emigracją. Dlatego nowa polityka polonijna Polski Ludowej jest tak pełna wahań i sprzeczności, dlatego po każdym dwóch krokach w przód robi półtora do tyłu, dlatego ludzie powołani do realizowania nowych założeń nieraz się tak zachowują jakby sami na siebie zastawiali pułapki.

Niebezpieczeństwa jakie z punktu widzenia totalnej władzy kryje w sobie nowa polityka, są jednak, jak dotychczas, tylko potencjalne. Na zjazdach ostatnich dwóch lat pojawiali się emigranci w których osobistą niezależność i dobrą wolę nie zawsze należy wątpić. Ale byli to zawsze pojedynczy ludzie, reprezentujący tylko własne poglądy, czasem w sytuacjach dwuznacznych — czy raczej zbyt jednoznacznych — wykonujący gesty sprzeciwu dla ratowania własnej godności. Nawet jeżeli przyjeżdżali z gotowymi postulatami, i potrafili skierować uwagę na drażliwe realia stosunku pomiędzy emigracją i władzami w Kraju, stawiali sami przeciwko systemowi, rzucając na szalę swój osobniony głos. Może nie powinni byli przyjmować zaproszeń? Obecną ofensywę Partii na Polonię zbywa się często pogardliwymi ogólnikami, tak jakby nie dotyczyło to wcale politycznie

świadomej części emigracji, jakby sytuacja obecna — z formalnym „przyzwoleniem” ośrodków politycznych na indywidualne, rodzinne i turystyczne odwiedziny Kraju, ale bez żadnych kontaktów organizowanych — była w pełni zadawalająca, nie wymagająca żadnych rewizji i uzupełnień. A jak jest naprawdę? W roku 1973 przyjechało do Polski ponad 200.000 emigrantów. W roku 1974 — roku obchodów trzydziestolecia Polski Ludowej, oblicza się ilość przyjazdów na około pół miliona. Ta prawdziwa nawała „wolnych” rodaków z zagranicy na pewno nie sprawia władzom politycznym i policji polskiej większego kłopotu niż milionowe inwazje turystów reżymowi gen. Franco w Hiszpanii, lub Tity w Jugosławii. „Wolny” Polak-emigrant od granicy polskiej staje się skrupulatnie lojalny wobec władz Polski Ludowej, np. nie wwozi z zasady żadnych „zakazanych” książek, a więc *dosłownie pomaga policji w jej proskrypcyjnej działalności*. Z dotychczasowych doświadczeń można wyciągnąć wniosek, że szeroki akces Polonii byłby raczej elementem sprzyjającym ugruntowaniu w Kraju obecnego systemu, niż odwrotnie. To nie pozbawione słuszności przekonanie inspiruje obecną politykę PRL.

Może więc nie należy zbywać jej wzruszeniem ramion, a raczej zastanowić się, czy nie należałoby stać się w tej grze partnerem-przeciwnikiem, szukającym rozstrzygnięcia na swoją korzyść. Może by należało określić polityczną cenę za współpracę niezależnych (choć politycznie nie bezpośrednio aktywnych) placówek emigracyjnych chociażby w ograniczonej dziedzinie paszportów i wiz, wymiany stypendialnej, swobód akademickich, akcesu słowa drukowanego, nieskrępowanych kontaktów z ludźmi i instytucjami z pominięciem szczebla centralnego itp. A przynajmniej otworzymy dyskusję na cały ten zespół tematów tak niezmiernie dla emigracji istotny, a tak uporczywie pomijany.

A. Z.

Parafie polskie w U.S.A.

Wyczerpująca praca o parafiach polonijnych wypełniłaby zapewne gruby numer *Zeszytów Historycznych*, bez długiej historii *ab ovo* trudno ten temat czytelnikom spoza Stanów Zjednoczonych uprzystępnąć, cóż, kiedy tu na to nie ma miejsca.

Czy wystarczy wyjaśnienie, że parafie takie znane są pod ogólniejszym określeniem jako „narodowościowe”, a w prawie kanonicznym nawet jako „osobiste”? Od zwykłych, czyli „terytorialnych” parafii różnią się tym, że przynależność do nich zależy nie od faktu zamieszkania na określonym skrawku ziemi, ale od *dobrowolnego* zapisania się do takiej jednostki kościelnej.

Polak w Ameryce może należeć do amerykańskiej parafii terytorialnej, ale ma opcję — może się zapisać do parafii jednozącej katolików polskiego pochodzenia.

Na zakładanie takich parafii potrzebne było i jest specjalne pozwolenie od miejscowego biskupa. Narzekano często i głośno, że biskupi sprzeciwiali się tworzeniu osobnych parafii dla Polaków, osobnych dla Litwinów, osobnych dla Słowaków i tak dalej i dalej. Faktem jednak jest, że widocznie jednak pozwolenia takie były wydawane, skoro w oficjalnym katalogu parafii katolickich (The Official Catholic Directory) są one dotąd oznaczane jako polskie, litewskie, słowackie, węgierskie i inne.

Jeżeli mowa o ilości takich pozwoleń, to rzecz jasna mogło być inaczej w jednej diecezji niż w drugiej. W każdym razie fakt, że w miejscowości GLEN LYON, w diecezji Scranton, istnieją dwa kościoły parafialne polskie, jeden przy drugim — na skrzyżowaniu ulic ma swą wymowę. W niejednym mieście jedną parafię polską dzieli od drugiej tylko kilka uliczek.

W niejednym wypadku musieli się biskupi naprawdę „dziwować”, dlaczego niezbyt liczne gromady polskich imigrantów musiały budować aż tyle kościołów zamiast się zbierać w jednym, większym i okazalszym. A no, były to czasy kiedy „temperamenta grały” i kiedy różne czynniki mąciły wodę różnymi „kaduceuszami polskimi”, jak w „Weselu”. Wystarczyło, że się w jakim mieście lub miasteczku osiedlili emigranci „spod Ruska”, a zaraz potem przywędrowali inni z „Galicji” i każdy chciał śpiewać pieśni na swoją nutę i przestrzegać swojego ceremoniału pogrzebowego. Wystarczyło, że do tworzącej się parafii pod egidą księdza X przyjechał z upoważnieniem od biskupa krajowego (a nawet bez upoważnień) ksiądz Z. Wystarczyło, że ten nowy podmówił kilka babek i przy kieliszku przeciagnął na swoją stronę kilku chłopów. I już zamiast jednej parafii chciano tworzyć dwie, przy akompaniamencie zgoła niechrześcijańskich awantur. Kto ciekaw, niech sobie gdzieś znajdzie obszerną HISTORIĘ POLSKĄ W AMERYCE, wydawaną małymi tomikami — razem jest ich 13 — przez ks. Wacława Kruszkę, albo odnoszącą się do mniejszego terenu „Historię Parafii Polskich w Diecezji Hartford w stanie Connecticut” ks. L. Bójnowskiego. Nie są to dzieła ze wszystkim „budujące”, ale dają jakieś takie pojęcie jak się z tej kotłowniny ostatnich lat ub. stulecia wyłaniały te polonijne parafie w Chicago, w Detroit, w Buffalo, w pensylwańskim zagłębiu węglowym i w Nowym Jorku.

Nie ma, mimo wielu usiłowań, zgody co do liczby tych polskich parafii, bo zależy jak kto liczył i kiedy. Najwięcej naliczył ich — zdaje się — ks. Stan. Targosz w roku 1943. Jego zdaniem parafia musiała być polska, jeżeli na jej czele stał ksiądz o polskim nazwisku. Wiemy niestety, że tak jak w Polsce jest moc ludzi noszących nazwiska niemieckie — Szulc, Pol, Tetmajer, Wajs lub Wajzman — lub czeskie czy litewskie, choć są to Polacy duszą i sercem, tak było i jest sporo Niemców noszących polskie nazwiska i jeżeli nawet umieli kilka słów polskich, to

jednak ciążyli w inną stronę. A panadto w owym czasie było już wielu księży urodzonych w Ameryce i wychowanych w seminariach diecezjalnych, którzy szli na parafie czysto amerykańskie.

A więc liczba 831 do jakiej doszedł ks. Targosz jest na pewno dość daleka od prawdy.

Najlepiej opracowane zestawienie polskich parafii w Ameryce podał ks. Józef Swastek, prof. Seminarium Polskiego w Orchard Lake. Można je znaleźć w szóstym tomie wydawnictwa SACRUM POLONIAE MILLENNIUM, zapoczątkowanego przez arcybiskupa Gawlinę w Rzymie. Ks. Swastek podaje nie tylko ogólną liczbę polskich parafii, 769, ale ich oficjalne nazwy i adresy. Zaznacza jednak, że w tej liczbie jest sporo parafii zanikających lub nawet wymarłych, w miarę jak górnicze miasteczka zamieniały się na *Ghost towns*.

Niezbyt wyraźne wyniki dotyczące liczby parafii polonijnych otrzymała w roku 1971 drogą ankiety rozesełanej do proboszczów autorka książki „The Polish Americans”, Theresita Polzin. Na 1.012 listów wysłanych do przypuszczalnie polskich proboszczów otrzymała tylko 707 odpowiedzi, w tym 161 odpowiedziało, że dana parafia nie zalicza się do polskich. Na 546 parafii uznających się za polskie nie wszystko odpowiadało warunkom oczekiwanym od stu-procentowo polskiej placówki duszpasterskiej. Tylko 310 takich parafii prowadziło jeszcze szkoły parafialne a czegoś polskiego (języka lub historii) uczono tylko w 66 % tych szkół.

Najbliższe prawdzie będą chyba dane z lat 1921-24, podawane w miesięczniku *Przegląd Kościelny*, wydawanym przez Zrzeszenie Kapłanów Polskich w Ameryce. Najczęściej powtarza się tam liczba 762, z różnymi komentarzami, z których wynika że tylko 511 takich parafii zdobyło się na własną szkołę parafialną — 4 lub 8 klasową. Dodatkowa statystyka z zagłębia węglowego w Pensylwanii rzuca dodatkowe światło (a właściwie cień) na tamtejsze warunki: na 44 parafie tylko 15 posiadało szkoły, a większość tych szkół to były tylko szkółeczki, bo rodzice zabierali dzieci po dwóch latach naukania, zapewne przygotowania do I Komunii. W dodatku parafijki te były zadłużone a kościoły były podobniejsze do kapliczek misyjnych niż do prawdziwych kościołów parafialnych.

Ale te specjalne stosunki nie powinny nam zaciemniać ogólnego obrazu. W takich miastach jak Chicago, Detroit, Buffalo i Cleveland — żeby wymienić tylko najważniejsze — powstały parafie liczące po kilka tysięcy rodzin, pierwsze małe kościółki już po kilku latach zrobiły miejsce olbrzymim świątyniom, budowanym na wyrost, z wieżami i frontonami imponującymi wysokością i rozmachem. Styl bywał różny i chyba tylko niektóre kościoły należą do arcydzieł architektury: takie były czasy i taka moda. Wnętrze imponowało polichromią, aż dziw, że niedawni mieszkańcy polskich wiosek, gdzie w miejscowych kościołach ławek było tylko kilka „dla kolatorów” i trzeba było stać lub klęczeć na biednym klepisku, wyposażali tu kościoły i w wy-

godne ławki i w centralne ogrzewanie, a organy sprowadzali jak największe albo z Niemiec albo z fabryk amerykańskich.

Kosztowało to wszystko dużo i nic dziwnego, że większość takich kolosalnych świątyń budowano zaciągając pożyczki w bankach. Obciążało to wiernych na długie lata i skłaniało proboszczów do walki na wszystkie sposoby przeciw podziałom rosnących parafii na mniejsze. Prowadziło to często do ostrych zatargów między proboszczem a parafianami.

Obok kościoła zakładano zwykle szkołę, pierwsze lekcje prowadzono gdzie się dało już przed budową osobnego gmachu. Uczył kto mógł i jak mógł, aż się do tego zabrały zakonnice: felicjanki, nazaretanki, bernardynki, zmartwychwstanki, kune-gundki, józefitki. Szkoły były początkowo czteroklasowe, z latami dostosowano je do poziomu amerykańskich szkół podstawowych i każda regularna szkoła parafialna miała osiem klas. Zakładano też szkoły średnie, a nawet wyższe (*college*), ale to się już nie nazywało szkołą parafialną, najczęściej były to zakłady prowadzone osobno, staraniem zgromadzeń zakonnych.

Nie trzeba dodawać, że w pierwszych latach były te parafie oraz te szkoły bardzo a bardzo polskie, nieraz ekskluzywnie polskie. Po polsku się wszyscy modlili, po polsku śpiewali, po polsku odprawiali spowiedź, nawet na plebanii trzeba było z proboszczem mówić tylko po polsku, bo inaczej można było usłyszeć okropne „pater-noster”. Zakonnice sprowadzane z Kraju mówiły tylko po polsku.

Okres taki nie trwał jednak zbyt długo, bo życie w nowym świecie miało swoje wymagania, a szkoła miała być przygotowaniem do pracy i do walki o chleb. Dzieci urodzone w Ameryce uczyły się języka angielskiego. Po jakimś czasie wytworzyły się szeregi księży urodzonych i wychowanych w Ameryce, to samo zapanowało po zakonach dla sióstr.

Do punktu szczytowego doszła liczba parafii w latach 1921-1922, ale już nie nadążała za tym liczba szkół parafialnych. W roku 1922 na 762 parafie było tylko 511 szkół i szkótek, w latach 1917-1921 przybyło ponad 200 parafii, ale tylko 89 szkół.

Rok 1923 przyniósł postanowienie episkopatu: nie będziemy otwierać więcej parafii narodowościowych, jest ich już dość. W roku następnym władze federalne wprowadziły system „kwot”. Od tego czasu rocznie tylko 5.982 osoby urodzone w Polsce mogły otrzymać wizę na stały pobyt w St. Zjednoczonych. Równocześnie wezbrała fala amerykanizacji zarówno w społeczeństwie jak w kołach kościelnych. Nie trzeba dodawać, że dały się nią ogarnąć szeregi duchowieństwa i sióstr zakonnych, urodzonych w Ameryce. Jako obywatele Ameryki poczuli się patriotami amerykańskimi i upomnieli się o język angielski w kościele i w szkole, przynajmniej dla młodszego pokolenia. Zyskali też dostęp do biskupów. Rozległo się hasło: *let us join the mainstream of American life!*

Rok 1929 przyniósł coś gorszego. Krach giełdowy w „czarny

czwartek 24 października” stał się początkiem długotrwałego kryzysu gospodarczego, który się odbił na wszystkich dziedzinach życia, powodując przede wszystkim bezrobocie. Poszukując zarobku przekonali się polscy robotnicy, że pracę łatwiej było znaleźć gdy się mówiło dobrze po angielsku, zwłaszcza gdy się szukało zarobku z dala od polskich dzielnic. I wtedy sami rodzice zaczęli robić nacisk na szkoły parafialne, domagając się nieraz bardzo krzykliwie usunięcia języka polskiego ze szkolnych programów, a jeżeli proboszcz i siostry zakonne kierujące szkołą nalegały na zatrzymanie języka polskiego, przenosili swe dzieci albo do amerykańskich szkół katolickich albo do szkół „publicznych”. Z dziećmi przechodziły zwykle do parafii amerykańskich całe rodziny. Stwarzało to dla niektórych parafii nowy problem finansowy, jak np. w jednej wielkiej parafii, w której tuż przed owym krachem wybudowano wielki i piękny kościół zaciągając w banku poważną pożyczkę.

To wszystko podcięło byt wielu parafii i szkół parafialnych, przynajmniej gdy mowa o ich pierwotnej „polskości”. Pisał o tym w roku 1934 ks. S. A. Iciek na łamach *Przeglądu Katolickiego*, w numerze poświęconym srebrnemu jubileuszowi pierwszego biskupa polskiego w USA, Pawła Rhode: *„Wychodźstwo, dzięki owej „depresji” jak również innym czynnikom, szybko traci ducha polskiego i swą indywidualność. To co jeszcze nie tak dawno było dla nas bodźcem do pracy, co było niespożytą siłą w naszej pracy duchowej i narodowej, po prostu zanika i traci dla wielu rację bytu”*.

Większość kościołów i szkół jakoś przetrwała, ale wszystkich strat nie zdołano wyrównać, zwłaszcza gdy chodziło o „imponderabilia”. Język polski tracił rację bytu w pojęciu pokolenia wyrastającego w okresie kryzysu gospodarczego, któremu kres położyła dopiero II Wojna, a że wojna miała też swoje ujemne skutki, więc proces amerykanizacji trwał nadal.

A po II Wojnie doszło do jakiegoś, jeszcze nie opisanego przez socjologów, przewrotu w całej umysłowości, nie tylko w Ameryce ale w całym świecie. Przejawem tego przewrotu na omawianym tu odcinku życia jest choćby fakt, że powojenni imigranci zostali, jak to określił Wojciech Wasiutyński w cytowanym wielokrotnie artykule, „emigracją milczącą”. Inaczej określił to jeden stary proboszcz na polskiej parafii: *„Zwracam się do młodego interesanta w biurze parafialnym po polsku, bo wiem, że przyjechał do Ameryki niedawno, a on odpowiada po angielsku i oświadcza, że nie po to przyjechał do Ameryki, żeby być Polakiem — chce być Amerykaninem i koniec”*...

Ile więc jeszcze polskich parafii istnieje w Ameryce? W pewnej diecezji liczono w roku 1960 siedem polskich parafii — ale w oficjalnym katalogu (*„The Official Catholic Directory”*) ani jedna nie jest określona słowem *Polish*. I to od lat. Czy w tych

parafiach nie ma nic polskiego? Nabożeństwa liturgiczne odprawia się przeważnie po angielsku, co najwyżej jedna Msza jest odprawiana po polsku, a czasem w czasie Mszy angielskiej kapłan powie krótkie kazanie po polsku. Rzecz godna podkreślenia: na Msze w języku angielskim przychodzi o wiele więcej ludzi niż na polskie. Zdaje się, że na polskie przychodzi — oczywiście nie można tego brać na sto procent ściśle — tylko ludzie z najstarszego pokolenia, bez dzieci. Ci z dziećmi idą razem z nimi na Msze w języku angielskim. I trudno tu zwracać uwagę na „niewygodną godzinę” — bo jaka jest różnica między 10-tą a 11-tą przed południem? Nie trzeba dodawać, że też tylko najstarsi przychodzą na inne nabożeństwa, jak np. na tradycyjne „Gorzkie Żale” w Wielkim Poście. Młodych to nie pociąga: nie rozumieją pieśni, nie odpowiada im melodia. Inny świat.

Obecnie liczbę parafii uważanych za polskie ocenia się na 400 do 500, zależy jak kto liczy. Dla kogo wystarczy fakt, że w jakimś kościele i biurze parafialnym można się z księdzem jako tako porozumieć po polsku, choć w kościele rozbrzmiewa tylko język angielski, ten naliczy polskich parafii więcej, kto ma wyższe wymagania, ten ich naliczy mniej. Nie ma po prostu żadnej wyrazistej linii demarkacyjnej, nawet bardzo polskie parafie są już faktycznie tylko częściowo polskie.

Proboszczami są przeważnie księża urodzeni i wychowani w Ameryce. Ksiądz z Polski ma bardzo małe szanse zostania proboszczem choćby z tego prostego powodu, że istnieje tu system starszeństwa i w niejednej diecezji księża obchodzą srebrny jubileusz nie doczekawszy się nominacji na probostwo. Księża urodzeni w Ameryce rzadko kiedy mówią poprawnie po polsku, choć jeden i drugi gotów się z nawstwą polszczyzny chępić. Nie razi to starszych parafian, bo oni sami mówią też chętniej po angielsku, a ich polszczyzna to beznadziejny makaronizm, mieszanina słów i chaos końcówek gramatycznych. Nikt z nich nie powie „ksiązek”, tylko „książków” i konsekwentnie „siostrów”, „dzieciów”, „oknów” i nie zdziwi się, jeżeli ksiądz zapowie „poświęcenie palmów”. Gdyby zapowiedział poświęcenie „palm”, zrozumiałaby go jedna parafianka na dziesięć. Wychowanek polskiego seminarium w Orchard Lake uczył się więcej polskiego, ale i oni nie mają po prostu możliwości nabycia nienagannej znajomości i biegłości w mowie ani w piśmie. Jest ich zresztą niewielu, bo biskupi diecezjalni nie chcą swoich kleryków tam posyłać i kleryk wykształcony w Orchard Lake musi nieraz długo szukać biskupa, który by go łaskawie przyjął do swej diecezji i to nie zawsze do pracy na polskiej parafii.



Ostatnie lata przyniosły całkiem nowe trudności, nie mające nic wspólnego z dążnościami amerykanizacyjnymi biskupów. Od chwili, kiedy do wielkich miast — a tam były największe skupiska polskie — zaczęły napływać tysiące Czarnych (dawniej

mówiło się „Murzynów”, ale oni tego słowa nie lubią i sami określają się jako *Blacks*), pozbawionych przez mechanizację pracy na plantacjach w stanach południowych, starsze dzielnice wielkich miast okazały się dla białych nieznośne. Nie tu miejsce opisywać cały ten proces i wszystkie nowe trudności — dość powiedzieć, że wystarczyło, by się do jakiejś małej dzielnicy wprowadziła jedna czarna rodzina, a już wszyscy inni zaczęli uciekać, wyzbywając się nieraz za bezcen własnego domu. Nie trzeba dodawać, że nowi mieszkańcy doprowadzali zwykle te stare już zresztą domy do kompletnej ruiny, zamieniając piękne niegdyś śródmieścia na zbiorowisko rupieci i chwastów. Urąga to naszym wyobrażeniom o postępowej, amerykańskiej cywilizacji, ale taki jest obraz wielkomięskiej rzeczywistości, przynajmniej dzisiaj.

W tym kontekście łatwo zrozumieć wiadomość podaną w *Narodzie Polskim* — 20 czerwca 1974 — że szkoła w jednej z największych parafii polskich — Św. Trójcy — w Chicago będzie zamknięta. Rodzin polskich w całej dzielnicy już nie ma. Łatwo też zrozumieć przywydywania proboszcza tejże parafii, że i kościół będzie zamknięty. Zresztą i centrala Zjedn. Pol. Rzymsko-Katolickiego, obchodzącego obecnie swe Stulecie, planuje przeprowadzkę z owej dzielnicy w inne strony, do gmachu którego budowę już postanowiono. Ironią losu będzie ostatnie uroczyste nabożeństwo z okazji tego stulecia, odprawione w tym wspianym kościele.

Nie jest to żaden odosobniony przykład. To samo jest w Detroit, to samo w Buffalo, a jeżeli jeszcze gdzie jest „jako-tako”, to nieustająca przeprowadzka parafian na cztery strony świata, w ucieczce przed ludnością kolorową lub po prostu w poszukiwaniu lepszego otoczenia, świeżego powietrza i zieleni na dalszych przedmieściach, nie wróży nic dobrego. Ludzie porzucają sami, i to przeważnie bez wielkiego żalu, dorobek swoich poprzedników, rozpraszając się w społeczeństwie amerykańskim. Nieco lepiej jest w mniejszych miastach. Ale i tam polskie parafie napotykały na niepokonalne trudności, których źródłem jest trwająca od kilkunastu lat i rosnąca stale drożyzna. Odbija się to przede wszystkim na szkołach, których utrzymanie przekracza możliwości parafian. NIE MA ZAŚ MOWY O POMOCY RZĄDOWEJ — ponawiane starania biskupów i organizacji katolickich spotykały się z orzeczeniami Sądu Najwyższego, który jako stróż wierności przepisom Konstytucji orzekał wiele razy, i ostatnio wydał definitywne już orzeczenie, że pomoc finansowa dla szkół katolickich jest sprzeczna z Konstytucją. Jedyne wyjściem byłaby tylko nowa „poprawka do Konstytucji”, ale o tym szkoda nawet marzyć, zważywszy że w Stanach Zjednoczonych katolicy stanowią tylko 24 % ludności.

Finansowanie parafii polonijnych było zawsze trudne, ale zarówno proboszczowie jak i wierni brali to na swoje własne barki, nie prosząc biskupów o pomoc w dolarach, co najwyżej o pozwolenie na zaciąganie pożyczek, które później jak mogli

splacali. Trzeba to podkreślić, bo czasem w prasie anglojęzycznej pojawiało się zdanie, że koszty budowy polskich kościołów i szkół obciążały diecezję i opóźniały jej rozwój. Jeżeli była kiedyś pomoc finansowa od biskupów, to zdarzało się to wyjątkowo.

Na utrzymanie szkół parafialnych polskich zbierano fundusze na różne sposoby: w formie opłat szkolnych od każdego dziecka, drogą imprez większych i mniejszych urządzanych przez stowarzyszenia parafialne, najczęściej na „piknikach” lub „bazarach”. Urządzanie takich imprez było zawsze połączone z wielkim nakładem pracy odpowiednich komitetów i stowarzyszeń. W ostatnich latach urządzanie pikników stało się w wielu miejscach niemożliwe na skutek napadów „łobuzerskich” (element przestępczy) i rabowania pieniędzy, nieraz mimo ochrony policyjnej. Najczęściej zdobywają szkoły pomoc finansową z gry zwanej BINGO, zwłaszcza tam, gdzie ta gra towarzyska jest popularna i gdzie jest do dyspozycji obszerny lokal z niezbędnymi urządzeniami.

Podobnie ratują się szkoły parafialne w parafiach amerykańskich.

Warto dodać, że na skutek rozdziału kościoła od państwa katolicy opłacają szkolnictwo podwójnie: każdy musi płacić specjalny podatek szkolny, który idzie na utrzymanie szkół publicznych, a na szkoły katolickie musi — jeżeli do nich posyła dzieci — uiszczać przynajmniej zasadniczą opłatę szkolną. A nawet gdy nie ma dzieci w szkole parafialnej to i tak do niej dokłada, bo z niedzielnymi składkami kościelnymi poważna część idzie na szkołę. Władze stanowe i federalne widzą, że katolikom dzieje się krzywdę, ale mają zawsze jedną i tę samą odpowiedź: chcecie mieć osobne szkoły, więc je utrzymujcie.

Do zwiększenia kosztów przyczynił się spadek liczby zakonnic, które za swą pracę, pojmowaną jako „poświęcenie”, pobierały tylko minimalne wynagrodzenie. Obecnie trzeba płacić świeckim nauczycielom i nauczycielkom trzy a nawet cztery razy tyle, ile pobierały siostry zakonne. Nie budowa już, ale nieuniknione remonty starych budynków szkolnych są teraz beznadziejnie kosztowne, nie mówiąc już o instalacji elektrycznych i elektronicznych urządzeń — a na tym polu szkoły parafialne muszą dorównywać szkołom publicznym. Nic dziwnego, że w ostatnim dziesięcioleciu pozamykano całe setki szkół parafialnych (amerykańskich i narodowościowych zarówno). Powiedział ktoś, że średnio zamykano tyle szkół, ile jest dni w roku.

Bez szkół parafialnej parafia może oczywiście istnieć, ale musi znaleźć sposoby na udzielanie nauki katechizmu, której w szkołach publicznych nie ma i być nie może. Stwarza to dodatkowe kłopoty.

Trzeba zakończyć uwagę, że polscy parafianie — o ile się mniej lub więcej masowo nie wynoszą w inne strony — dokła-

dają starań chcąc i parafie i szkoły utrzymać. Niejeden proboszcz byłby skłonny zamknąć szkołę, gdy liczba dzieci spadnie poniżej 10 na klasę i kasa świeci pustkami, ale sami parafianie podnoszą dosłownie krzyk i chcą nadal posyłać swe dzieci do szkół przy kościele. I bliżej to, i bezpieczniej. Urządza się imprezy, dokonuje się cudów oszczędności. Ale są granice. Niech w takiej szkole pięknie kocioł i popsują się rury centralnego ogrzewania (a zimno tu od października do maja!), a to już kolosalny wydatek i wystarczy, żeby szkoła przestała istnieć.

Dla ratowania nie szkoły, ale tylko kościoła św. Wojciecha w Chicago powołał sam kardynał Cody specjalny komitet, który ma zebrać 170 tysięcy dolarów i uratować zagrożony ruiną i nie nadający się do użytku ogromny kościół wzniesiony w roku 1906. Zgoła inny problem powstał w parafii św. Jana Kantego w Detroit: władze miejskie kazały — już dwa lata temu, a teraz nalegają — rozebrać piękny i solidny kościół, bo miejsce jest im potrzebne na budowę wielkiej stacji oczyszczającej ścieki kanalizacyjne. Podobne wymagania postawiono polskim parafiom w Bostonie, a kilka innych poniosło niepowetowane straty gdy poprzez teren parafialny, nieraz tuż obok murów kościelnych, przeprowadzono szerokie szosy dla szybkojeżdżących samochodów i ciężarówek, zmusiwszy przy tym dziesiątki i setki rodzin do szukania nowego miejsca pod rodzinne domy. Zwykle zabierano przy tym dwa razy więcej terenu niż było trzeba i dziś chwasty rosną tam, gdzie kilka lat temu stały domy mieszkalne.

Tak to różne gromy biją w polskie skupiska, w polskie parafie i szkoły parafialne a nawet w centrale polskich organizacji. I czy to nie jest swego rodzaju rewolucja?

Ks. Wojciech SOJKA

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Kronika kulturalna

Józef Jarema

(WSPOMNIENIE NIEPEŁNE)

Tego lata zmarł nagle na zawał serca Józef Jarema, malarz, namiętny organizator życia artystycznego, chyba jedna z najbarwniejszych postaci świata sztuki tego pokolenia.

Urodzony w Samborze w 1900 roku spotyka w pierwszym roku Akademii Krakowskiej, w roku 1921, Jana Cybisa, Zygmunta Waliszewskiego i Mariana Szczyrbułę — trzon grupy, która w 1923 nada sobie nazwę Komitetu Paryskiego, w skrócie K.P. — z czasem Kapiści.

Żywiotowy *spiritus movens* naszej grupy, organizator balów akademickich, imprez związanych z naszym w 1924 roku wyjazdem do Paryża, a przy tym autor i inscenizator sztuk teatralnych. Impet agresywny, humor, koleżeństwo, z niczym nie liczący się potok pomysłów z próbami natychmiastowej ich realizacji Jaremy pomogły Kapistom zaistnieć od pierwszej chwili jako zespół o wyraźnych i agresywnych wówczas konturach.

O tym pierwszym krakowskim okresie Kapistów niejednokrotnie pisałem. Jakie było ówczesne malarstwo młodego Jaremy? Pamiętam je po tylu latach, tak jakbym je dziś widział, imponowało mi i zaciekało. On chyba pierwszy z całej grupy kubizuje (portret zakonny); jego martwe, na przeciwnym biegunie impresjonizmowi budowane były bryłami, podkreślonymi mocnym walorem. Pamiętam również piękny pejzaż przypominający Douanier-Rousseau. Tenże Douanier-Rousseau zdaje się inspirować Jaremę w uroczej sztuce „Serce panny Agnieszki” napisanej przez niego i wystawionej w Teatrze Słowackiego; chyba Leger wpłynął na inscenizację i dekorację drugiej jego sztuki — „Napoleon elektrowni”, granej również w tymże teatrze.

W tych samych latach z paru kolegami — Waliszewskim,

Szczyrbułą, Cybisem — objeżdżają prowincjonalne miasta Małopolski wystawiając tam własne obrazy; nocują na ławkach stacyjnych i głodują. Objazd ten nazywają „koncertami malarzkimi”. Tutaj pamięć moja mnie zawodzi, ale imiona Młodożeńca, Brunona Jasińskiego, Tytusa Czyżewskiego wiążą mi się z tą pierwszą imprezą młodych malarzy i poetów, których wtedy nazywali „futurystami”.

Paryż. To okres inkubacji Louvrem i niezliczonymi galeriami z Sutinem, Derainem, Bonnardem, ponad wszystko Cézannem, oraz iluz innymi odkryciami wielkiego — zdawało się nam wówczas jedyne — awangardowego malarstwa, okres zażartych dyskusji, godzin i godzin w kawiarniach Montparnasse'u i to wszystko na gruncie ciężkiej, głodnej walki o byt. Wszyscy mamy coraz to nóż na gardle, jak przeżyć? I tu Jarema, i zawsze Jarema, ma coraz to nowe, „dzikie” pomysły, które nas muszą finansowo uratować: pomysły imprez: od balu pod protektorem Picassa w największej wówczas sali na lewym brzegu Sekwany po orkiestrę jazzową, którą również Jarema stwarza i dla której montujemy w 1927 dansing na Sekwanie, gdzie na otwarcie zjawia się Diagilew z Lifarem.

Czy Jarema wówczas dużo maluje? Chyba nie, ale dziś jeszcze mam w oczach kilkanaście jego martwych, malowanych pod bezpośrednim wpływem nie Braque'a, nie Picassa czy choćby Chagalla, ale Chardina: jabłka i jabłka, na srebrzystym tle białej ściany.

Po powrocie do Krakowa około 30-go roku równoległe z jego malarstwem i aktywnym udziałem w naszych już w Polsce wystawach i walkach, Józek zakłada istniejący do dziś teatr „Cricot”, prowadzi go do 1939 roku. O teatrze „Cricot” ukazały się dwie książki w Wydawnictwie Literackim w Krakowie, obie pisane z werwą, pełne konkretnych faktów, szczegółów i ilustracji: J. Laua „Teatr Artystów Cricot” (1967) i St. Żytyńskiego „Bez rampy i sztampy” (1972).

Rok 1939 — rok graniczny dla każdego Polaka — zerwana praca, plany i nadzieje, a na odcinku naszego zespołu koniec zbiorowych poczynań — Kapiści w rozsypance. Dla mnie wojsko, obóz sowiecki, armia polska w Sowietach, a potem na Bliskim Wschodzie i we Włoszech.

Jaremę spotykam nagle w Kairze czy Bagdadzie! Byłem wówczas kierownikiem Wydziału Propagandy i Oświaty w Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie. Wciążam Jaremę do działu plastycznego, którym kierował Zygmunt Turkiewicz. Odnajduję Józka takim, jakim go zawsze znałem, przekonanego że właściwie sztuka i tylko sztuka coś znaczy. Zdawało mi się nieraz, że Józek choć sam w mundurze, wojny... nie zauważył. Miał po cichu żal do mnie, że tyle czasu tracę na sprawy związane z moją robotą w wojsku, że nie znajduję go, aby malować. Pamiętam jak na wieczery wigilijnej (1942) Jarema wstał i jako przemówienie

odczytał wstęp do mojej przed laty napisanej książki o Pankiewicz, w której pisałem, że sztuka nasza w dziewiętnastym wieku nie osiągnęła nigdy w pełni swych celów, bo wszyscy malarze, nawet Michałowski, dzielili swój czas na malarstwo i jakoby ważniejsze sprawy społeczne i patriotyczne. Jako przyjacielską prowokację ofiarował mi wówczas Jarema w Bagdadzie piękną kasety z farbami.

Józef w Bagdadzie to rozdział osobny; któż o nim w tamtych czasach mógłby jeszcze napisać? Razem z Turkiewiczem organizują pierwszą wystawę malarzy-żołnierzy Armii Andersa (oprowadzającym po tej wystawie był Anatol Stern!). Podobne wystawy będą miały miejsce w Tel-Awivie, bodajże w Kairze, a następnie w Rzymie.

Józek w Krakowie był zawsze otoczony kolegami: Ukraincami, Jugosłowianami i co głośniejszymi Polakami — dwór ze śpiewem i mandolinami; w Bagdadzie obrasta irackimi uczniami i przyjaciółmi, montuje zespół malarski i organizuje nową wystawę na zmianę nie polską, ale iracką.

Malarstwo samego Jaremy przechodziło od samego początku przez przeróżne wolty, ale tu, na Wschodzie, przeżywa wolte najdziwniejszą. Nagle spotykam Jareme — skrajnego impresjonistę! Wyjaśnia mi, z jemu właściwym zapałem i pewnością, że dopiero tu, na Środkowym Wschodzie, a przede wszystkim w Kairze, odkrył światło impresjonistów i że tylko tak można na Wschodzie malować. Zараза swym odkryciem młodych malarzy irackich, narzuca im swoją skrajną technikę zbrutalizowanego impresjonizmu, gdzie malarzowi wolno było jedynie operować plamami czystego koloru, już nie mówiąc naturalnie o wykletej czerni. Na wystawie tej grupy w Bagdadzie, z Jaremą na czele, nie umiałem rozróżnić płócien Józka od płócien jego irackich wyznawców, świeciły wszystkie wszystkimi kolorami tęczy. Zwiędzając tę sympatyczną wystawę entuzjastów zastanawiałem się gdzie znaleźli oni natchnienie dla tej tęczy kolorów patrząc na pustynię, którą ja widziałem w brązach corotowskich i zgaszonych szarościach.

Ostatnią wystawę malarzy-żołnierzy polskich montują Jarema i Turkiewicz w Rzymie; wstęp do niej pisze uroczy senior futuryzmu Severini.

Jarema wówczas znów ewoluuje — z powrotem w kierunku abstrakcji i form, nic wspólnego z impresjonizmem nie mających. Niespożyty organizator stwarza wtedy w Rzymie towarzystwo „Art-Club”, skupiające artystów różnych kierunków awangardy (zawsze awangardy), różnych narodowości — przeważnie Włochów — i montuje już po wojnie dosłownie dziesiątki wystaw we Włoszech, a kilka lat później organizuje szereg festiwali na Riwierze.

W roku 1950 osiada wraz z żoną, malarką Marią Sperling,

w Nicei. Malarstwo Jaremy w tym okresie przystaje do czystej abstrakcji, staje się on jej wyznawcą i szerzycielem. Jednocześnie do spółki z żoną tworzą warsztat tkacki, komponują wzory na dywany i makaty o wyłącznie abstrakcyjnych deseniach, sami je tkają i wystawiają z powodzeniem w Nicei, Paryżu i innych miastach.

Nie ja bym musiał pisać o tym okresie życia Józefa Jaremy — może najważniejszym. Choć tyle lat przeżyliśmy w jednym zespole, byliśmy tak blisko siebie, a jednocześnie daleko. Daleko z mojej winy — żywił Józka, jego pasję do tłumnych i głośniejszych akcji przeżywałem zawsze jak rodzaj trzęsienia ziemi (cóż znowu Józek za imprezę wymyśli i mnie do niej zechce zaprzęgnąć, zrywając mój tok i mój rytm pracy!). Jego pewniki artystyczne coraz to mnie drażniły, gdy jego nieugięta wiara w absolutny sens sztuki i dążenie uparte mnie wzruszały. Ale najważniejsza chyba epoka malarska Jaremy — lata 1950-1974 przeszła poza mną, nie znam jej, drogi nasze w tym okresie się rozeszły. Jarema był pryncypialnym wyznawcą czystej abstrakcji, ja sam byłem jak najdalej od tych skrajnych teorii abstrakcjonistów (zdawały się one prawie obowiązujące przez szereg lat również i w Paryżu) i nigdy nie dołączyłem do jego — Jaremy — ówczesnych akcji i wystaw, nawet nie dojechałem do Nicei na Rue de la Lanterne, by jego prace obejrzeć. A Jaremowie stworzyli tam żywy ośrodek sztuki i międzynarodowych przyjaciół. Któż ich tam nie odwiedzał z Polski i ze świata! Szereg tygodni mieszkała u nich na rok przed śmiercią, siostra — Maria Jarema; przyjeżdżał Gombrowicz z Vence, Jan Cybis na kilka miesięcy przed śmiercią również dotarł na Rue de la Lanterne.



W październiku bieżącego roku otwiera się w Mediolanie wystawa blisko 49 płócien Józefa Jaremy, w galerii Paganiego, przyjaciela i entuzjasty jego sztuki. Jarema już był tam wystawiał swe płótna, ale od kilku miesięcy znów zaczął montować nową organizację o celach naturalnie światowych, napisał coś w rodzaju manifestu pod tytułem „Mouvement artistique mondial pour une expansion nouvelle” i wierzył, zawsze wierzył, że ten ruch oczyści sztukę od spryciarzy i chucpiarzy i że tą drogą świat uszczęśliwi. Czy piszę to ironicznie? Bynajmniej — jakże nie uczyć tego bezinteresownego zapału!

„Pasja organizacyjna w obronie autentycznej sztuki — pisze mi jego żona — opanowuje Józka do tego stopnia że zapomina o swoim wieku i zdrowiu. Pracuje codziennie do 12-ej i 1-ej w nocy” i wyrusza w lipcu do Szwajcarii i Włoch, zaczepiając po drodze o Niemcy. Wszędzie czekają go wyznaczone spotkania z malarzami, mające na celu organizację światową. W Monachium zawał serca i śmierć, śmierć artysty, który do końca umiał

żyć w nieustannym porywie planów i prac z nie nadwątloną niczym wiarą w sens sztuki.

Jeszcze jeden odszedł z topniejącej garstki Kapistów...

Józef CZAPSKI

Pięćdziesięciolecie zgonu Conrada

PIĘCDZIESIĘCIOLECIE ZGONU CONRADA

W związku z pięćdziesiątą rocznicą śmierci Conrada Korzeniowskiego — pisarza, którego znaczenie wciąż wzrasta, chociaż minęło już przeszło pół wieku od czasu, gdy powstawały jego dzieła — odbywają się w szeregu krajów zjazdy conradystów dla uczczenia i omawiania jego twórczości. Najwybitniejszy z nich i o trwałym znaczeniu odbył się w dniach 15-19 lipca w Canterbury na uniwersytecie Kentu.

Na zjazd (*International Conrad Conference*) przybyli conradysty z wszystkich stron świata, członkowie trzynastu narodowości, a w ciągu pięciu dni jego trwania odbyło się przeszło 20 odczytów i seminariów.

Bardzo licznie byli reprezentowani conradysty polscy. Z Polski przybyli dr Zdzisław Najder, prof. Przemysław Mroczkowski, dr Barbara Kocówna, dr Róża Jabłkowska i prof. Aniela Kowalska oraz pisarz Andrzej Braun. Ze Stanów Zjednoczonych wziął udział prof. Adam Gillon, z Kanady prof. Andrzej Busza, a z Anglii dr Wit Tarnawski i komandor Mariusz Hrynkiewicz-Moczulski.

Jedno z seminariów kongresu poświęcone było wyłącznie conradystyce polskiej. Przemawiali na nim dr Kocówna i prof. A. Gillon. Prócz tego profesorowie Najder i Busza wygłosili osobne odczyty już poza ramami seminarium. Warto dodać, że obydwie spotkały się z bardzo żywym przyjęciem i zostały przez ogół słuchaczy zaliczone do najciekawszych odczytów kongresu.

Poświęcenie tak pokażnej ilości czasu i uwagi polskiej stronie Conrada, przy ograniczonej ilości odczytów konferencji pokazuje jak wielkie jest obecnie zainteresowanie polskim zapleczem Conrada u conradystów innych narodowości. Zdają oni sobie coraz lepiej sprawę, że nie można w pełni zrozumieć Conrada bez poznania jego polskiej przeszłości.

To nastawienie na polskość w świecie conradystyki dało się jeszcze lepiej poznać w godzinnej audycji BBC (w dniu 4 sierpnia), poświęconej zjazdowi w Canterbury. Sprawozdawca, Jan Rodger, wybrał dla swego wywiadu aż czterech conradystów polskich na ogólną liczbę przeszło stu członków kongresu. Zaś prof. Albert Guerard, jedna z największych powag conradystyki anglosaskiej, podkreślił w swoim wywiadzie wagę obecności Polaków na kongresie i znaczenie dla conradystyki międzynarodowej ich wiedzy o tradycji, w której Conrad za młodu wyrastał. Bardzo przy tym zachęcał, ażeby wybór najlepszych polskich prac o Conradzie wydano w przekładzie angielskim.

W. T.

Książki

Nie ta rewolucja

Orwell określił marksizm jako teorię, pozwalającą nie tylko dokładnie przewidzieć, który koń przyjdzie pierwszy do mety, lecz także uzasadnić następnie szczegółowo, dlaczego tenże koń przegrał. Książka Davida Rousset'a — francuskiego specjalisty od zagadnień obozów koncentracyjnych na świecie, a zarazem trockisty — pt. „Rozsądzone (rozbite? rozerwane?) społeczeństwo”* wyraziście ilustruje tę podwójną użyteczność marksizmu. Główną tezę Rousset'a, sformułowaną w znanym kodzie (walka klas, sprzeczności, stosunki produkcyjne, etc.) jest, że rewolucja rosyjska 1917 nie była tą ostateczną rewolucją, ponieważ wybuchła za wcześnie, i że definitywna rewolucja — nazwana w książce „drugą rewolucją światową” — wybuchnie niebawem.

Według ogólnomarksistowskiego schematu rewolucja wybuchła wówczas, gdy zachodzi sprzeczność pomiędzy stosunkami produkcyjnymi a poziomem rozwoju sił wytwórczych, czyli mówiąc prościej, gdy dotychczasowy ustrój prawny i polityczny staje się hamulcem gospodarki; nieuchronność rewolucji w tym schemacie jest dziedzictwem heglizmu, który miał silne zabarwienie biologiczne — rewolucja odgrywa tu rolę rozbicia skorupki jaja, w którym siedzi już gotowe kurczę: nowy, doskonalszy ustrój. Według Rousseta w historii świata zaszedł jednak fatalny w skutkach wypadek: rewolucja rosyjska rozbiła jajo zanim kurczę dostatecznie podrosło — to znaczy zanim poziom techniki rzeczywiście zaczął nadawać się do urzeczywistnienia ideałów socjalistycznych — i skutkiem tego autentyczna początkowo rewolucja proletariacka (Rousset nazywa rewolucję bolszewicką „pierwszą rewolucją światową”) *nolens volens* zwyrodniała w kapitalizm państwowy, który wytworzył nową klasę wyzyskiwaczy

* David Rousset, *La société éclatée (De la première à la seconde révolution mondiale)*; Ed. Grasset & Fasquelle, Paris 1973, 783 p.).

— biurokrację. W przeciwieństwie do autora terminu „nowa klasa” — Džilasa, Rousset nie wywodzi biurokracji z prostego faktu koncentracji władzy przez jedną partię, lecz upatruje w tym rodzaj fatum polegającego na tym, że rewolucja wybuchła, gdy nie było jeszcze na świecie komputerów, skutkiem czego partia wobec nawału pracy administracyjnej podzieliła się na biurokratów zawodowych i resztę, która szybko straciła wpływ na cokolwiek. Nastąpił stalinizm — rozpatrywany jako wyraz interesów „nowej klasy” — który trwa właściwie bez zmian do dziś; Związek Sowiecki stał się państwem klasowym i kapitalistycznym — tyle, że o kapitalizmie państwowym — i przez to powrócił do globalnej formacji kapitalistycznej. Formacja ta jednak stoi obecnie w obliczu nowej rewolucji, która — jak się należy domyślać — będzie już tym właściwym koniem. Rousset oczekuje światowej rewolucji na skutek zaostrzenia się sprzeczności między kapitałem a pracą: chodzi mu o to, że praca ludzka, którą Marks (za Ricardem) uznał za jedyne źródło wartości w świecie, obejmuje obecnie w coraz szerszym zakresie naukę („pracę abstrakcyjną”), a rozwój tej dziedziny jest, jego zdaniem, nie do pogodzenia z prywatną własnością kapitału, tzn. ze skupieniem decyzji w rękach nielicznych grup. Gospodarka światowa w coraz większym stopniu zależy od rozwoju badań podstawowych, a te nie mogą rozwijać się swobodnie i wszechstronnie, ponieważ warstwa rządząca wykorzystuje je jedynie do własnych celów (militarnych, eksploatacyjnych, etc.). Zdaniem Rousseta kapitalizm staje się obecnie takim samym hamulcem rozwoju, jakim w swoim czasie był feudalizm dla industrializacji. Naukowcy stają się dziś „obiektywnie” awangardą proletariatu i te dwie połączone siły muszą doprowadzić do obalenia zasady prywatnej własności i zastąpienia jej *autogestion* — kolektywnym zarządzaniem i planowaniem. Po raz pierwszy w dziejach świata taki zbiorowy system decydowania stał się możliwy — dzięki komputerom.

W tym streszczeniu głównej idei książki ostro zaznacza się pewna naiwność, wynikająca częściowo z doktrynerstwa marksistowskiego (pomyłka Ducha Dziejów, który w myśl doktryny winien być nieomylny), a częściowo z entuzjazmu technologicznego (wiarą w cudowną moc komputerów), niemniej książka zasługuje na uwagę. Nieuniknioną konsekwencją eschatologicznych pretensji marksizmu jest to, że każda praca pisana w tym duchu stanowi krótkie kompendium dziejów świata i rozpada się na części: apologetyczną, deskryptywną i profetyczną (odpowiadające przeszłości, teraźniejszości i przyszłości naszej planety) i książka Rousseta nie jest wyjątkiem. Partie apologetyczne wydają mi się wątpliwe (autor ma np. wyraźne trudności z zachowaniem anielskości Lenina i Trockiego na tle powstania Kronsztatu), a jego futurologiczny profetyzm pozostaje, no, futurologicznym profetyzmem; nie widzę np. powodu, dlaczego komputery miałyby się przyczynić w sposób nieunikniony do demokratyzacji świata, a nie — dajmy na to — do usprawnienia po-

licji politycznej państw totalitarnych. Książka wyróżnia się jednak korzystnie na tle rozpowszechnionego we Francji gatunku publicystyki socjo- a zarazem ideologicznej: jej partie deskryptywne — traktujące głównie o historii ustroju Związku Sowieckiego i krajów podległych — są napisane solidnie i rzeczywiście informatywnie (np. historia sowieckiego systemu prawnego zawiera cytaty, źródła, daty i odnośniki bibliograficzne — rzeczy rzadko spotykane w publikacjach tego typu). Ponieważ osobiście uważam marksizm za koncepcję jałową, a dyskusję pomiędzy tzw. rewizjonistami za spór o to, czy ziemia jest całkiem płaska czy też może lekko wypukła, nie podejmuję się oceniać wkładu Rousseta do teorii marksizmu — sędzę jednak, że musi ona stanowić dla amatorów kąsek smakowity i znacznie bardziej pożywny, niż np. prace Garaudy'ego. W każdym razie jest to rzecz intelektualnie uczciwa i inteligentna — co znaczy bardzo dużo. Za główną jej wadę uznałbym jej przerażającą długość; wydaje się, że bez szkody, a nawet z korzyścią, można by ją skrócić o kilkaset stron.

M. BROŃSKI

Russica

PRAWA CZŁOWIEKA I ZWIĄZEK SOWIECKI*

Omawiana książka posiada swą prehistorię, równie ciekawą jak i przedmiot omówienia. Młody moskiewski profesor fizyki, ponoć nieprzeciętnie utalentowany, poza swym zawodem uprawiał również oryginalne hobby, a mianowicie prawo, ze szczególnym uwzględnieniem praw człowieka, dziedziny niezbyt preferowanej w ZSSR i w krajach podległych.

Takie hobby nie jest mile widziane przez władze sowieckie o czym Czalidze mógł się niejednokrotnie na własnej skórze przekonać. To hobby stało się również źródłem kłopotów dla władzy sowieckiej, albowiem Czalidze stał się jednym z założycieli Komitetu Praw Człowieka, powstałego w Moskwie w 1970 roku. Z ramienia Komitetu Czalidze występował wielokrotnie do władz sowieckich żądając przywrócenia prawu jego mocy obowiązującej, uchylecia nieprawnych wyroków i postanowień, odstąpienia od niekonstytucyjnej praktyki *tid*. Przestrzegając ram legalności żą-

* Czalidze Walerij, *Prawa człowieka i Sowietskij Sojuz*. New York, 1974, str. 304.

dał tego samego od władz. W związku z wyrokiem nad Rojzą Pałatnik, skazaną m.in. za przechowywanie utworów Achmatowej, Czukowskiej, Galicza, Mandelsztama, zwracał się Czalidze 3 lipca 1971 do wyższej instancji sądowej, czy zamierza ona „... utrzymać w mocy nieprawomocny (jeszcze) wyrok czy też uniewinnić R. Pałatnik, Mandelsztama, Achmatową?”.

Władza sowiecka takich pytań nie lubi i wątpię, by polubiła. Represja wobec Czalidze jednak ograniczyła się do deportacji w listopadzie 1972 roku.

Przebywając od tego czasu w USA Czalidze wydał książkę „Prawa człowieka a Związek Sowiecki”. Praca dowodzi, że Czalidze nie tylko zdołał włączyć się w zakamarki prawa materialnego i procesowego, ale również wyrobił sobie ciekawe spojrzenie na podstawy sowieckiego ustawodawstwa. Zwróćmy tu uwagę na kilka poruszonych przezeń problemów, które wydają się nam szczególnie istotne.

Jedno z najciekawszych zagadnień to mglistość sowieckich ustaw. Istnieje ogólne domniemanie, że mglistość ta jest konsekwencją niskiej kultury prawnej i nieudolności. Czalidze odrzuca ten pogląd i dowodzi, że mglistość ta jest zamierzona i spełnia istotną rolę w systemie totalitarnym, zwróconym przeciwko społeczeństwu. „Można — dowodzi on — przytoczyć szereg przykładów z historii, gdy dla politycznego ujarznienia ludności wystarczyło, by władze ogłosiły dyskryminację niewielkiej części ludności ale zastosowały w praktyce zasadę nieściśle określonych kryteriów...! (Prawa człowieka..., str. 15). Czalidze dowodzi, że te nieściśle określone kryteria są — we wszystkich dziedzinach — głównym instrumentem rządów totalitarnych.

(W nawiasie zwróćmy uwagę, że nieściśłość prawa względnie kolizja norm prawnych jest bronią obosieczną — w określonych warunkach może być również czynnikiem sprzyjającym ruchom kontestatorskim, czego dowiodła chociażby działalność Czalidze. W chwili obecnej zarówno władze sowieckie jak i satelickie robią duże wysiłki w kierunku ujednoznacznienia prawa, by mieć narzędzia represji lepiej odpowiadające nowej sytuacji).

Czalidze dowodzi że przepisem prawnym, przy pomocy którego można usankcjonować każde nadużycie władzy jest art. 14 podstaw sowieckiego ustawodawstwa karnego podciągającego pod pojęcie obrony koniecznej „... usunięcie niebezpieczeństwa grożącego interesom państwa sowieckiego...” — w praktyce zawsze można bez trudu dowieść że kolidujące z prawem działanie było spowodowane potrzebą ochrony interesów państwa. Zwłaszcza, że jedynie państwo określa co należy do sfery jego interesów.

Poczucie prawne w Związku Sowieckim jest niskie nie tylko wśród laików, ale i wśród prawników. W pracach jurystycznych raz za razem tłumaczy się *prawo wyborcze* jako *zaszczytny obowiązek*, *zaostrenie dyktatury* jest przedstawiane jako przejaw *obumierania państwa* (!) a „być wolnym człowiekiem” znaczy zro-

zumieć konieczność i granicę swego działania i postępować w sposób racjonalny” (*Prawa człowieka...*, str. 29).

Ratyfikowanie przez Związek Sowiecki wielu międzynarodowych konwencji o prawach człowieka jest zjawiskiem pozytywnym, ale konwencje te nie są wcielone w życie. Związek Sowiecki konsekwentnie stoi na stanowisku, że konwencje te, aczkolwiek ratyfikowane nie uszczuplają suwerenności w niestosowaniu się do tych postanowień międzynarodowych. Można okazuje się i tak.

Przyznam się, że mam nieco zrozumienia dla stanowiska sowieckich władców. Co prawda Czalidze dowodzi, że „... ruch obrony praw człowieka w ZSSR nie jest ruchem politycznym i nie ma zamiaru obalenie istniejącego ustroju lub szkodenia władzy sowieckiej”, (str. 60) ale jest to jednak zagadka. Prawdopodobnie zadane pytanie brzmi bowiem inaczej: czy prawa człowieka nie są — z definicji — sprzeczne z ustrojem, którego podstawą jest bezprawie człowieka. Innymi słowy, czy ustrój ten jest na tyle podlegający zmianom, że zdoła pogodzić się i z prawami człowieka.

ZAPISKI EMIGRANTA*

Nazwisko Hessen przykuwa uwagę każdego, kto interesuje się najnowszą historią Rosji. Josif Hessen był jednym z najwybitniejszych polityków przedrewolucyjnej Rosji, redaktorem najlepszej rosyjskiej gazety *Riecz*, wybitnym prawnikiem. Na emigracji wydawał *Archiv Russkoj Rewolucji* które ciągle jest skarbem dla każdego historyka.

Jego syn Włodzimierz chociażby z tego tytułu znał wielu wybitnych ludzi, wiele widział, w wielu wydarzeniach brał bezpośredni udział. Niestety, pisanie pamiętników wymaga pewnej predyspozycji, której autor nie posiada. Zamiar stworzenia epopei rodu nie powiódł się. Nawet o własnym życiu, które się układało na pewno nie banalnie, niewiele ma do powiedzenia. Jako źródło historyczne książka niewiele wnosi.

Nie byłoby potrzeby omawiania tej książki, gdyby nie budziły refleksji marginalne wzmianki na temat Polski i Polaków. U Hessena jeśli Polka to niezmiernie piękna i... agent Gestapo. Polacy są równie przystojni i są... oficerami Gestapo. Zarówno kobiety jak i mężczyźni są wyjątkowo perfidni i niebezpieczni, więc słusznie los wymierza im okrutną karę. W mieście Castres w południowej Francji w czasie II wojny światowej stał dziesięcioletni niemiecki garnizon i „... wśród oficerów było niemało Polaków, którzy przyodziali się w niemieckie mundury” (str. 179). Nic więc dziwnego, że gdy Hessen pisze o swym bracie Sergiuszu, profesorze pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, to wy-

* Władimir Hessen, *W bor'bie za żizń*. Zapiski emigranta. New York, 1974, str. 206.

5-10-74

Andriej Sacharow wystosował apel do ONZ, domagając się wysłania korpusu ekspedycyjnego do Iraku celem zapobieżenia wyniszczeniu mniejszości kurdyjskiej przez Irak. Domaga się on również zaprzestania dostarczania Irakowi broni i specjalistów. ■ Prasa sowiecka donosi o śmierci gen. Kuźmy Grebiennika, który w czasie powstania węgierskiego w 1956 r. dowodził wojskami sowieckimi. ■ W PRL powstało biuro handlu zagranicznego — „Locum” Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego. Oferuje ono za dewizy mieszkania w 200 miastach na terenie PRL. Osoby polskiego pochodzenia, zamierzające osiedlić się w kraju, mogą nabywać mieszkania oraz domki jednorodzinne nawet zamawiając je na kilka lat naprzód. „Locum” umożliwia także osobom zamieszkałym w Polsce nabywanie mieszkań za dewizy przekazywane z zagranicy przez rodziny i znajomych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

6-9-74

Staraniem Polskiego Związku B. Więźniów politycznych w Szwecji i przy współudziale Polskiego Komitetu Pomocy oraz Towarzystwa Przyjaciół *Kultury* odbyła się w Sztokholmie akademii poświęcona ofiarom ostatniej wojny w 30-lecie jej wybuchu.

20-9-74

Kardynał Wyszyński w porozumieniu z Kardynałem Heenanem mianował rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Londynie na miejsce Ks. infułata Stanisławskiego, ks. prałata Karola Zielińskiego — dotychczasowego wice-rektora i proboszcza polskiej parafii na Devon Road w Londynie. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt ks. prof. Janusza St. Pasterba na temat „Chrześcijaństwo i współczesny kształt kultury polskiej”.

21-9-74

Ks. infułata Edward Lubodziecki, wizytator kanoniczny Polaków w Niemczech Zachodnich, obchodził złoty jubileusz kapłaństwa. Na uroczystość przybył Kardynał Wojtyła.

22-9-74

W Polskim Ośrodku Katolickim w Londynie odbył się odczyt ks. Mirewicza pt. „Stosunek Kościoła do wiedzy w rozwoju historycznym”.

23-9-74

W Rzymie zmarł, w wieku 83 lat, arcybiskup Kościoła greko-katolickiego Kir Iwan Buczko. Arcybiskup Buczko odgrywał czołową rolę w życiu Kościoła ukraińskiego.

24-9-74

W Londynie zmarł, w wieku 81 lat, płk Witold Świącicki, jeden z najstarszych krechowiaków, uczestnik bitwy pod Krechowcami. ■ W Rio de Janeiro zmarł, w wieku 69 lat Konrad Wrzos, znany dziennikarz przedwojenny, współpracownik krakowskiego *Ilustrowanego Kuryera Codziennego*. Od 1940 roku mieszkał w Brazylii pisując do miejscowej prasy i wydając *Brasilian Yearbook*.

25-9-74

Władze PRL podniosły taryfy dla Polaków, obywateli holenderskich dotychczas opłat za każdy dzień pobytu w Polsce z Dol. 2,30 do Dol. 7,00. Konsul PRL, Myszyński, zapowiada, że w przyszłym roku w ogóle nie będą wydawane wizy dla Polaków z Holandii, o ile pismo *Kombatant Polski w Beneluxie* nie zostanie zamknięte, a jego redaktor i wydawca Bogumił Strenk nie zostanie usunięty ze stanowiska prezesa Koła S.P.K. „Vlissingen”.

5-10-74

Nagrody literackie Nobla za rok 1974 otrzymali dwaj wybitni pisarze szwedzcy Eyvind Johnson i Harry Martinson. ■ Staraniem Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych odbył się wieczór z okazji studium urodzin Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Przewodniczył prezes Towarzystwa Jan Morelowski. Głównym prelegentem był Jan Fryling, który dał barwny obraz życia i osiągnięć pisarza na tle współczesnej epoki i panujących wówczas prądów literackich i artystycznych. Prelekcja Jana Frylinga była ilustracją szeregami recytacji utworów Boya-Żeleńskiego z udziałem Marii Geisslera, M. F. Geisslera, Bohdana Kaweckiego, Jana Morelowskiego i Oskara Schenkera. Na zakończenie mecenas Oskar Schenker przedstawił okoliczności ostatniego okresu życia i tragicznej śmierci Boya. ■ W Londynie odbyło się zebranie Nacz. Rady Harcerskiej przy udziale członków Rady z Anglii, Francji, Belgii, Niemiec, USA, Kanady i Argentyny. Przewodniczącym Rady wybrano ponownie R. Kaczorowskiego. Naczelnikiem został Jacek Bernasiński, komisarzem zagr. K. Stepan, a komisarką zagr. Anna Sabbatówna.

6-10-74

Na międzynarodowym zjeździe mikrobiologów w Tokio 530-tu naukowców podpisało petycję do rządu ZSSR w obronie Niny Strokatej, znanego mikrobiologa ukraińskiego, która została ostatnio skazana na 4 lata więzienia za odmowę rozwodu ze Swiatosławem Karawańskim.

8-10-74

W Institut Catholique de Paris arcybiskup Jean Rupp wygłosił odczyt pt. „Une grande oeuvre religieuse du XX^e siècle: La Mariologie de Kolbe”. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 93 lata dr Marian Falski, wybitny uczyony, nestor polskich pedagogów.

9-10-74

W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa polskiej sztuki graficznej. Wystawiają: Gaj, Pietsch i Rózga. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 76 lat Artur Nacht-Samborski, wybitny artysta-malarz.

10-10-74

W Bibliotece Polskiej w Paryżu otwarto muzeum Bolesława Biegasa, znanego rzeźbiarza. ■ Prasa donosi o ponownym aresztowaniu M. Mihajlova. Powodem jest zamieszczanie przez niego artykułów w emigracyjnej prasie rosyjskiej — wbrew zakazowi władz jugosłowiańskich. ■ Do jury nagrody literackiej *Wiadomości* londyńskich został wybrany, na miejsce zmarłego Michała Chmielowca, Ignacy Wieniewski. ■ Historyk Józef Wulf, autor szeregu publikacji dotyczących hitleryzmu popełnił samobójstwo w Berlinie zachodnim. W swoim czasie *Kultura* bardzo krytycznie oceniała jego publikacje.

11-10-74

W Instytucie Polskim w Londynie Kazimierz Vincenz ze Szwajcarii wygłosił pogadankę na temat „Od Stanisława Szczepanowskiego do Stanisława Vincenza”.

12-10-74

W Melbourne (Australia) ukazała się broszura pt. „Strzelecki's Ascent of Mount Kosciuszko 1840”, której autorem jest ppłk H. P. G. Clews. Przedmowę opracował Lech Paszkowski. Cena egzemplarza Dol.A.1,20. Książkę można zamawiać w Australian Felix Literary Club, 153 Sydney Road, Brunswick, Vic. 3056.

13-10-74

O. J. Mirewicz wygłosił w sali na Devonian w Londynie konferencję religijną pt. „Paweł Apostoł — uniwersalizm”.

14-10-74

Uroczyste zebranie POSK'u przewidziane jest na 1 grudnia bież. roku. Mówi się o możliwości odnajęcia najwyższego piętka nowego budynku POSK'u Radzie Miejskiej Hammersmith za cenę £ 6.50 za stopę, co przy powierzchni 10.000 stóp dałoby POSK'owi roczny dochód w wysokości £ 65.000. SPK za lokale biurowe w POSK'u o powierzchni 4.000 stóp ma płacić symboliczną kwotę £ 1 rocznie, w zamian za pożyczkę £ 75.000. ■ Z powodu napiętej sytuacji na rynku pracy, rząd australijski wstrzymał imigrację. Wydane zostało zarządzenie czasowego ograniczenia wjazdu ludności z obcego kraju celem osiedlenia się na stałe. Minister pracy Clyde Cameron podał do publicznej wiadomości, że z prawa imigracji mogą skorzystać jedynie te osoby, których podania zostały uwzględnione przed wejściem w życie nowego zarządzenia australijskiego. Dalsze podania nie będą uwzględnione, aby nie zaostriżyć problemu bezrobocia.

15-10-74

W Galerie M. Benezit w Paryżu została otwarta wystawa obrazów Jana Ekierta. ■ W Gallerie Paganì w Mediolanie miała miejsce pośmiertna wystawa J. Jaremy, obrazująca twórczość całego jego życia 1900-1974.

18-10-74

W Imperial College w Londynie, staraniem Instytutu J. Piłsudskiego i Związku Legionistów i Peowiaków, odbył się w 60-tą rocznicę polskiego czynu zbrojnego wieczór „Legenda wieczna i żywa”.

19-10-74

Paris-Match w korespondencji z Rzymu pt. *Au synode on parle de succession* pisze, że w kuliarach Watykanu mówi się o chorobie papieża i już się ustala listy „papabili”. Wśród kandydatów wymieniana się kard. Karola Wojtyła, arcybiskupa krakowskiego.

21-10-74

Paryska Galerie Lambert zorganizowała wystawę obrazów Leonor Fini, St. Lepiego, Loo, J. Czapskiego i J. Lebensteina w Centre Français d'Exposition w Tokio.

24-10-74

W teatrze Petit Orsay w Paryżu, prowadzonym przez Madeleine Renaud i Jean-Louis Barrault wystawiono sztukę St. Mrożka „Les émigrés”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Prof. Janusz K. Zawodny z uniwersytetu Pennsylvania w Filadelfii został zaproszony, jako Visiting Fellow do St. Anthony's College, w Oxfordzie

(Wielka Brytania) na rok akademicki 1975/76. ■ Wartość polsko-amerykańskich obrotów handlowych wyniesie w roku bieżącym około 700 milionów dolarów. W ciągu dwóch ostatnich lat obroty te wzrosły o 177%. ■ W New Jersey (diecezja Paterson), zlikwidowano dwie szkoły przy parafiach polonijnych. Powodem jest zbyt mała ilość uczęszczających dzieci. Zaznacza się ogólne kurczenie szkolnictwa polonijnego, tak np. w New Haven, gdzie było w szkole 1.300 dzieci, jest obecnie tylko 240. ■ Partia Demokratyczna stanu New York wybrała kandydatów do wyborów listopadowych. Kandydaturę na wicegubernatora zdobyła Mary Ann Krupsak, dotychczasowa senatorka w legislaturze stanowej. Prasa amerykańska, z *New York Times* na czele, przyjęła zyczliwie jej kandydaturę. ■ 13. 10. br. odbędzie się przeniesienie zwłok O. Leopolda Moczygemby — założyciela najstarszej osady i parafii w USA — z Detroit do Panna Maria w stanie Texas. O. Moczygemba należał do niemieckiej prowincji swego zakonu i został skierowany przez przelozonych do stanu Texas w USA, gdzie osiedlił się dużo Niemców. Za jego namową, na skutek ciężkiej sytuacji gospodarczej w tym okresie na Śląsku, wybrało się do Texasu kilkadziesiąt polskich rodzin. Grupa polska była osamotniona, znalazła się w ciężkich warunkach życiowych, otoczona przy tym nienawiścią miejscowej ludności. Rozgoryczenie osadników było tak wielkie, że O. Moczygemba musiał ratować życie ucieczką do Chicago. Był później czynny w Chicago i w Detroit. Jego osoba i grób były zupełnie zapomniane. Przed paru laty grób został odszukany przez ks. J. Swastka z Orchard Lake. O. Moczygemba urodził się w Wielkiej Kluzi na Śląsku w 1824 roku a zmarł w 1891 w Detroit. ■ Polacy w wojsku na Śląsku w 1924 roku a zmarł w 1891 w Detroit. ■ Polacy w wojsku na Śląsku w 1924 roku a zmarł w 1891 w Detroit. ■ Polacy w wojsku na Śląsku w 1924 roku a zmarł w 1891 w Detroit. ■ General Józef Pieklik jest szefem Army Tank-Automotive Command, US: General Józef Pieklik jest szefem Army Tank-Automotive Command, a gen. bryg. Antoni Daskiewicz jest jego zastępcą. Obaj biorą czynny udział w życiu Polonii w Detroit. ■ Prawie w ostatniej chwili, w rezultacie bezpośredniej interwencji prezydenta Forda — zaalarmowanego przez sekretarza skarbu Wiliama Simona — anulowano transakcje zbożowe, zwarte między rządem sowieckim, a dwoma amerykańskimi firmami na dostawę do ZSSR 91 milionów buszli kukurydzy i 34 milionów buszli pszenicy o łącznej wartości 500 milionów dolarów. Chociaż o tych transakcjach był poinformowany sekretarz Rolnictwa, Earl Butz, nie uczynił nic, by transakformowany sekretarz Rolnictwa, Earl Butz, nie uczynił nic, by transakcjom tym zapobiec. Po decyzji prezydenta Forda oświadczył, że tego typu wymiana handlowa wynika z zasad *Détente*, które nadal obowiązują w polityce amerykańskiej. Jest rzeczą charakterystyczną że prasa amerykańska, zwykle tak świetnie poinformowana o wszystkich zakulisowych praktykach rządowych w tym wypadku nie postarała się, by zawnazę zaalarmować opinię publiczną. Ograniczyła się jedynie do komentarzy *ex post*, oceniając na ogół przychylnie decyzję prezydenta Forda. Przypominamy, że ZSSR zakupił w 1972 r. w USA 15 mln. ton zbóż, a w 1973 r. 7 mln. ■ 28. 9. br. w Detroit odbyła się konferencja przedstawicieli zarządów głównych Kongresów Polonii Kanadyjskiej i Polonii Amerykańskiej. Na nych konferencji uchwalono zwołanie zjazdu przedstawicieli naczelných organizacji Polonii w krajach wolnego świata. Zjazd ma się odbyć w 1976 roku. ■ 3. 9. br. Senat USA nadał jednogłośnie honorowe obywatelstwo Stanów Zjednoczonych Aleksandrowi Sołżenicynowi. ■ W przeddzień wizyty E. Gierka w USA konsul generalny PRL w Nowym Jorku zwrócił się do burmistrza tego miasta, p. B. Ame, aby oficjalnie powitał sekretarza PZPR. Prośba konsula, p. Ciasia, została załatwiona szybko i odmownie. ■ 14. 9. br. miał miejsce w Chicago uroczysty bankiet z okazji 35-lecia powstania Legionu Młodych Polek. Jest to wyjątkowa organizacja która odegrała (i jeszcze odegra) wielką rolę w mecenasowaniu kulturze polskiej. M.in. dzięki niej powstała katedra literatury polskiej w Chiego. Legion Młodych Polek nie ogranicza się jedynie do polonii amerykańskiej ale ma ambicje patronowania kulturze polskiej w ogóle. Z wdzięcznością red. *Kultury* wspomina

ufundowanie nru *Kultury* w okresie bardzo trudnym dla pisma. ■ 24. 9. 74 zmarła w Hamden, Conn. (USA) Wanda Roehr, założycielka i prezeska „The Wanda Roehr Foundation”, której zadaniem była pomoc dla studentów, uczonych i artystów polskich.

KRONIKA KANADYJSKA

Andrzej Bohomolec ofiarował żeglarsztwu polskiemu puchar z napisem „Puchar Oceanów ofiarowany przez załogę jachtu 'Dal' (1934 r.) żeglarsztwu polskiemu za dokonane wspaniałe wyczyny na wodach Oceanów świata (1974 r.)”. Jednocześnie w Polsce wydano znaczek pocztowy w cenie zł 1,50 dla uczczenia wyprawy „Dalu”. A. Bohomolec po wojnie zajmuje się hodowlą koni w Kanadzie. Jego Bohomolec Ranch została uznana jako najlepsza hodowla koni na terenie Kanady na rok 1973. Orzeczenie to zostało wydane przez American Quarter Horse Association w wyniku znakomych rezultatów na wystawach i pokazach koni i Bohomolec Ranch została zaliczona do pierwszej dziesiątki najlepszych hodowli na terenie Ameryki Północnej. ■ Dr Zbigniew Folejewski, profesor University of British Columbia w Vancouver, został przewodniczącym Canadian Association of Slavist, a prof. Iwan Rudnyckij — wiceprzewodniczącym. ■ Parafie polskie w Montrealu, które dotąd znajdowały się pod opieką prowincji amerykańskiej zgromadzenia OO. Franciszkanów, zostały przejęte przez prowincję polską tegoż zakonu. ■ Ks. Józef Capiga obchodził 25-lecie probostwa parafii Św. Stanisława Kostki w Hamilton. Jest to największa polska parafia w Kanadzie, erygowana w 1912 roku. Ks. Capiga jest prezesem Konferencji Księża Polskich na Wschodnią Kanadę i członkiem komisji dla spraw emigracyjnych episkopatu polskiego.

MIĘDZYNARODOWY ZJAZD SLAWISTÓW

Zjazd który odbył się w dniach 4-7 września w Banff, Alberta, zasługuje na uwagę nie tylko z powodu bogatego programu, poziomu referatów i dyskusji i strony naukowej tego spotkania, ale i ze względów politycznych.

Organizatorzy pierwszego międzynarodowego zjazdu slawistów zmierzali do osiągnięcia *détente* w pracach slawistycznych i dlatego chcieli zapewnić sobie udział pracowników naukowych z ZSSR oraz państw bloku komunistycznego. O ile naukowcy z różnych państw komunistycznych biorą udział w różnych konferencjach międzynarodowych na Zachodzie o tyle sowieccy raczej rzadko. Zjawiali się tylko na nielicznych konferencjach — ściśle apolitycznych.

„Banff 74” projektowano jako szeroki zjazd slawistyczny. Miał bowiem obejmować zarówno zagadnienia lingwistyczne i literackie, jak i społeczne, gospodarcze, socjalne, historyczne itp. Co więcej, organizatorzy zapowiadali omawianie wszelkich problemów dotyczących ZSSR i państw Wschodniej Europy. Zmierzając jednak do osiągnięcia maksimum obiektywności w swoich badaniach — wysuwali postulat współpracy i współdziałania, co ma — w myśl założeń organizatorów — stworzyć bazę kooperacji naukowej, na której będzie mogła rozwijać się w przyszłości i kooperacja szersza — państwowa.

Uczestników zjazdu było 831. Niektórzy przybyli z członkami rodzin, zjawiała się też pewna ilość nie związanych z uniwersytetami, ale zainteresowanych problematyką zjazdu. Ogółem więc było grubo ponad 1.000 osób.

Zjawili się przedstawiciele uniwersytetów azjatyckich i afrykańskich, z wyjątkiem Chińczyków, natomiast byli Japończycy i Koreańczycy, a wśród Hindusów znany dobrze Polakom dr Peter Raina. Bez popełnienia wielkiego błędu można zaryzykować twierdzenie, że w kuluarach górował język polski. Ale o tym później.

Przewodniczącym delegacji sowieckiej był akademik A. L. Narocznicki z Instytutu Historii Akademii Nauk a w skład jej wchodził: D. W. Kuźniecowa — Instytut Historii; E. D. Modzinska — Instytut Filozofii; W. M. Rusanowskij — Instytut Lingwistyki, Kijów; S. L. Titarenko — Instytut Marksizmu-leninizmu, Moskwa; W. A. Kumaniew — Moskiewski Instytut Metalurgii; J. D. Deszerjew — Instytut Lingwistyki, Moskwa; W. S. Siemienow — Instytut Badań Socjologicznych, Moskwa; G. F. Kim — Instytut Orientalistyczny Akademii Nauk w Moskwie; E. I. Kapustin — Instytut Ekonomii Akademii Nauk; A. L. Dymysz — Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego, Akademia Nauk, Moskwa; W. I. Pierenosow — Instytut Ekonomii Światowej i Stosunków Międzynarodowych, Akademia Nauk oraz dr Płotnikow — Akademia Nauk Moskwa.

Delegacja z Polski była bardziej aniżeli skromna, przybyli jedynie dr Witold Trzeciakowski, ekonomista z Ministerstwa Handlu Zagranicznego oraz prof. Jerzy Wiatr, socjolog, który uczestniczył w kongresie socjologów w Toronto. Ponadto obecny był p. Tokarczyk, absolwent uniwersytetu Curie-Skłodowskiej w Lublinie, przebywający w USA, gdzie pracuje nad tezą doktorską. Mieli przybyć z Warszawy lingwiści profesorowie Danuta Buttler i Mieczysław Szymczak, sekretarz generalny ostatniego kongresu slawistów w Warszawie, Aleksander Łukasiewicz, ekonomista z Uniwersytetu Warszawskiego, Longin Pastusiak z Instytutu Spraw Międzynarodowych. Nie zjawili się również prof. Jan Szczepański, ale nadesłał referat, który został odczytany przez p. Stefanę Miller, absolwentkę Uniwersytetu Toronto, przygotowującą pracę doktorską o „Znaku”, a na poruszone w referacie sprawy odpowiadał prof. Wiatr, zastrzegając się iż mówi we własnym imieniu.

Delegacja jugosłowiańska składała się z 5 osób a bułgarska — z 3. Nie będziemy tutaj wymieniać dalszych składów osobowych, ale wypada zaznaczyć iż w wielu delegacjach znajdowali się uczeni pochodzący z Polski, Polacy z emigracji powojennej różnych okresów. Najliczniejsi byli w grupie amerykańskiej i kanadyjskiej.

Największe zaciekawienie budzili oczywiście delegaci sowieccy, stąd też najliczniejsze były sesje w których brali udział. Przed rozpoczęciem obrad przeprowadzili jeden ze swoich zasadniczych postulatów, a mianowicie aby im wręczono wszystkie referaty, które miały być wygłoszone na sesjach z ich udziałem. „Umożliwi im to należyte przygotowanie się”. Językowi rosyjskiemu przyznano — obok angielskiego i francuskiego — status oficjalny. Tylko pani Modzinska zabierała głos w językach angielskim i francuskim. Po angielsku mówiła podle, po francusku dobrze i swobodnie. Narocznicki wydukał podczas bankietu po angielsku rodzaj podziękowania i uznania, ale za to slawiści angielscy i amerykańscy — nie wywodzący się z narodów słowiańskich, zaprezentowali tak wspaniałą znajomość języka rosyjskiego i polskiego iż wprawiali w zazdrość i zdumienie swoich słowiańskich kolegów. Należy jednak gwoli sprawiedliwości zaznaczyć iż wielu prelegentów i dyskutantów słowiańskiego pochodzenia posługiwało się znakomitą angielszczyzną i francuszczyzną.

W foyer gmachu, w którym odbywało się najwięcej zebrań, znajdowały się stoiska różnych wydawców, w tym sowieckich. Książki polskie znajdowały się na stoisku firmy „Orbis” z Londynu. Obok wydawnictw emigracyjnych były tam również niektóre pozycje z Polski, jak również książki ukraińskie wydane na emigracji i książki w innych językach, dotyczące narodów, które znalazły się pod panowaniem komunistycznym. Ukraińska

młodzież studencka obsługiwała stoisko w którym znajdowały się liczne książki, broszury i plakaty antykomunistyczne, rozdawała również ulotki w sprawie Moroza i innych uwięzionych Ukraińców oraz rozprowadziła apel Sacharowa skierowany do konferencji.

Ulotka rozpowszechniana przez Ukraińców głosiła:

„W piątek 6 września o godz. 1.15 członkowie komitetu obrony Walentego Moroza uczestniczący w konferencji „Banff 74” telefonowali do dr. Andreja Sacharowa, fizyka nuklearnego, do Moskwy celem otrzymania informacji o Walentym Morozie, ukraińskim pisarzu i historyku znajdującym się we Władimirowskim więzieniu.

Dr Sacharow powiedział iż w ostatnim tygodniu spotkał Raisę, żonę Moroza, odmówiono jej widzenia z mężem w więzieniu. Dr Sacharow przekazał emocjonalny apel Raisy skierowany do międzynarodowego Pen Klubu, w którym prosi o pomoc dla swego męża, stosującego od 1 lipca strajk głodowy.

Dr Sacharow powiedział ponadto iż niemożliwe jest otrzymanie informacji o stanie zdrowia Moroza lecz on uważa sytuację za tragiczną. Zakładał iż Mustafa Dżemilow uwięziony aktywista Tatar krymski, również jest na głodowym strajku. Kiedy powiedziano Sacharowi o toczącej się międzynarodowej konferencji wystosował do jej uczestników następujący apel:

„Apeluję do konferencji (Banff 74) aby uchwaliła rezolucję i zwróciła uwagę władz sowieckich, że *détente* i wymiana kulturalna będą zagrożone gdy zezwoli się na kontynuację okrucieństw, niesprawiedliwości i prześladowań Walentego Moroza i Dżemilowa.

Proszę, by delegaci na ten kongres zajęli stanowisko — jak to uczynili ostatnio uczestnicy Konferencji Matematyków w obronie Leonida Plusza”.

Wzywamy delegatów by odpowiedzieli na ten apel Andreja Sacharowa”.

Sprawa ta nie znalazła się na polenarnym zebraniu, lecz komitet ukraiński wyłożył tekst telegramu wystosowanego do Breżniewa, Kosygina i Podgornego pod który około 300 uczestników konferencji złożyło swje podpisy. Kopie depeszy domagającej zwolnienia obu wymienionych przez Sacharowa więźniów skierowano do Sekretarza Generalnego ONZ oraz Przewodniczącego Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Na sesji poświęconej wpływom języka rosyjskiego na inne języki w ZSSR prof. Jarosław Rudnykij z Uniwersytetu Manitoba (Winnipeg) po prelekcji „Wpływ języka rosyjskiego na język ukraiński” w której wskazał na wzrastające tendencje rusyfikacyjne, wystąpił przeciwko systematycznie prowadzonej akcji prześladowania ukraińskiego życia narodowego i religijnego. Mówił o aresztowaniach intelektualistów ukraińskich, wymieniając szereg nazwisk. Obaj sowieccy uczestnicy tej sesji J. D. Deszeriew i W. M. Rusanowskij zdecydowanie zaprzeczali istnieniu tendencji rusyfikacyjnych i prześladowaniu intelektualistów ukraińskich. Pierwszy wygłosił prelekcję pt. „Sowiecka metodologia — teoria i praktyka rozwoju i wzajemnego wzbogacania narodów i narodowości ZSSR” a drugi „Ukraiński język literacki wśród języków narodów ZSSR”.

Poziom rosyjskich prelekcji ocinał się od innych: były to popisy dialektycznej propagandy. Zdumiewały jednak brakiem agresji i to nawet w odpowiedziach na krytykę. Przebijała się w tych wypowiedziach wyraźna tendencja ugodości, której szczytem było wezwanie S. T. Titarenki pod adresem adwersarj, by przybyli do ZSSR a przekonają się iż nie jest tak źle, jak mówią. Była to odpowiedź na referat prof. Dymitra Pośpielowskiego pt.

„Nacjonalistyczne i odmienne stanowiska: Postalinowskie taktyki” oraz jego uwagi na temat wypowiedzi sowieckich dyskutantów. Pośpielowski, wykładający historię na University of Western Ontario (London) jest Rosjaninem synem lekarza z Równego. Wychował się w Polsce, władza doskonale językiem polskim a do Kanady przybył po wojnie. On to sprowadził do Banff dwóch najświeższych emigrantów rosyjskich, umożliwiając im wystąpienie przed gronem zachodnich uczonych. Filozof Borys Szragin i poeta Karzawin przemawiali na niektórych sesjach poświęconych problemom rosyjskim. Obaj bardzo ostro potępiali politykę sowiecką na polu wyznaniowym i literackim, krytykowali rzeczywistość w ZSSR, przestrzegając Zachód przed złudzeniami. Tylko jeden z rosyjskich uczestników konferencji A. L. Dymyszcz nie wytrzymał krytyk i opuścił salę konferencyjną na znak protestu podczas dyskusji nad współczesną literaturą rosyjską.

Gdy chodzi o delegatów sowieckich uderzający był m.in. ich wiek. Z wyjątkiem W. A. Kumaniewa wywodzili się z epoki stalinowskiej.

Polonistycznych referatów było mnóstwo i oczywiście z wszystkich dziedzin od lingwistycznych do politycznych. Jerzy Peterkiewicz wygłosił prelekcję pt. „Trzej polscy klasycy w swoim europejskim kontekście”. Bogdan Czaykowski „Poezja brutalności: A. Bursa i R. Wojacek” a Jadwiga Maurer omawiała ten referat

Do ostrego starcia doszło na sesji „Polskie tradycje demokracji i tolerancji”. Przewodniczył jej prof. Thomas Bird, doskonały znawca problemów polskich, a referaty wygłosili pp. Mieczysław Maneli, Tadeusz Cieplak, Aleksander Matejko oraz odczytano referaty nieobecnych: Feliksa Grossa i Zygmunta Nagórskiego. Maneli dając przegląd polskich tradycji demokratycznych i tolerancji dowodził iż istniały one również w polskim ruchu komunistycznym co znalazło zresztą wyraz w pewnym okresie w PRL, ale tendencje te zostały zgniecione i zlikwidowane przez dogmatyków. Pierwszy zabrał głos prof. R. Szablowski z Calgary, który zatakował prelegenta. Mówił iż należał on do czołowych stalinistów a wobec tego uważa iż nie ma prawa mówić o polskich tradycjach demokratycznych.

Cieplak omawiał oblicze polityczne polskich ruchów ludowych, w szczególności PSL, Gross wskazywał na tradycje demokratyczne ruchu socjalistycznego PPS, Matejko wskazywał na relację między strukturą społeczną i jej wpływem na tendencje demokratyczne. Prof. Bird omówił krytycznie wszystkie wystąpienia uwypuklając niektóre aspekty zarówno pozytywne jak i negatywne w polskich ruchach politycznych.

Wśród polskich uczonych z Zachodu obecni byli — względnie nadesłali referaty m.in. obok już wymienionych: Henryk Baran, Włodzimierz Brus, Andrzej Brzeski, Edward Chmielewski, Wincenty Chrypiński, Magdalena Dąbrowska, Stanisław Gomułka, Z. A. Jordan, Andrzej Kamiński, Andrzej Korboński, Leszek Kosiński, Karol Krótki, J. Kulczycki, Jerzy Krzyżanowski, Zbigniew Folejewski, Antoni Kruszewski, Aleksandra Kwiatkowska, Michał Kwiatkowski, Jerzy Mond, Andrzej Mroźewski, Joanna Perelmuter, Ray Taras, Stefan Markowski, Jan Solecki, Edward Stankiewicz, Maria Zagórska, Jan Perkowski, Leon Twarog, Eugeniusz Zaleski. Jest to oczywiście niepełny wykaz aktywnych uczestników polskich pracowników naukowych. Dochodzi jeszcze spora ilość obecnych którzy czasem zabierali głos w dyskusji, względnie byli jedynie słuchaczami. Polski imperializm językowy — jak ktoś dowcipnie zauważył — objawił się w tym iż język polski górował w kuluarach nie dlatego iż Polacy tak namiętnie dyskutowali między sobą, ale iż korzystali z niego nasi rozmówcy ukraińscy, czescy, oraz innych narodowości. Naturalnie był dr Peter Raina, ale dwaj profesorowie niemieccy, jeden urodzony w Łodzi, władali doskonale naszym językiem, podobnie jak jeden z profesorów brytyjskich. Rosjanie — jak stwierdziliśmy — rozumieli

nasze dyskusje, ale odpowiadali po rosyjsku. To były owe nieoficjalne rozmówki.

Nuta *détente* dominowała. Mówił o niej oczywiście prof. Bromke na otwarciu zjazdu, a uwypuklał to jeszcze silniej Allan MacFachen, minister spraw zagranicznych. Ten wywodził, że polityka zagraniczna Kanady stale zmierzała do uzyskania odprężenia, do współpracy szerokiej niezależnie od ustroju. Zaznaczył jednak iż *détente* jest trudne do osiągnięcia. Trzeba jednak do tego zmierzać stopniowo. Konferencja genewska dowodzi ile trzeba przewyciężyć aby dojść do celu. Chodzi o bezpieczeństwo i współpracę, o wolną wymianę myśli i idei. Konferencja „Banff 74” uzyskała pełne poparcie rządu gdyż idzie po linii jego politycznych założeń. To co osiągnęła jest ważne, istotne, to właśnie krok naprzód w należyłym kierunku. Dlatego też gratuluje organizatorom i wyraża swoje zadowolenie.

„Banff 74” zakończył się uformowaniem międzynarodowego komitetu dla badań problemów ZSSR i państw Europy Wschodniej na czele którego stanął prof. A. Bromke i w skład którego wchodzi wyłącznie naukowcy z państw zachodnich. Zadaniem Komitetu jest oczywiście zorganizowanie stałej łączności i współpracy między pracownikami naukowymi z państw zachodnich a ich odpowiednikami w państwach rządzonych przez komunistów. Projektowana następna konferencja na wzór „Banff 74” odbyłaby się w 1980 roku na terenie NRF. Siedziba sekretariatu tej nowej organizacji międzynarodowej slawistów znajduje się będzie na uniwersytecie w Glasgow.

Rosjanie byli z konferencji bardzo zadowoleni, gdyż miała rzekomo wykazać iż zachodni naukowcy nie mogą sobie bez nich dać rady. Sądzą, że bez badań przeprowadzonych w ZSSR nie ma rzetelnych, naukowych opracowań problemów sowieckich. Naturalnie ich zdaniem dobre są jedynie ich własne opracowania a więc przeprowadzone pod nadzorem partyjnym w duchu marksistowsko-leninowskim.

Nawet prof. Jan Szczepański w swoim referacie wywodził, iż ujemną stroną zachodnich prac na temat problemów państw „socjalistycznych” jest oparcie się na danych pochodzących od emigrantów, którzy opuścili swój kraj. Żaden jednak z mówców z państw komunistycznych nie był oczywiście w stanie zapewnić iż dla pracowników naukowych zachodnich otwarte będą wszystkie odpowiednie źródła niezbędne dla badań. Jeden z nich zauważył iż odpowiednie dane mogą być — czy też będą — przygotowane. Wcale interesujące wyznaczenie.

Ktoś zauważył, że organizatorzy „Banff 74” zaprezentowali sojusz reakcyjnych *establishment*ów, wymowne było iż powitanie w imieniu konserwatywnego rządu prowincji Alberta wygłosił książę Piotr Czartoryski, potomek jednego z polskich magnackich rodów.

Plon konferencji ukaże się w 8 tomach nakładem firmy amerykańskiej Praeger pod ogólną redakcją prof. Rogera E. Kaneta z University of Illinois.

Benedykt HEYDENKORN

FRAGMENTS (FRAGMENTY)

publikują w języku angielskim niektóre artykuły
z *KULTURY*

Ukazuje się rocznie 10 numerów. Cena prenumeraty:

\$ 8,50 rocznie łącznie z przesyłką pocztową.

Redaktor: Charles JOEL;

Wydawca: CORRESPONDENCE HOME STUDY
OF LANGUAGES.

Dotychczas ukazały się przekłady:

- 1) *Gorzkie zboże* — Brukselczyka;
- 2) *Białe noce w Helsinkach* — Brukselczyka;
- 3) *Archipelag Gułag* — M. Hellera;
- 4) *Milczenie nie jest złotem* — J. Mieroszewskiego;
- 5) *W sowieckiej prasie* — A. Kruczka;
- 6) *Miraże i Fantomy* — Brukselczyka i wyjątek z *Sowieckiej Prasy* — A. Kruczka;
- 7) *Od Maltusa do Mansholta* — Brukselczyka i wyjątek z *Sowieckiej Prasy* — A. Kruczka.

Powyższe numery są do nabycia po cenie \$ 0,60 za numer
(wraz z przesyłką).

W przygotowaniu: J. Mieroszewskiego: *Materiały do
refleksji i zadumy.*

Korespondencję i zamówienia na prenumeraty wraz
z czekiem należy kierować na adres:

CORRESPONDANCE HOME STUDY OF LANGUAGES,
P. O. BOX 744, SUTTER CREEK, CAL. 95 685 (USA).

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO

RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Listy do Redakcji

Wrzesień 1974.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Mam nadzieję, że ostatni artykuł p. Juliusza Mieroszewskiego pt. „Rosyjski 'kompleks polski' i obszar ULB” zwróci uwagę wielu Polaków i Rosjan i, oczywiście, także Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Dyskusja na te tematy jest jak najbardziej na czasie.

Chciałbym, jeśli Pan Redaktor pozwoli, dorzucić parę uwag.

Autor artykułu pisze, że powinniśmy porozumieć się z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom i sami zrezygnować z planów ustanowienia przewagi na Wschodzie. Ma się rozumieć chodzi tu o porozumienie prywatne zawarte między osobami dobrej woli i mające znaczenie moralne i propagandowe. Porozumienie takie będzie mogło nabrać waloru prawa dopiero po upadku obecnego reżymu w Rosji Sowieckiej.

„Tak Polacy, jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nie-imperialistyczna Rosja i nie-imperialistyczna Polska miałyby szanse ułożenia i uporządkowania swych wzajemnych stosunków” — pisze p. Mieroszewski. Wniosek ten wyprowadza p. Mieroszewski z historii współzawodnictwa Polski i Rosji na obszarze Białorusi, Litwy i Ukrainy. Podkreśla, że polityka polska na Wschodzie w oczach Rosjan zawsze była przejawem tradycyjnego, historycznego imperializmu i nie tylko dla Rosjan, ale także dla Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Z drugiej strony, dla nas Polaków a również dla wszystkich mieszkańców tego obszaru imperializm polityki rosyjskiej nie ulega wątpliwości. Przez trzysta lat, do pokoju Grzymułtowskiego w 1686 roku Polska miała przewagę na Wschodzie; przez ostatnie 300 lat przewagę ma Rosja. Owa „alternatywność” — mówi Mieroszewski — albo my albo oni — uniemożliwia znormalizowanie stosunków pomiędzy Polską a Rosją. Uważa on, że trzeba z tym skończyć.

Tak można streścić główną myśl artykułu, myśl, trzeba od razu stwierdzić, bardzo trzeźwą i politycznie jak najbardziej pożyteczną. Wydaje mi się, że p. Mieroszewski ma zupełną rację, gdy mówi, że większość Polaków już nie wierzy „byśmy kiedykolwiek mogli zdobyć przewagę nad Rosją”. Bez żadnych zastrzeżeń należy się zgodzić z tym, co autor mówi o „idei samostanowienia i wolności dla pobratymczych narodów oddzielających nas od Rosji” i o tym, że „tak pojęty program mógłby przywrócić polskiej polityce niepodległościowej wysoki motyw moralny, którego dzisiaj jej nie dostaje”.

Chciałbym teraz rozpatrzyć bardziej dokładnie co p. Mieroszewski proponuje Polakom, a co Rosjanom.

A więc — co p. Mieroszewski proponuje nam, Polakom? Proponuje on, żebyśmy przyznali pełne prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom

i Białorusinom i zrezygnowali „raz na zawsze z Wilna, Lwowa i jakiegokolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych wyżej narodów”. Jak p. Mieroszewski sam mówi, żadnych przesunąć terytorialnych na emigracji zrobić nie możemy, natomiast powinniśmy ustalić pewne zasady.

Otóż, przyznanie prawa bratnim narodom do samostanowienia jest zasadą, od dawna zresztą uznaną przez świat zachodni w stosunku do wszystkich bez wyjątku narodów; wyrzeczenie się planów ustanowienia przewagi na Wschodzie jest zasadą ogólną. Natomiast wyrzeczenie się Wilna i Lwowa jest przesunięciem terytorialnym, szczegółem w stosunkach polsko-ukraińskich i polsko-litewskich. Wydaje mi się, że trzeba najpierw ustalić te stosunki, a następnie rozpatrywać sprawę Lwowa i Wilna. Nie twierdzę wcale, że te dwa miasta koniecznie muszą należeć do Polski. Los ich będzie zależał od ogólnego porozumienia między Polską i jej sąsiadami. Jest rzeczą prawdopodobną, że przyjdzie nam z tych dwóch miast i z tych obszarów wschodnich zrezygnować, ale nie z góry, nie bezwarunkowo, jak tego chce p. Mieroszewski. Należy najpierw zobaczyć z jaką Litwą i z jaką Ukrainą będziemy rozmawiali. Rozwiązanie konkretnych problemów zależy od konkretnych warunków istniejących w danej chwili — a o tym teraz nie możemy wiedzieć. Wydaje mi się, że załatwienie sprawy Wilna i Lwowa — sprawiedliwe i pokojowe — jest zapewnione, skoro polityka polska ma działać na zasadzie pełnego poszanowania praw bratnich nam narodów pod warunkiem, oczywiście, że i oni szanować będą nasze prawa.

Idziemy dalej. Autor artykułu uważa, że wszelkie pomysły o jakiegokolwiek federacji między Polską a Ukrainą, Litwą i Białorusią są też przejawem polskiego imperializmu. Moim zdaniem niekoniecznie. Wiem dobrze, że w pewnych kołach projekty federacyjne są rozpatrywane jako namiastka tzw. jagiellońskiego rozwiązania. Ale, jeśli bratnim nam narodom szczerze i uczciwie przyznajemy prawo decydowania o własnym losie — wypada ich się zapytać jaką formę współpracy z Polską chcą wybrać. W pewnych warunkach federacja może być pożyteczną dla nich i dla nas. A jeśli żadnej federacji nie będą chcieli, to my, Polacy, w żaden sposób nie będziemy mogli jej im narzucić. Wydaje mi się, w każdym razie, że nie trzeba z góry ograniczać zasięgu polityki tych czterech narodów.

To chyba wszystko, co p. Mieroszewski ma do powiedzenia Polakom. Zasadnicza treść jego artykułu, tj. ta część, która dotyczy stosunku narodu polskiego do jego bezpośrednich sąsiadów na Wschodzie, nie powinna wywołać u większości Polaków poważniejszych sprzeciwów czy wątpliwości. Mówię tu o linii ogólnej, nie o szczegółach. Chodzi mu o to, by Polacy sprzecywali swój stosunek do Ukraińców, Białorusinów i Litwinów teraz, nie czekając na swój dzień, gdy te zasady będzie można zastosować. Należy jednak zauważyć, że żaden program wschodniego tu nie ma; jest tylko przyczynkiem do takiego programu. Program ten powinien uwzględniać nasze stosunki z Rosją nie tylko przez pryzmat obszaru ULB, lecz jako całość. Ale zanim przejdę do omówienia tego tematu, chciałbym jeszcze dodać parę słów o przyklejonej do obszaru ULB teorii o dwustronnym polsko-rosyjskim imperializmie. Właściwie, ta nadbudówka jest tu zupełnie niepotrzebna, bo konieczność przyznania pełnego prawa do samostanowienia Ukraińcom, Białorusinom i Litwinom jest jasna sama przez się. Wynika ona z podstawowego dla nas nakazu moralnego i ze zwyczajów obecnie ogólnie przyjętych i stosowanych w świecie zachodnim. Nie potrzeba jakiejś „polsko-rosyjskiej racji stanu”, żeby przyznać prawo stanowienia o sobie bratnim nam narodom. Nawet najbardziej prymitywnym narodom afrykańskim dano to prawo; nawet dyktatorska i totalitarna władza sowiecka uznaje jeśli nie samo prawo, to jego fikcję, tym samym oddając hołd praworządności.

Jeśli chodzi o polską politykę wschodnią to, niestety, z artykułu p. Mieroszewskiego nie o niej dokładnego wywnioskować nie można.

O Rosji autor artykułu mówi: „Rosja ma inny ustrój, lecz jak dawniej jest imperialna i niepokonalna”. I dalej: „Rosja jest i pozostała historycznie identyczna, tzn. imperialistyczna i zaborcza”.

Uważam, że takie uproszczenie procesów historycznych nie przyczynia się do wyjaśnienia stosunków polsko-rosyjskich. Rosja nie jest, nie pozostała „historycznie identyczna”. Cesarstwo rosyjskie XVIII i XIX wieku było cesarstwem uniwersalnym. W tym okresie, petersburskim, cesarstwo to — przynajmniej w intencji — było państwem europejskim i praworządym, opartym o tradycje chrześcijańskie. Do pewnego przynajmniej stopnia cesarstwo rosyjskie było czynnikiem ładu i porządku, zwłaszcza na Wschodzie i to właśnie pozwoliło Puszkiniowi być piewą imperium, choć pojęcie wolności wcale nie było mu obce. W państwie tym przeprowadzano reformy, choć powoli i nieudolnie, dyskutowano otwarcie o tych reformach i o możliwych zmianach ustrojowych. Dopiero pod koniec swego istnienia, dzięki fenomenalnej nieudolności dwóch ostatnich cesarzy, zwyciężyła reakcja, reakcja słowianofilsko-nacjonalistyczna. Zaczęto systematycznie przesładować nie-Rosjan, znęcać się nad Polakami i Ukraińcami, urządzać pogromy żydowskie. Wypłynęła na powierzchnię życia politycznego „czarna sotnia” — bunt czerni moskiewskiej przeciwko duchowi bądź co bądź liberalnemu cesarstwa petersburskiego; był to prawdziwy nacjonal-socjalizm w swoim pierwszym, ohydny wydaniu. W końcu trzeba jeszcze podkreślić, że cesarstwo rosyjskie, choć ekspansjonistyczne, nigdy nie dążyło do podboju Europy, czy też świata.

Rosja sowiecka nie jest państwem w pojęciu europejskim. Jest ona zorganizowanym obozem czarnej sotni w stanie permanentnej agresji przeciwko reszcie świata. Ideologicznie jest ona połączeniem zwierzęcego nacjonalizmu — wielkorosyjskiego oczywista — i frazeologii marksistowskiej; działa pod przykryciem tej frazeologii. Petersburskie cesarstwo nigdy nie prowadziło tak bezwzględnej rusyfikacji jak ZSSR. Państwo sowieckie opiera się na totalnym, masowym przymusie i terrorze, którego ani dawne cesarstwo rosyjskie, ani żadne państwo europejskie nigdy nie stosowało, z wyjątkiem Niemiec hitlerowskich — ucznia ZSSR. Rosja sowiecka nie uznaje potrzeby praworządności, albowiem nie uznaje żadnych praw ani jednostek, ani narodów. Oficjalnie ogłoszonym celem tego „państwa” jest podbój świata i temu celowi kierownictwo KP ZSSR gotowe jest poświęcić wszystko i wszystkich, łącznie z narodem rosyjskim — z wyjątkiem potrzebnych mu „kadr”.

Tak wygląda ta „identyczność”, o której mówi p. Mieroszewski.

Dla cesarstwa rosyjskiego istniał problem polski i istniała także obawa, nie bardzo zresztą wielka, przed możliwością wskrzeszenia czy też rozszerzenia wpływów polskich na wschodnich obszarach dawnej Rzeczypospolitej. Obawa ta istniała dlatego, że wpływy polskie jeszcze dawały się odczuwać w postaci zamożnego ziemiaństwa i arystokracji, osiadłych od wieków na ziemiach ukraińskich i litewskich. Były też resztki kultury polskiej w miastach. Wszystko to już dawno zostało doszczętnie zniszczone i zlikwidowane. Dla Rosji sowieckiej sprawa polska jako oddzielny, wielki problem w ogóle nie istnieje i Breżniew wcale o nim nie myśli, wbrew temu co pisze p. Mieroszewski. Sprawa polska dla Moskwy to tylko jeden z elementów ogólnego problemu Europy Wschodniej — terytorium częściowo podbitego, częściowo wyłudzonego chytrąścią od naiwnych Amerykanów, a teraz okupowanego i opanowanego. Europa Wschodnia, jako całość, jest wciąż dla Moskwy pewnym problemem — ale Polska — nie. Europa Wschodnia, jako całość, jest dla Moskwy przede wszystkim odskocznią na Zachód. Z kolei Europa Zachodnia jest poważnym problemem w moskiewskich planach podboju świata. Rosja sowiecka, koncentrując wszystkie swoje możliwości w jednym kie-

runku w ciągu ostatnich 10 lat uzyskała parytet wojenny z najpotężniejszym mocarstwem w historii świata — a p. Mieroszewski nam opowiada, że Breżniew obawia się „imperializmu” polskiego.

W świetle tego, co powiedziałem, naprawdę dziwnie brzmi pytanie, które znajdujemy na samym początku artykułu: „Dlaczego Rosjanie wolą mieć państwa satelickie — jak Polska, Czechosłowacja czy Węgry — zamiast życzyliwych, względnie neutralnych sąsiadów?”. Odpowiada p. Mieroszewski: „W ramach bieżącej sytuacji nie ma logicznej odpowiedzi na to pytanie”. Jeśli się uważa, że Rosja „jest i pozostała identyczna”, odpowiedzi rzeczywiście nie ma.

Narastanie potęgi wojennej Rosji sowieckiej jest tak gwałtowne i oczywiste, że budzi poważny niepokój nie tylko na Zachodzie, lecz wśród samych Rosjan. Wyczuwają oni, że kierownictwo partii przygotowuje się do jeszcze jednego skoku lub do generalnej rozgrywki. Do niedawna można było przypuszczać, że główny wysiłek Moskwy skierowany jest na Południe. Pozyskanie przez Rosję stałych baz na Morzu Śródziemnym, rozciągnięcie kontroli, w tej czy innej formie, nad Kanałem Sueskim i nad państwami arabskimi posiadającymi naftę, odciąłoby Europę Zachodnią od źródeł energii i postawiłoby ją w stan faktycznej zależności od Moskwy. Ten manewr okrążający nie udał się jednak, częściowo dzięki niezręczności sowieckiej *gunboat diplomacy*, a głównie z powodu przedwczesnego wybuchu, z punktu widzenia sowieckiego, ostatniej wojny arabsko-izraelskiej. Niecierpliwość arabska uratowała Europę, bo nijaki wynik wojny umożliwił Stanom Zjednoczonym pochwycenie inicjatywy, odegranie roli głównego mediatora i nawiązanie z państwami arabskimi zupełnie nowych stosunków, poważnie ograniczających wpływy sowieckie.

To poważne niepowodzenie i perspektywa zupełnego fiasco polityki sowieckiej na Bliskim Wschodzie czyni tym bardziej prawdopodobne podjęcie ofensywy na innym odcinku. Bardziej niż kiedykolwiek wojna z Chinami wisi w powietrzu. Kierownictwo sowieckie koniecznie potrzebuje wielkich, widocznych sukcesów na zewnątrz, by rozładować rosnące napięcie wewnętrzne. Rozbudowa sowieckiej potęgi militarnej idzie w parze z coraz bardziej widoczną, kompletną klęską ideologiczną partii wewnątrz państwa. W hasła komunistyczne w Rosji nikt, dosłownie nikt nie wierzy i nikt nie zwraca na nie najmniejszej uwagi. Jeśli sowiecka polityka imperialna wciąż działa na zewnątrz pod osłoną marksistowskich haseł zbawiania świata — w samej Rosji przestawienie się na mniej lub więcej otwarty imperializm odbywa się drogą oficjalnego przesunięcia światopoglądu w stronę wielorosyjskiego nacjonalizmu lub też po prostu podkreślaniem motywów oportunistycznych. Poważniejszą młodzież karmią sowiecko-wielkorosyjskim pseudo patriotyzmem; zdemoralizowanych i obojętnych — perspektywą kariery. *Join the Navy and see the world!* Równocześnie, gwałtownie rosną w sile nacjonalizmy nierosyjskie, rośnie też niepokój prawdziwych patriotów — Rosjan, niepokój żywiący się przekonaniem, że awanturnicza polityka partii doprowadzi do katastrofy przede wszystkim samego narodu rosyjskiego. Najlepszym świadectwem tych nastrojów są wypowiedzi Sołżenicyna, Sacharowa i innych tzw. dysydentów. Sołżenicyn w swoim liście do przywódców sowieckich mówi o możliwości zupełnego wyniszczenia biologicznego narodu rosyjskiego w razie wojny z Chinami. List ten, poza wszystkim innym, jest świadectwem, że wielu światłych Rosjan odżegnuje się od imperializmu. Sołżenicyn troszczy się, rzecz prosta, przede wszystkim o los narodu rosyjskiego, ale mimo chodem, jakby o rzeczy samej przez się zrozumiałej, mówi, że oczywiście Rosja będzie musiała opuścić Europę Wschodnią i nie będzie siłą trzymać w związku czy federacji tych narodów, które będą chciały odejść. Tak myśli bardzo wielu Rosjan. Sołżenicyn i Sacharow — to tylko czubek wielkiego lodowca ukrytego pod powierzchnią życia sowieckiego.

Te nastroje nie są nowe. Wybitny publicysta emigracyjny, G. P. Fedotow, zmarły w 1952 roku, w artykule pt. „Losy cesarstw”, opublikowanym w czasopiśmie *Nowy Żurnal* (Nr XVI, Nowy Jork, 1947) przyznał, że cesarstwo rosyjskie nie potrafiło rozwiązać problemu narodowościowego i przepowiedział nieuniknione rozpadnięcie się imperium sowieckiego. Uważał on, że utrata imperium będzie dobrodziejstwem dla narodu rosyjskiego.

„Literatura rosyjska — pisał Fedotow — była sumieniem świata, a państwo postrachem dla wolności narodów. Utrata imperium jest moralnym oczyszczeniem, uwolnieniem kultury rosyjskiej od strasznego ciężaru, który wypacza jej oblicze”.

Różnica polega na tym, że dawniej tak myślało niewiele. Teraz, w Rosji sowieckiej, tak myśli bardzo pokątny procent inteligencji, a literatura rosyjska znowu staje się sumieniem Rosji i sumieniem świata.

Nie wiemy jak to wszystko się skończy. Być może przebudzenie się tego sumienia będzie tym piaskiem, który zatrzyma koła maszyny sowieckiej. Być może spełni się przepowiednia Andreja Amalrika i dyktatura partii, tzw. komunistycznej, w Rosji wykruszy się w zderzeniu z Chinami. Być może reżym sowiecki, pomimo olbrzymiego ciężaru zbrojeń i piętrzących się trudności gospodarczych, przetrwa jakiś czas jeszcze, podparty kredytami z Zachodu. Gdy przyjdzie koniec, trzeba będzie myśleć o prawach nie tylko Ukraińców, Białorusinów i Litwinów ale też i o prawach wszystkich innych narodów zamieszkujących olbrzymią przestrzeń od granicy polskiej do Pacyfiku, łącznie z prawami narodu rosyjskiego. Rosjanie, Estończycy, Ormianie, Tatarzy, Uzbeki, Kaukazczycy też są ludźmi, a o nich p. Mieroszewski zapomniał zupełnie. Zaprowadzenie ładu i porządku na tym terytorium, ustalenie współpracy na zasadach sprawiedliwości społecznej, życzliwości wzajemnej i przyzwyczajenia ludzkiej nie będzie się mogło obejść bez pomocy Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. I jeśli p. Mieroszewski naprawdę chce widzieć koniec wszystkich imperializmów, może warto byłoby pomyśleć o roli, jaką Polacy, Rosjanie, Ukraińcy itd. mogą odegrać w stworzeniu Stanów Zjednoczonych Europy.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Witold KORWIN

Londyn, 3 października 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 9/324 *Kultury* z września 1974 roku ukazał się artykuł Bohdana Brodzińskiego pt. „Sprawa Polska Ltd.”.

Nie wchodząc w ocenę artykułu i zostawiając innym zainteresowanym prostowanie błędnych informacji i ocen, wyjaśniamy dwie informacje dotyczące SPK:

1) W domach naszych przy 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. są wynajmowane mieszkania zarówno Polakom, jak i Anglikom. Wysokość komornego ustala firma angielska trudniąca się zawodowo tymi sprawami, a Pan Brodziński pisze, że: „Kombatanci — zgodnie z emigracyjnym modelem — potraktowali je częściowo jako pomieszczenie dla zaśluzonych, przez co inwestycja straciła poważnie na wartości”. Informacja ta nie jest zgodna z prawdą i insynuuje, że niektórzy nasi lokatorzy korzystają z jakichś przywilejów.

2) Nie jest również prawdziwe zdanie mówiące, że SPK opóźniło wpłace-

nie do POSK £ 75.000 z przyczyn biurokratycznych. Pieniądze były do dyspozycji POSK od grudnia 1973 i wpłaciłmy je, jak tylko POSK dopełnił ze swej strony niezbędnych formalności.

Łączymy wyrazy poważania,

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

Z. SZADKOWSKI

Sekretarz Generalny

S. SOBONIEWSKI

Prezes

Londyn, 1 września 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Okres wakacyjny przeszkodził mi wcześniej przekazać kilka uwag dotyczących artykułu Juliusza Mieroszewskiego w czerwcowej *Kulturze*.

Znakomity ten publicysta polityczny (być może najwybitniejszy z obecnych piszących?) wykazuje niewątpliwie od lat pewien stopień zafascynowania brytyjską demokracją i mentalnością społeczeństwa angielskiego.

Nie sposób w perspektywie historycznej nie akceptować lwiej części argumentacji Mieroszewskiego. Kompromisowość i przywiązanie do tradycyjnych form rządzenia i współzycia pozwoliły społeczeństwu i krajowi przetrwać wiele kryzysów i odsunąć, jeśli nie wyeliminować, niebezpieczeństwa natury zewnętrznej i wewnętrznej.

Wszystko to, niestety, należy podawać raczej w czasie przeszłym, bo obecna sytuacja ma charakter głęboko kryzysowy i to bez wątpienia odbiegający swym zasięgiem od wszystkiego, co społeczeństwo angielskie widziało od czasu wielkiej rewolucji przemysłowej.

Nie jestem pewien czy Mieroszewski docenia rolę lewicy w życiu politycznym i parlamentarnym w chwili obecnej? Komunistyczna partia nie ma rzeczywiste — i nie będzie miała miejsce w Parlamencie. Nie jest to jednak powodem do optymizmu. Powody są nieco inne, wydaje mi się, niż te które cytuje autor. Brytyjska lewica nie musi mieć szyldu partii komunistycznej.

Grupki ekstremistów skupione bądź w partii komunistycznej, bądź w formacjach trockistowskich lub rewolucyjno-studenckich, są i zapewne będą zawsze tylko marginesem. I to zrozumieli dobrze wszyscy zainteresowani realiami z ambasadą ZSSR na czele. Groźba tkwi gdzie indziej. Lewica angielska jest zorganizowana w ruchu związkowym i ma swą Labour Party, której program polityczny stoi przeciw na lewo od obu największych partii komunistycznych Europy — włoskiej i francuskiej.

Zarówno platforma wyborcza Mitterranda, afirmowana przez K.P.F., jak i Berlinguera, to nieomal umiarkowany centryzm przy programie Labour Party, żeby nie wspomnieć np. grupy Trybuny w łonie samego Parlamentu.

Słabe echa atlantyzmu czy łagodne protesty starej grupy centrystycznej nie mogą przesłonić realnego programu polityki ekonomicznej i izolacjonizmu Labour Party.

Ludzi takich jak Foot, Benn, Skore, Mrs. Castle lub Healey (bądź co bądź członek kompartii w latach trzydziestych) nie da się określić inaczej niż jako pragmatycznych, lub w przypadku Benna — fanatycznych — lewicowców.

Nie zapominajmy, że w Anglii słowo „komunista” ma ciągle brudnawy posmak wielkich rozczarowań zimno-wojennych. Dlatego obecna generacja polityków unikać będzie wszystkich skojarzeń z komunizmem. Ba, nawet „socjalizm” nie brzmi najlepiej w uszach wyborców. Dlatego nawet bolsze-

wizujący Benn („nawnie bolszewizujący upaństawiacz” — jak napisał *The Economist*) oburzyły się na etykietkę komunisty, choć o socjalizmie zaczyna napomykać częściej. Na pewno częściej niż Mitterrand, nie mówiąc o standardowych socjal-demokratach typu Brandt lub Schmidt.

I tu wydaje mi się tkwi niebezpieczeństwo i tragedia obecnej sytuacji politycznej, a także niejasna i pełna konfliktów rola klasy robotniczej, która z natury (mowa o angielskiej) konserwatywna i kochająca stabilizację oprowadzana jest w sensie ekonomicznym i politycznym przez totalitarne związki zawodowe, spenetrowane przez militantów lewicy.

Uzdrowieniem politycznym Anglii mogłoby się stać utworzenie socjalistycznej partii z grupą cytowanych wyżej u steru, i powrót Labour Party (czy też partii socjal-demokratycznej) w rejon radykalizującego centrum z ludźmi typu Jenkins czy Taverner.

Nie dojdzie do tego nigdy, sędzę, bo lewica z podniesioną przyłbicą i szyldem socjalizmu nie uzyskaby pewnie więcej niż 20 % głosów.

Brak tej prawidłowości i 40 % masa wyborców popierająca glinianego kolosa Labour Party jest w dzisiejszej sytuacji potencjalnie katastrofalna dla Anglii i — niestety — dla Europy (vide: „europejski” program socjalistów brytyjskich). Małe uświadomienie polityczne wyborców przyczynia się znakomicie do pogłębienia apatii i stagnacji oraz do utrwalenia beznadziejności dwupartyjnego systemu. Trudno ocenić co jest skutkiem, a co przyczyną, lecz nie trudno o surowy osąd obydwu przeżytych i skorumpowanych partii.

Zadzroszczę Mieroszowskiemu optymizmu, nawet umiarkowanego, gdy rządem kieruje (i co gorsze może kierować przez następne lat pięć) człowiek, który okres największego rozkwitu gospodarki światowej lat 60-tych zmienił na 5 kiepskich lat *stop-go policy*. Co mu — *nota-bene* — nie przeszkodziło odmalować ten okres w złotych barwach w szych, raczej mało umiarkowanych, panegiryo-pamiętnikach lub też niedawno przedstawić skromnie swój obecny rząd jako „najlepszy zespół obecnej generacji”.

Zapewne megalomania, ale w skutkach tragiczna.

Rozkład demokracji parlamentarnej w Anglii jest procesem daleko posuniętym i co gorsza, pośrednio zaakceptowanym przez apatycznych wyborców. Partia, na którą głosuje prawie 40 % wyborców, stała się tubą i szyldem zorganizowanych grup nacisku, z których niejedna nie kryje się ze swym celem zburzenia starego ustroju i wprowadzenia nowego ładu.

Jeśli alternatywą ma być Enoch Powell, to lepiej emigrować za ocean. Co też wielu wartościowszych Brytyjczyków niestety robi.

Z szacunkiem,

Jan ZAKRZEWSKI

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal 4^e trimestre 1974.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczbót, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 7,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Słowkowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakzkwiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	3 Can. 2,50 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 13,00 DM. 45,00 F. 65,00	\$ Can. 24,00 DM. 80,00 F. 120,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 — NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss — SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgaten 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 264-6271 ; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA : Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Belflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$US 24,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F.120, półroczna - F.65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F.1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 246 — SERIA « DOKUMENTY »

ZESZYT 42

POWSZECHNA DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim,
słowackim i ukraińskim.

Str. 64.

Cena F. 10 (dol. 2,50)



TOM 247 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁag

Tom I-szy

Str. 560.

Cena F. 60 (dol. 13)



TOM 249 — JACEK BIEREZIN

Tomik poezji autora krajowego.

W A M

Str. 76.

Cena F. 12 (dol. 2,50)



TOM 250 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY

zawiera m.in. prace: B. Z. Wojas: *Dzieje Polonii Charbińskiej*; M. Wyziembły: *Losy Polaków...*; W. Babińskiego: *Z materiałów archiwalnych*; W. Stachewicza *Konferencja Aliantów w Moskwie* (w przededniu wojny 1939 r.); W. Sukiennickiego: *Memoriał o sprawie litewskiej Wł. Zawadzkiego z 1917 r.*; Ł. Hirszowicz: *Memorandum gen. Sikorskiego*; O. Dumina: *Prawda o Ukraińskiej Organizacji Wojskowej*; T. Romera: *Moja misja jako ambasadora R.P. w Zw. Sowieckim*; B. K. Piekarskiego: *Zielna 25* (Ostatnie Dni Polskiego Radia Warszawa); W. T. Drymmera: *Wspomnienia* (4) oraz RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)